„QUOD LIBET"

„Ecce infantia mea olim mortua est
et ego vivo..."

św. Augustyn.

s. 67 (na odwrocie)
szczegóły dotyczące
Mozyrszczyzna

Notatka o chrzcinach moich, zapisana przez Ojca w kalendarzu z r.1873.

„6 b.m. w palmową Niedzielę odbyły się chrzciny naszej córeczki. Około 1-szej godziny z południa przyjechałem z ks. kanonikiem Skibińskim od Ś-tej Magdaleny i zastałem już bardzo wiele z zaproszonych gości. Zaraz przystąpiono do ceremonii. Jako chrzestne rodzice byli w pierwszej parze Henryk Rodakowski i panna Leonia Blühdorn (Rodakowskiego pasierbica, a moja uczennica), w drugiej parze stanął Kornel Ujejski i Leonia Sawczyńska. Dziecina dostała imiona: Marya i Wanda.- Jako chrzyżmo dostała od chrzestnej matki, panny Blühdorn na pamiątkę srebrny serwis do herbaty t.j. czajnik, dzbanuszek i cukierniczkę a wszystko na takiejże tacy, na której już były wyryte jej litery w monogramie i dzień i rok chrzcin. Od drugiej chrzestnej matki dostała srebrną łyżeczkę, także z literami. Około 2-gie, po skończonej ceremonii chrzcin i wywodu matki, przeszli wszyscy goście do drugiego pokoju i zasiedli do suto zastawionego śniadania. Z gości, oprócz wyżej wymienionych chrzestnych rodziców, były następujące osoby: małżeństwa PP. Sawczyńscy, Tatomirowie, Pawłowscy, potem PP Mieczysław Darowski*), żołnierz z 31 r., Józef Waśkiewicz, stary żołnierz, kap(itan) 4-go pułku, sławnego w 1831 r. Wł. Zawadzki, literat, F.H. Richter, księgarz i wyd. „Strzechy”, Jan Amborski, literat, Dr. Ad. Czyżewicz, Józef Ekielski i Bolesław Skolimowski. Usposobienie gości było bardzo ożywione, Wnoszono rozmaite toasty. K. Ujejski z przemową dla nowonarodzonej, Darowski dla rodziców chrzestnych, Rodakowski dla rodziców nowoochrzczonej, dalej szły inne toasty, nareszcie z piękną przemową Zygmunt Sawczyński wniósł toast na cześć Poezyi i Sztuki i jej tu reprezentantów K. Ujejskiego i H. Rodakowskiego. Około 4-tej skończyła się ta uroczystość i goście zaczęli się rozchodzić. A odbyło się wszystko tak pięknie i iż z największem zadowoleniem i przyjemnością będziemy sobie ten dzień w naszym domu, dotąd pewnie najświetniejszy i najweselszy, przypominać.”

*) Mieczysław Darowski, opiekun młodych lat mego ojca, jedna z najszlachetniejszych, przyjacielskich postaci z domem naszym związanych, jeden z

najlepszych i najmilszych ludzi, którzy wywierali wpływ na moje dzieciństwo i młodość, człowiek którego całe życie było wierną służbą ojczyźnie, ofiarną miłością bliźniego, wysokim wzorem dla drugich. Cały ogromny majątek poświęcił sprawie narodowej, z ostatków dzielił się jeszcze z biedniejszymi, umarł ubogi w Krakowie r. 1889. –

Magda Orlak

Pamiętam w domu jedno miejsce na ścianie,na które w zimie padała zwykle czerwona plama zachodzącego słońca.

Nad moją wąską,białą szafką z dziecinnemi książkami, na popielaty deseń ściany w mroczne popołudnie,gdy szyby zaczynały marznąć a w pokoju robiło się coraz chłodniej..

Cedzić się musiał ten ostatni promień przez jakieś dalekie drzewa bo drgało w nim coś niby splątany rysunek gałęzi i cienie ptaków,gromadzących się już wcześnie na sen.

I zawsze,patrząc na tę od lat znajomą,świecącą plamę,czułam jedno--(nie wiadomo dlaczego właśnie to?,,) że tak dobrze w domu i bezpiecznie i że takie jest jeszcze mnóstwo,niesłychane mnóstwo czasu na wszystko..

I myślałam o tem,mróz bierze i że gdzieś,nad wielkiemi drzewami krążą pewno gromany zamrzniętych wron i kawek a niebo za niemi staje się coraz czerwieńsze i złocistsze.

Nie przyśniło mi się,że te wielkie drzewa rosną w ogrodzie,który,kiedyś,nazwę sama--Zaświeciem..

A wśród stygnącej szarzyzny kątów,pąsowa plama blasku drgała i mieniła się jakiemś odległem,nieswojem życiem..

Trwało to zawsze tylko krótką chwilę.

Promień słońca obsuwał się ze ściany na dużą mapę Europy nad starą kanapą i gasł--na Islandyi.

Wtedy w mrocznym pokoju robiło się odrazu bardzo chłodno i późno.

....

2 4

2

A dziś, po latach, o wczesnym zachodzie zimowego dnia, chciałabym módz przywrzeć dojrzałemi ustami do owej ściany i pocałować--zanimby zgasło na Islandji--tamto dawne, kochane, domowe słońce..

1.

Urodziłam się 13-go marca 1873 r. we Lwowie,w słoneczne ~~pr~~południe,w domu na którego miejscu stanął później gmach Kasyna Narodowego.Okna parterowego mieszkania patrzyły w Ogród Jezuicki a ulica nosiła już wówczas nazwę ulicy Mickiewicza.

Pierwsze kwiatki w życiu,pierwsze śnieżyczki,położyła mi na powiciu Matka Dora,pani Skólimowska z Dynisk.Następnego roku w jesieni już nie żyła,ale jej dobrotliwe ręce zdążyły jeszcze obdarzyć mnie mnogością ślicznych strojów,ja zaś,zdążyłam nauczyć się jej imienia i wołać na nią „matka Dola." Haftowała i szyła dla mnie pelerynki,katanki,kapturki..Jeden z misternych buciczków jej roboty,amarantowy z czarnem,sukienny,wisi w Quodlibecie Cioci Tereni.

Dzięki stosowi starych kalendarzy,w których rodzice przez ~~długixxxxx~~ długi szerg lat zapisywali ważniejsze wydarzenia,mogłam i ja,wertując je,już samotna na Zaświeciu,przyjrzeć się zbliska początkom własnym,przekonać się,jak nic jeszcze sama o sobie nie wiedząc,widna już byłam w domu,ważna i kochana od pierwszej chwili,aż do tej żałosnej ostatniej,gdym po latach,z dawnego zespołu,została na świecie sama. Nowy Rok w tych kalendarzach zaczynał zwykle Tatko słowami: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego--Amen..

(Pod datą 6.Kwietnia r.1873 pierwsza dłuższa o mnie relacja: „W Palmową Niedzielę odbyły się chrzciny naszej córeczki.) Około pierwszej godziny w południe przyjechałem z ks.kanonikiem Skibińskim od św. Magdaleny i zastałem już bardzo wiele z proszonych gości. Zaraz przystąpiono do ceremonji.(Jako chrzestni

rodzice byli w pierwszej parze Henryk Rodakowski i panna Leonia Blühdorn (Rodakowskiego pasierbica a moja uczennica) w drugiej parze stanął Kornel Ujejski i Leonia Sawczyńska. Dziecina dostała imiona Marja, Wanda. O drugiej, po skończonej ceremonii chrzcin i wywodu matki, przeszli wszyscy goście do drugiego pokoju i zasiedli do suto zastawionego śniadania. Z gości, oprocz wyżej wymienionych chrzestnych rodziców, były następujące osoby: PP. Sawczyńscy, Tatomirowie, Pawłowscy, potem P. Mieczysław Darowski, Józef Waśkiewicz stary żołnierz, kapitan 4-go pułku ułanów w 1831, Wł. Zawadzki literat, F.H. Richter księgarz i wydawca „Strzechy", Jan Amborski literat, Dr. Adam Czyżewicz, Józef Ekielski i Bolesław Skólimowski.

Usposobienie było bardzo ożywione. Wznoszono rozmaite toasty. K. Ujejski z przemową do nowonarodzonej, Darowski dla rodziców chrzestnych, Rodakowski dla rodziców nowoochrzczonej. Dalej szły inne toasty, nareszcie z piękną przemową Sawczyński wniósł toast na cześć Poezji i Sztuki i jej tu reprezentantów. Około 4-tej skończyła się ta uroczystość i goście się zaczęli rozchodzić. A odbyło się wszystko tak pięknie iż z największem zadowoleniem i przyjemnością będziemy sobie ten dzień w naszym domu, do teraz pewnie najświetniejszy i najweselszy, przypominać."

Wracam i ja do tego dnia myślą wdzięczną i mimowoli wierzyć muszę we wróżebne jego uroki. Wielki poeta polski i wielki malarz, przekazali mi kult Piękna dośmiertny, dwaj historycy i dwaj weterani, na których piersiach błyszczały owego dnia na wstędze czarnobłękitnej stare, żałobne Krzyże Virtuti Militari, byli najgdyby zwiastunami tej doby, na którą oni z wiarą czekali a na którą oczy moje miały patrzeć po latach..

Pierwszy raz wyniesioną zostałam z domu na świat, w św. Feliks, 18 maja, strojna niechybnie w misterne konfekcje Matki Dory i jak to Mama zapisała w kalendarzu--pierwszem na co się natknął mój wózeczek w ulicy, było jakieś wesele..

W grudniu 1874, gdym już miała bez mała 21 miesięcy znowu notatka Ojcowa:

„Nasza kochana Maryla dobrze się chowa, zdrowa, bardzo pięknie się rozwija, szczególnie zadziwia dokładną wymową, wielką pamięcią i szczególniejszym pociągiem do rysowania. Ołówek tak dobrze trzyma w palcach, jakgdyby już dawno z tem oswojona. Rysuje nawet figurki, które istotnie mają podobieństwo do ludzkich, domki i.t.p. Umie nazwać dokładnie wszystkich malarzy, których obrazy w naszym pokoju sypialnym wiszą, jako to Murillo, Correggio, Holbein, Palma, i Grottger."

Raz po raz jawi się w kalendarzu jakiś zapisek związany bądź z moją maleńką osobą, bądź z towarzyską kroniką domu.

Pierwsze nabożeństwo w życiu na jakie byłam wzięta to ruska msza święta w dyniskiej cerkiewce. Jest też notatka o wizycie rodziców w pracowni Rodakowskiego, gdzie widniały na sztalugach właśnie ukończone portrety pułkownika brata jego Maksa i pani Zofji z Bobrów Juljuszowej Dzieduszyckiej. Jest zapisek o bytności Matejki i obiedzie danym dla niego przez PP: Rodakowskich na Cetnerówce pod Lwowem, na którym byli i moi rodzice, o wieczorze, który spędził u nas Daniel Penther, malarz, kolega Tatka z monachijskich czasów, rzadko jawiący się z Wiednia w rodzinnym Lwowie.. Potem śmierć Goszczyńskiego. Pierwszy umarły jakiego widziałam i moje pytanie „Czy ten dziadzio to święty?"

Z dwu par chrzestnych rodziców, główną rolę grał w mem dzieciństwie Henryk Rodakowski. Dziś dopiero widzę, jak chyba cenił moich własnych, skoro miał dla ich dziecka tyle dobroci, tyle drobiazgowej pamięci, skoro przez lata całe nie opuścił żadnej gwiazdki, żadnych urodzin czy imienin, aby malutkiej, a potem większej, nie sprawić jakieś wybrednej, radosnej niespodzianki. Najpiękniejsze lalki, najkunsztowniejsze pajace, meble lalczyne zwierzątka, jak żywe, miałam od niego. Zawsze albo przybywał z temi darami sam, albo gdy bawił za granicą, towarzyszył posyłce zabawek

czuły bilet z serdecznościami „Dla Lili" Ukochana moja lalka Karolcia, Paryżanka, przysłana z całą barwną wyprawą na któreś imieniny, była także jednym z darów Rodakowskiego. Kochałam go i byłam na niego wcześnie dumna. Wiedziałam, że jest wielkim, polskim malarzem i że dostał od Francuzów złoty medal. Dziwiłam się, że go nie nosi i bardzo byłam tego medala ciekawa. Lubiłam słyszeć jego bardzo niski, szczególnie dźwięczny głos, nietylko dlatego, że często towarzyszyła mu nowa radość, opakowana w pudła i szeleszczące papiery, ale dla jakiejś solenności, którą mnie przejmowało jego pobliże. Nie byłabym umiała tego wytłumaczyć wówczas, ale dzięki pochwytanym strzępom domowych rozmów o nim, czułam poza jego osobą świetny, daleki świat z którego przybywał. Zaciekawiała mnie, jak wszystko dla dziecka niezrozumiałe, jeszcze mi wówczas obca francuszczyzna, którą chętnie przeplatał rozmowę, pociągał ów głos strojny, głęboki, sam w sobie jakby odświętny, który po latach poznałabym pośród tysiąca.

Nie podobny był do żadnego z artystów, którzy u nas bywali. Jakiż inny był n.p. Grabowski, ze swoją zmiętą fizjognomią chorego psa, zmiętem ubraniem i wiśniowym fezem, dobywanym zawsze z kieszeni, gdy do nas przychodził na dłużej. Wkładał go na głowę siadał po turecku na dywanie i umiał nie odezwać się godzinami. A gdy zaczął mówić, najczęściej kazali mi rodzice iść zaraz do drugiego pokoju. Nazywałam go jednak „mój Tureczek" i lubiłam mimo wszystko.. Jak inny był Adam Chmielowski, mówiący cicho i łagodnie, którego obecność poznawałam zdaleka po stukocie drewnianej kuli. Nogę utracił w powstaniu.--i który robił studjum z głowy naszej służącej Józi do obrazu jakiejś świętej.).. Stary pan Raczyński, młody Wyczółkowski, swojski, zawsze jakby trochę nieśmiały pan Tepa--to byli całkiem, całkiem inni ludzie. Czuło się, że Rodakowski czemś osobnem od nich odbija. Był dworny, wytworny, bogaty. Dziś wiem, że -poza całą sztuką artysty i pięknością umysłu, jedną z głównych tajemnic jego uroku było to, że był niezmiernie w

życiu szczęśliwy. Że potrafił być przy tem równie dobrym, to zjawisko jeszcze rzadsze od szczęścia.

Drugi mój ojciec chrzestny wcale się zrazu mną nie troszczył. Wiedziałam, że istnieje, jak się nazywa, kim jest, ale bywał u nas rzadko. Przeżywał okres zbyt pochłaniający jego serce, aby myśleć o czem innem prócz o tej, którą kochał a utracić miał niebawem. Przyjrzałam mu się ważniej dopiero wtedy, gdy przyszedł się pożegnać z rodzicami, wyjeżdżając na stałe ze Lwowa. Było to po śmierci Pani Wildowej. Nie miałam o niczem pojęcia, ale zastanowiły mnie jego nieduże, zmrużone oczy, pełne łez, gdy mnie podniósł na ręce na odchodnem. Uściskał mnie i ucałował bardzo czule, ja zaś, nie oswojona z nim wcale, nie zdobyłam się i wtedy na serdeczność wzajemną. Nierychło dowiedziećł się miałam o właściwej przyczynie tych łez. Stanęły one w oczach poety nie z żalu za nami, ale nad samym sobą. Zostały mi w pamięci jednak te mokre oczy, kręte, siwiejące włosy i duża pogięta perła w krawacie.)*

Dopiero po wielu latach w r. 1887, gdy Kornel Ujejski przyjechał do nas na Storożkę, w jesieni, zawarłam z moim chrzestnym ojcem sojusz mocny, dożywotni.

Starsza z moich dwu chrzestnych matek, panna Leonia Blühdorn, późniejsza wicehrabina de Romanet, pozostała dla mnie pojęciem całkiem nierealnem. Wyjechała za granicę zanim zdążyłam ją spodtrzedz, wyszła zamąż i umarła, nim zaczęłam rozumieć. Ale pamiętała o mnie równie tkliwie, jak wielki malarz, jej ojczym. Do dziś zachowuję kilka ładnych drobiazgów, jakiemi obdarzała mnie

---

)* W liście mojej Mamy do K. Ujejskiego z d. 12/XII 1884 r. znalazłam wzmiankę o tej jego bytności pożegnalnej u nas. Było to w parę miesięcy po śmierci pani Wildowej, jak z relacji Mamy wynika, a zatem w r. 1878. To że Mama nie wspomina o mojej obecności wtedy jest o tyle proste, że szczegół ten dla samego momentu był bez znaczenia. Musiałam się nawinąć samorzutnie w ostatniej chwili i zapamiętałam lepiej od Mamy ten uścisk pożegnalny, dla mnie pamiętny a w jej wspomnieniu zatarty. Miałam już piąty rok i migawka ta stoi mi w oczach bardzo wyraźnie.

corocznie,zanim zgasła. Poznałam ją dopiero w r. 1894,podczas wystawy Kościuszkowskiej we Lwowie, czarnowłosą,o ciężkich warkoczach i złotawej cerze,z prześlicznemi rękami,odzianą w czarny aksamit, koronki i futro w Pałacu Sztuki,na wspaniałym,florenckim portrecie Rodakowskiego.

Ostatnia z czworga moich chrzestnych rodziców,jedenastoletnia wówczas Leonia Sawczyńska,dziś owdowiała Leonowa Paszkowska,jedna jedyna żyje dotychczas we Lwowie.Doznałam od niej również wiele dobra,wiele pamięci,wiernej przyjaźni i wspomnienia o niej snują się przez całe moje życie,znaczone mnóstwem niezatartych śladów. Zrazu obdarzała mnie różnemi pięknemi stroikami,wychodzącemi z pod jej przedziwnie zręcznych rąk,później uczyła mnie równocześnie ze swą Matką,panią Zygmuntową Sawczyńską wiele rzeczy,które dzięki ich doskonałemu wykładowi siedzą mi w głowie mocno i na swojem miejscu do dziś.. Jedna z tych istot, które daleko łatwiej szanować,nawet kochać--niż lubieć.Twarda dla siebie i dla drugich,zasadna w cnocie i wierna w przyjaźni. Mimo obcowania ze Sztuką jako pedagog odnosi się do niej jak do gramatyki,trzeźwo,bez cienia sentymentu.Wie mnóstwo,ale zdaje się nie czuć nic.Zawdzięczam jej ogromnie wiele ładu w głowie i porządnie tam rozmieszczonych wiadomości,z któremi już sama wiem co zrobić.

Młodociany profilek Leonii Sawczyńskiej namalował Matejko w Dziewicy Orleańskiej tuż za grupą króla i Agnes Sorel*)

---

*) O tem mam relacje nietylko od samej Leonii,ale stwierdziła ten fakt panna Emilja Witosławska,kuzynka Matejków,długoletnia opiekunka panien Heleny i Beaty,dobra znajoma moich rodziców.

Najwcześniejszem mojem własnem wspomnieniem,są krople rosy,błyszczące jak paciorki na hamaku pajęczyny,przyczepionym do ciemnej zieleni czegoś,o czem dopiero znacznie później dowiedziałam się,że ma na imię--sawina.Cudując się a nie całkiem jeszcze myśląc,czułam do niczego innego niepodobny smak zachwytu

Działo się to w ogrodzie „dzidzia" Brajera,jak nazywałam uprzejmego staruszka w którego domu--przy ul.Kazimierzowskiej l.37-- odnajmowali rodzice mieszkanie i przy którem to mieszkaniu był ogród z ową sawiną i pajęczyną.Mogłam mieć rok drugi albo trzeci najwyżej.Pamiętam dobrze wysokopienne,ciemnoczerwone róże,koło których spotykało się zwykle staruszka-gospodarza,odzianego w białe,letnie ubranie i słomkowy kapelusz z krezami.Róże niedosiężne dla mojego nosa,wąchane jednak nieraz dzięki właśnie „dziddziowi" który je ścinał błyskając wysoko nademną krzywym nożykiem. Spadały wtedy w trawę i nie wolno było ich tykać bo kłuły.

Twarzy rodziców z tego okresu nie pamiętam zupełnie. Byli zbyt codzienni i rozumiejący się sami przez się.Róże i krople na pajęczynie to było coś nowego,czego nie widywałam codzień. Przypominam sobie natomiast dwa nasze pieski. Charcik nazywał się Smyk a mała pinczerka Mucha. Z tą Muchą i pajacem od chrzestnego Ojca Rodakowskiego,namalował mnie Tatko na olejnym,owalnym portrecie,który wszakże nie miał być udany.Smyk zaś uwieczniony został na olejnym również widoczku dyniskiego ogrodu,razem zemną malutką i Mamą. Obrazek ten darowany Leli,jest w Medyce.

Mucha miała być nadzwyczaj mądra,ale zadzierzysta

i zginęła okropną śmiercią rozdarta przez dwie suki sąsiadów, duże i zazdrosne. Jak przez sen pamiętam tę katastrofę. Smyk, jak to wiem z tradycji, był o tyle szykowny o ile głupi i lekkomyślny. Ze względu na cienkość w pasie nie można go było bić, więc gdy coś zbroił, prawił mu Tatko długie perory, których pies musiał wysłuchiwać pokornie, wijąc się z nudów i upokorzenia. Morały te, wygłaszane umyślnie monotonnym głosem, kruszyły widać psie sumienie, bo pamiętam Smyka, jak wydając nerwowe okrzyki, cofał się coraz bliżej ściany a wreszcie wtykał długi nos w szparę za kanapą. Pochodził on z Dynisk i wywodził swój ród z gniazda chartów, które wydało takie znakomitości jak Jenny pani Skólimowskiej i piękny, podziwiany przez Grottgera, Lelio.

Trzykrotnie, dzieckiem, byłam z rodzicami w Dyniskach. Pierwszy raz w r. 1874, gdy żyła jeszcze Matka Dora, ukochana, macierzyńska przyjaciółka i dobra wróżka maminej młodości. Jej samej nie było wprawdzie w domu, gdyż chora, bawiła w Szczawnicy, ale był w Dyniskach pan Juljan, jej mąż, siostra pani Feliksa z Kłopotowskich I-o voto Tadeuszowa Skólimowska II, O voto Maurycowa Brezanyi, z córkami z pierwszego związku Anielcią i Bronią i synkiem Tadziem. Tadzio wyrostek, strzelał dla mnie wróbelki na pieczyste a raz zabił nawet wspaniałego orła. Tatko narysował go opartego na fuzji z pysznym ptakiem u stóp. Mama darowała później ten rysunek jego żonie. Bawili przez lato stary pan Paryłowski, major Wojsk Polskich, pan Brezanyi, panna Róża Ziętkiewiczówna, brat jej cioteczny Staś Niewiadomski, panna Żana Drobczyńska. Są to oczywiście wspomnienia z lat następnych, gdyż dopiero podczas trzecich wakacji dyniskich w r. 1876--w dwa lata po śmierci pani Izydory--nos mój sięgał z trudem brzega stołu w jadalni.

Ponieważ okna wychodziły na ganek obrosły winem, zawsze tu było chłodno i ciemnawo. Zawsze pachniał melon, zawsze syczał samowar, bodaj że wyższy odmienie, stojący koło drzwi, na mar-

murowym wykładanym w kwiaty stoliku. Nad nim wisiał pyszny portret jenerała Gadomskiego, ożenionego z panną Pokutyńską, obraz, który po ostatecznej rozsypce Dynisk, znalazł się na Zaświeciu.

Pan Juljan, nazywany żartobliwie „pan pan" ile, że bardzo mocno w domu panował, znajdował się już wówczas w fazie życia zmierzchowej, mniej groźnej niż ją przekazała tradycja.

Bo straszny był to pan! Gdy młodziutka, bogata i prześliczna panna Izydora Kłopotowska, chowana sierotą u babki, po krótkim okresie narzeczeństwa, sztywnego i oszańcowanego ówczesną etykietą o tyle właśnie, aby się dotyczący wcale znać nie mogli--przyjechała z mężem po ślubie do Dynisk, oznajmił jej pan Juljan że jej nie kocha i nie będzie kochać nigdy, że się z nią ożenił na złość kobiecie, która go nie chciała, odtrąciła i za innego wyszła. Grać komedji nie myśli i rzecz stawia jasno.

Dwór był duży, pusty, w jednem skrzydle mieściły się pokoje młodych państwa, w przeciwległym, przedzielonym amfiladą wielkich, nizkich pokojów, salonami, jadalnią i palarnią--garderoba, locum miejscowej, świadomej stosunków, służby. Pan Juljan często i długo przebywał za domem, a młoda kobieta, przymierająca po strasznym wyroku, półżywa z dziecinnej trwogi przed samotnością i ciszą, wymyślała sobie wieczorami umyślne preteksty, aby przebiegłszy pędem ciemne, puste pokoje, wpaść bodaj na chwilę do garderoby i z pokojową zamienić parę słów. A potem znów mężny powrót przez ciemne, wielkie przestrzenie, popod ciemne, belkowane sufity, samej jednej, wylękłej zarówno przed życiem, jak przed własną rozpaczą.

Rychło--malgré tout--zaniosło się na przybytek. Urodziło się z czasem dwu synów Władysław i Józef, najmłodszem, ostatniem dzieckiem była Zosia. Pan Juljan tymczasem, ongiś świetny porucznik Wojsk Polskich z 31 r. kawaler Krzyża Virtuti Militari, acz wysoko ukształcony i pełny--do gości--poloru, zapadał powoli w nałóg haniebny i --o ile nie gnębił w stanie trzeźwym otoczenia--stawał się na całe godziny martwą naturą, którą jedynie lokaj

zausznik zawiadował. Pani Dora natomiast,z równowagą zupełnej świętej,oddała się dzieciom,gospodarstwu i pogłębianiu swego bardzo niezwykłego umysłu. Potrafiła z czasem,mimo własnej i jakże przewlekłej,życiowej klęski,uczynić zatruty od korzeni dom,przybytkiem błogim dla innych,których kochała,garnęła,tuliła--i jej to zawdzięczają oboje Mama i Grottger,najlepsze tygodnie życia. Nazwisko jej wspominane zawsze z uniesieniem wdzięcznej adoracji jawi się w jego listach do Mamy,nazwisko,któremu po latach danem mi było położyć epitafium w medyckiem wydaniu tej korespondencji.

Pani Skólimowska umarła o tyle zapóźno,że dożyła świadomości o odziedziczonym przez starszego syna ojcowskim nałogu i o nieuleczalnej chorobie płuc jedynej,ukochanej córki,--o tyle dość wcześnie,że niedowiedziała się nigdy o zagładzie Dynisk,własną wyłącznie pracą ratowanych latami,ani o tem,że wskutek nieprzytomnej gospodarki spadkobierców szło niejedno cudne drzewo z parku na opał--aż w końcu główny wierzyciel,żyd,Reiss,sprowadził się --jako właściciel -do dworu.

Mama kochała Matkę Dorę może bardziej nawet niż własne „matki" jak nazywała babcię i siostrę jej,ciocię Terenię.Wdzięczna jej była całe życie i do końca wspominała jej rozum przenikliwy a słodki,jej nieporównaną wytworność i hart. Pamiątki po tej jedynej,ukochanej przyjaciółce,nie opuszczały Mamy do ostatka.Matka Dora wszakże przywiozła z dyniskiej oranżerji mirt do Mamy ślubnego wianka,włosy jej,wraz z włosami Grottgera,włożyłam,wedle zlecenia,do maminej trumny.

Takie tedy były dzieje „pana pana",Matki Dory i Dynisk.Ale wtedy,malutka,nie czułam żadnej grozy.Owszem,lubiłam tego słusznego,starszego pana,którego wielkie chustki do nosa pachniały zawsze czemś prześlicznem i który nieraz brał mnie ze sobą na przechadzkę po pokojach,w których zresztą nie miałam racji bytu i które dlatego właśnie bardzo mnie zaciekawiały. Stały tam piękne ciemne meble o połyskujących jak złote,ozdobach,jakich na naszych

domowych sprzętach nie było, wisiały piękne obrazy, wszędzie moc świeżych kwiatów i złoconych książek. Osobliwie zachwycała mnie haftowana ścianka w drewnianej ramie, ekran, stojący przed piecem na którym jakaś cierpliwa, rodzinna nieboszczka wyścibała bukiet niebywałych kwiatów, bajecznych róż, wielkości mojej własnej twarzy. Jedną z nich uwielbiałam i kochałam namiętnie.. Była żółta i miała poziomkowe cienie. Obok niej widniał błękitny kielich powoju o skręconym zalotnie wąsie.

Głównie żyłam wtedy oczyma. Mam dotąd w pamięci zatrzęsienie jakby kolorowych klisz z tego czasu, ostrych i nie płowiejących z latami. Wnętrze powoju zerwanego koło oranżerji przez Mamę, gdzieś, koło zielono malowanej ławki, amarantowe brzegami, a na dnie kieliszka pełne jakby światła, które się może wylać za przechyleniem.. Szarą siatkę na melonie, czarno aksamitną ciemność sadzawki, z której Daćko, ogrodnik, czerpał wodę do polewania grządek, ogromne kaczki z pierzastemi czapeczkami na głowach, biały zawiły deseń na granatowej spodnicy babiny, która była moją nianią w Dyniskach...

W r. 1876, przed wyjazdem naszym na te trzecie dyniskie wakacje, umarła we Lwowie moja młodsza siostrzyczka Wandzia, nazywana Sroczką a przezemnie Joczką. Nie zajmowałam się nią wcale gdy żyła.. Raz, przypominam ją sobie gdy siedziała na foteliku mojej lalki, Karolci (jedno i drugie zabawki od H. Rodakowskiego z Paryża).. Była już bardzo chora, pewno miała gorączkę i było koło niej jakieś zamieszanie niezwyczajne. Zastanowiły mnie wtedy silne kolory na małej buzi i ogromność błyszczących, ciemnoniebieskich oczu. Interesowało mnie, że już się mieści w ten fotelik i jest aż taka ładna. Ładność spostrzegałam przedziwnie wcześnie. Gdym patrzyła w lustro podobałam się sobie, ale czyniłam to naprawdę bez niczego podobnego do próżności. Poprostu jak się widzi że coś jest czerwone albo niebieskie. Jedni są ładni, drudzy nie. Lepiej jeżeli są ładni.

Dobrze i uważnie przypatrzyłam się Joczce dopiero gdy umarła. Nic, ale to haniebnie nic nie pamiętam szczegółów, które tę śmierć maleńką poprzedziły. Zaczęłam spostrzegać inny wygląd domu i domowych dopiero w jakimś momencie kiedy mnie Mama poprowadziła do zaciemnionego pokoju w którym się paliły wysoko postawione świece..

Podniesiona przez Mamę zobaczyłam malutką, niebieską ubraną dziewczynkę. Była zupełnie biała na buzi, oczka jej były zamknięte, rączki o zaplecionych paluszkach leżały nieruchome, cała była zasypana gałązkami geranjum. Dziewczynka ta miała być naszą umarłą Joczką. Wydała mi się czemś całkiem innem, komu się wydarzyło coś niezmiernie osobliwego. Byłam onieśmielona jej widokiem ale nic a nic smutna. Parę miesięcy wcześniej widziałam już zresztą kogoś kto umarł i leżał między świecami w trumnie. Był to Goszczyński. Myliło mnie też czyjeś zasłyszane powiedzenie, że Joczka jest teraz aniołkiem, co mi się wydało bardzo dla niej korzystnem a zaszczytnem dla nas. Tylko Mamin płacz martwił mnie i dziwił. Wydała mi się także jakby mniej znajoma, z obcym wyrazem twarzy którego nie pojmowałam. Jakże nierównocześnie wysuwa życie szufladki człowieczych pojęć! Stworzenie, które umiało już widzieć obrazy, czuć urodę natury i ludzkich twarzy, było zupełnie tępe nietylko na ~~śmier~~ śmierć ale na smutek najbliższych. Gorzej.. bo gdym następnie w Dyniskach zobaczyła nad łóżkiem Mamy przywiezioną ze Lwowa fotografię Joczki w trumience, oprawną w modry aksamit i owiniętą krepą przed muchami--uczułam szkaradne ściśnięcie serca o to, że widocznie nie ja tylko mam do Mamy prawo, a nawet mojej fotografji wcale ze sobą na lato nie wzięła.. Doskonale pamiętam ucisk i niesmak zazdrości. Było to tem głupsze, że rysunek Tatka przedstawiający Bolcia, mojego starszego ~~brata~~ o rok braciszka, także w trumiencey wiszący w lwowskiej sypialni rodziców, niczem mi nie dolegał.

W kalendarzu z r. 1876 pod datą 2/7 zapisał Tatko: „Dziś popołudniu o 6-tej wieczór, odbył się pogrzeb naszego

Aniołka. Chociaż deszcz padał, zgromadzili się dość licznie nasi najlepsi przyjaciele. Cudnie wyglądała dziecina, ułożona jakby śpiąco, ustrojona w błękitnej sukieneczce, którą właśnie na tydzień przed śmiercią chrzestne matki, panny Skólimowskie na imieniny jej zrobiły. Stół na którym leżała obstawiony był wszystkiemi kwiatami matki i wszystko to matka sama ułożyła. Trumienka była z białej blachy, srebrna. Wieko przyłożyłem sam i z Henrykiem Rodakowskim wynieśliśmy trumienkę do powozu. Powieźli ją na kolanach: Panny Skólimowskie, Józef Żuliński i Stefan Grzywiński. Pochowana obok prababki swojej a babki Wandzi. Przy tej sposobności doznaliśmy wiele dowodów przyjaźni. Maryla przy tym całym wypadku zachowywała się dość dziecinnie i tylko smutek matki robił na niej wielkie wrażenie.."

A poniżej, pod datą 16 lipca krótki zapisek:

„Wyjechaliśmy do Dynisk na usilne zaproszenie pana Juljana Skólimowskiego.".

Bywała w Dyniskach często muzyka. Grywał--o ile nadjechał--pan Władysław, starszy syn domu(uczeń ongiś Liszta) którego przypominają mi zawsze wizerunki Jana Kazimierza, --grał Staś Niewiadomski, panna Róża i Mama śpiewały.

Głos Mamy dogadzał mi jak najpiękniejszy zapach, jak jakaś najśliczniejsza rzecz widziana. Sam dźwięk urzekał mnie, jak gwizdanie urzeka jaszczurkę, bo ani słowa ani kompozycja nie były jeszcze dla mnie zrozumiałe. Umiałam siedzieć cicho i nie ruszać się a gdy były przerwy, czekać na jeszcze. Akompanjował zwykle Staś. Miał wtedy może lat szesnaście, może trochę więcej.. Nosił długie włosy, były jasne i układały się pięknie.. Ubrany chadzał ówczesną letnią modą prawie zawsze całkiem biało. Wydawał mi się przejmująco piękny, podobny do różnych „głównych" twarzy na obrazach i to podobieństwo kłopotało mnie w jego obecności w sposób przyjemnawo przykry. Lubiłam kiedy grał, przypatrywać się jego pod-

niesionej głowie, której rysy niepokoiły mnie i pociągały dziwnie. Raz--pamiętam, narwałam garść stokrótek, same główki, bez ogonków, po dziecinnemu i nasypałam tę skubankę na klawisze aby go uczcić. Nie domyślił się jednak owacji i bez ceremonji strzepnął wszystkie pod fortepian!

W Magdalence koło Dynisk, mieszkał i gospodarował, jeszcze wówczas nie żonaty, młodszy syn PP. Skólimowskich, Józef. Ponieważ bawili w Dyniskach przeważnie krewni lub sami bardzo bliscy a wszyscy ogromnie go szanowali i kochali, mówiło się o nim poprostu: Józio. Czułam ten ogólny szacunek nawet w moich trzechletnich nizinach.

Zostałam raz wzięta spacerem na Magdalenkę, dokąd się pojechało po wiejsku, wozami. Niezmiernie podobała mi się trzęsąca jazda w słońcu, obłoki pyłu, konie nie zasłonięte wysokim kozłem--a potem cała wizyta u Józia. Gdy uszczęśliwiona z ciepłej gwałtownej ulewy, pławiłam się radośnie w lejących strumieniach deszczu, nie mogłam pojąć dlaczego starsi tacy temu nie radzi. Przebierano się potem w jakieś odzieże płócienno-piekarniane, gdyż damskiej pod kawalerskim dachem nie było. Przy podwieczorku Żana z nabożnym naciskiem pokazała mi zniekształconą prawą rękę Józia mówiąc mi cicho, że gdy się bił za Polskę w powstaniu, Moskale przerąbali mu te dwa palce. Była to pierwsza wiadomość tej powagi o kimś znajomym i pierwsze takie wrażenie, które zapamiętałam mocno. Nigdy dotąd nie zdołałam patrzeć na Józia inaczej jak z myślą że się bił za Polskę i że mu za to Moskale palce porąbali. Rozmiar jego znaczenia w moich oczach stał się odtąd dwa razy naturalnej wielkości.

W Dyniskach Tatko zawsze dużo rysował, czemu we Lwowie--ile że to było w pokoju swoim osobnym, lub wysoko, przy stole trudniej mi było asystować. Tu odbywało się to najczęściej na dworze, na ganku, lub w ogrodzie. Rysował Tatko baby z piekarni, Daćka ogrodnika, spędzającego życie pośród kwiatów i jarzyn, w zazdrości

godny sposób spoufalonego z lasem kukurudzy za którą przepadałam. Stawałam cicho przy Tatkowym łokciu i widok spiczastego ołówka z pod którego sypały się szybkie, szare kreski potrzebne wszystkie na to aby baba była podobna i taka sama jak żywa, siedząca przed nami, przejmował mnie nabożnem uszanowaniem dla Tatkowych palców i zagarniał nawet babę w obręb jakiegoś czarodziejstwa. Puszyło się coś we mnie, że Tatko tak umie, alem go jeszcze samego wcale nie znała, choć czułam, że mnie kocha. Trzy lata to jest jednak wiek bardzo mizerny..

Niebawem wyprowadziliśmy się od „dziadzia" Brajera, którego ogrody i domy, zniknąć miały z czasem bez śladu pod kamienicami ulicy Brajerowskiej-- i zamieszkali przy ul. Syxtuskiej pod nrem. 33. Mieszkanie to miało długi ganek od podwórza i okna wschodnich pokojów wychodzące na jakieś niskie oficyny, ponad któremi widać było czuby drzew w ogrodzie Potockich. Dalekie, ale zawsze drzewa, a na niemi dużo nieba.. Strasznie lubiłam te okna. W zimie ~~wyxxxxxxx~~ wymarzały w najwspanialsze bodiaki, lub różane pręty i oglądane poprzez nie gromady kawek latających nad dalekiemi drzewami, były moim codziennym, zimowym teatrem. W tym samym domu mieszkała pani Fela, Brezaniowa, siostra Matki Dory, z córkami Anielką i Bronią, do których nieraz chadzałam w odwiedziny. Pamiętam wnętrze mahoniowych szkatułek w których wolno mi było grzebać, zapach tych skrzynek, dotyk jedwabnych motków o delikatnych kolorach i ~~kxxxxxxx~~ kryształy na tualecie pani Feli.

Nie uczyłam się oczywiście jeszcze wcale, prócz liter w zabawie z Mamą, alem rysowała zapalczywie na wszystkiem co się nadarzyło. Bodaj że już wtedy także pewien lekki haczyk z pieca, dał mi poznać tajemniczą władzę wydoskonalonego z czasem „kręcidła", zaczarowanej różdżki mojej młodości. Brałam go w prawą rękę, gramoliłam się na ~~jxxxx~~ jakiś podnóżek lub paczkę--

krzesło było na ten cel zawysokie a na podłodze szło gorzej) i zaczynało mi się myśleć..Myśleć tak płynnie jak leci woda z pod kurka,a co najdziwniejsze,prawie bez xxxx udziału woli,jakby coś myślało mną,nie jakbym ja coś wymyśliwała. Stałam jakby xxxx nad jakimś płynącym strumieniem,sama ciekawa co nadniesie.Zaczęło się to ,jak moc o wiele ważniejszych odkryć, przypadkiem. Ścisnąwszy mocno w prawj ręce zakrzywiony haczyk,odczuwałam doraźnie jakgdyby napływ czegoś z poza mnie i równocześnie myśli zaczynały się układać w kalejdoskop scen,zrazu oderwanych xxxx xxxx jak obrazki,potem spojonych konsekwentnie w długie opowieści. Z początku nie umiałam tego tak analizować jak dziś,dość mi było świadomości,że ścisnąwszy haczyk w garści,wpatrzywszy się przy tem w jego zakrzywiony koniec,naopowiadam sobie różności,o których mi się przed momentem nie śniło. Trzeba tylko było wykonywać mocno xxxxxxxxxx ściskanym haczykiem,ruch w powietrzu,jakgdyby się je wierciło od spodu i to w tym kierunku,jak jak kluczem w otwieranym zamku. O swobodzie i obfitości z jaką mi się wymysły i słowa sypały w takich transach,nikomu nie mogę dać pojęcia.

Zrazu zdawało mi się,że każdy tak potrafi i wcale się z moim obrzędem nie kryłam.Stawałam całkiem jawnie na podnóżku i z haczkiem w ręce,wyplatałam głośno niestworzone historje.Mama protegowała to dziwadło,Tatko bał się go trochę,sługi się wyśmiewały i jedynie Adaś wystąpił z czasem jako zdecydowany przeciwnik „kręcidła". Nie było w tem głębszych przyczyn na-d pospolity braterski program robienia na złość. Na razie,w mem opowiadaniu Adaś ma się dopiero urodzić.

W jesieni 1877 wzięli mnie ze sobą rodzice pierwszy raz do Krakowa.Miałam piąty rok,umiałam nazwać już wielu królów polskich,z obrazu Cynka znałam królową Jadwigę,która kochała xxx Wilhelma..Wiedziałam,że to on leży na obrazie,w rozpaczy u jej stóp,umiałam krakowiaka o Wandzie co nie chciała Niemca,posiadał

łam książkę o panu Twardowskim w której był śliczny obrazek na którym czarodziej jedzie karetą po krakowskim rynku i tłucze żonine garnki--słowem,zupełnie dość aby stworzenie tak rozbudzone i egzaltowane wprawić w szał radości, gdym do Krakowa dojeżdżała. Naturalnie,że i na Kopiec Kościuszki byłam przygotowana! Gdy mi Mama pokazała Krzemionki,wiedziałam już że się tam Twardowski z djabłem zmawiał,nie miałam też wątpliwości,kto był dziś największym,polskim malarzem--znałam jego fotografię,na której napisał własnoręcznie: „Karolowi Młodnickiemu,przyjacielowi od serca--Jan Matejko. Tego Matejkę,żywego,miałam także zobaczyć.

Wujostwa Korczyńskich nie znałam jeszcze,ale wiedziałam od Mamy jacy są kochani i jaka ciocia piękna. Istotnie ciocia była wspaniała,jednak dla moich krótkowzrocznych oczu jej biała,poważna twarz była o wiele za wysoko. Mama miała wzrost bardzo okazały,ale była niższa od cioci Edziowej.Wuj zato,znakomity lekarz i profesor Jagiellońskiego Uniwersytetu od razu przypadł mi do serca.Brał mnie na ręce,nosił i miałam tuż przed sobą jego śmiejące oczy zielonkowate w ciemnej oprawie jak oczy Dziodzi,mówił głosem który się musiało lubieć i czułam,że się mną naprawdę cieszy. Bardzo,bardzo pokochałam z czasem moich wujostwa.Narazie byłam jak półprzytomna,podniecona nowością wszystkiego,co--(Brzmieć to musi komuś nieprawdopodobnie a jednak jest prawdą uczciwą--) przepełniało już wtedy odrobinę mego serca w sposób dziwnie gwałtowny. Polscy królowie Wisła,Twardowski,i Matejko którego miałam zobaczyć! Był we mnie zawsze głód piękności,wzniosłości,głód zachwytu,ekscytowany pewno i otoczeniem dorosłych,entuzjastów i dziwacznym nałogiem, który przyspieszał rozwoj moich pojęć w sposób anormalny.

Gdym się znalazła z rodzicami w pracowni Matejki, całą ścianę nawprost wejścia zapełniało olbrzymie płótno Grun-

waldu.Przed niem stało coś jak przeźroczysta ~~xxxxxxxx~~ ambona z galeryjką i schodkami.Matejko witał się z rodzicami,potem wziął mnie na ręce i ucałował.

„No cóż tam widzisz?" zagadnął obracając ku obrazowi.

„Nic nie widzę,tylko same kolory.."

„A ludzi nie widzisz? " dziwił się.

„Nie,nie widzę.."

„Jak to może być..Musisz zobaczyć! " i wyniósł mnie po schodkach na ambonę,czyli podjum,na którem stojąc malował wyższe partje obrazu.

„Cóż,lepiej widzisz?"

Zobaczyłam teraz za dużo.Ogromne,wytrzeszczone oczyma,brodate twarze,zawieruchę ludzi,koni,wszystko zabliskie zawielkie..

„Tak,teraz widzę.." przyznałam,ale musiał dostrzedz że mi nieswojo,bo mnie znowu zniósł napowrót po schodkach,prowadząc brzegiem wzdłuż obrazu.

„Popatrz --mówił-- wszystky na górze to Polacy a ci na dole to Niemcy pobici!Musisz powiedzieć co ci się tu najlepiej podoba?"

„Ten biedny Niemiec," powiedziałam pokazując na Lichtensteina.Błękitno biała suknia i złota czupryna rycerza walącego się wstecz z konia na widza,zachwyciła mnie.

„A bój-że się Boga,Niemiec! " zgorszył się Matejko a potem dodał żartem:„Otóż to,znowu gust niewieści nie godzi się z polityką..!"

Całę tę rozmowę zanotowała Mama pokrótce w ówczesnym Kalendarzu ale i mnie samej wrażenie i słowa,oprócz ostatniej reflekcji o kobiecym guście,utkwiły dziwnie wyraźnie w pamięci. W liście do Ujejskiego z d.17/10 w r.1886,wraca Mama szerzej do tej scenki dobrze mi pamiętnej,ale i wtedy opuszcza ów żartobliwy okrzyk „A bój-że się Boga,Niemiec!"

Wrócił mi on wspomnieniem po latach, na rozstajnej drodze życia, wobec dziwnie podobnej, zwichrzonej, złotej czupryny Niemczyka.. Mój Lichtenstein nazywał się inaczej, ale przegrał tak samo..

Nauczona przez Mamę, odchodząc, pocałowałam Matejkę w rękę. Znowu mnie podniósł i uściskał, a potem, stawiając na ziemi odgarnął mi grzywkę i musnął palcem po czole. Pierwszy to raz nakreślił mi krzyżyk, co czynił potem zawsze ilekroć później odwiedzałyśmy go z Mamą w pracowni, albo gościli u nas we Lwowie. Zawsze wracało mi w jego obecności poczucie, że to są właśnie te momenty dla których żyć warto, że po takim krzyżyku muśniętym ręką Matejki na czole, człowiek sam jest jakby wyświęcony czy pasowany na lepszego, sam sobie odtąd więcej wart i winien. Ale wtedy byłam jeszcze za mała aby to tak wyrazić, czułam jednak wielkie podniecenie i napuszenie myślą, żem poznała sławnego Matejkę.

Pobyt ów wszakże krakowski nie z samemi zaszczytami dla mnie się łączy. Niestety, nie piękne rzeczy wyznać mi trzeba. W Krakowie bawili wówczas tylko obaj Wujowie Edward i Adolf, oraz dziadziowie Korczyńscy. Ciocia z Edziem przebywali w Kobierzynie na letnisku. Byliśmy tam także aby ich zobaczyć. Edzio chodził jeszcze w sukience jak dziewczynka, był bladawy, bardzo ładny ale mało mówił i nie był wcale mną przejęty.

Raz, podczas naszego pobytu w Krakowie przyjechała ciocia z Edziem i byliśmy na obiedzie u dziadziów. Przyszłam do stołu w złym humorze a skwasiłam się jeszcze bardziej, widząc że Edzio dostał dziecinne, wygodne krzesełko, ja zaś siedzieć miałam na zwykłem, wypiętrzonem poduszkami i albumami. Buntując się i wiercąc, bardzo trudno było na tem usiedzieć.

Mimo moich egzaltacji i estetycznych uniesień, bardzo byłam łakoma. Podano pieczeń. Zobaczyłam, że Babcia położyła Edziowi na talerzu kawałeczek nerki. Resztę wzięli in-

ni..I jego obojętność dla mnie i niewygodne krzesło i jawna krzywda z nerką-- w domu ja zawsze dostawałam połowę-- dopięły miary mego rozżalenia. Postanowiłam, że pójdę i nie wrócę. Odczekałam przezornie legominy a potem, gdy się przy wstawaniu zrobiło zamieszanie, wzięłam z przedpokoju moją nową parasolkę w bukieciki bratków z liljowemi frendzelkami, obróciłam bez trudu klucz w drzwiach i pędem, bez kapelusza, zleciałam schodami ku bramie.

Szłam ulicami, pełna głuchej zemsty i zadowolenia ze siebie. Był ciepły, letni dzień i niczyjej uwagi nie zwracała dziewczynka idąca z niewinną miną, wprost nie dużego nosa. Pamiętam--naprawdę, pamiętam! --jak się napawałam satysfakcją, jak doskonale wiedziałam co będzie za popłoch gdy mój brak spostrzegą. Stawałam na palcach przed sklepowemi wystawami słońce świeciło, zasłaniałam się parasolką, ludzie mnie mijali.. Nie wiem jak długo to trwało.. Tymczasem Tatko, Wuj, malarz Cynk obecny także na tym obiedzie, wszyscy rozpierzchli się po ulicach.. Wreszcie gdym stała przed wystawą i przeglądała się w pękatym brzuchu mosiężnego samowara, złapał mnie ktoś pod pachy i porwał w powietrze.. To Cynk poczciwy, ten sam, który namalował Wilhelma u stóp Jadwigi--dopadł mnie pierwszy i bojąc się zdrady, porwał na ręce i nie puszczał. Zła byłam jak furja, miałam ochotę wąsy mu oberwać, krzyczeć na całe miasto--ale ambicja mnie wstrzymała. W milczeniu dałam się nieść razem z otwartą parasolką w bratki...

Nikt nie dowiedział się o powodzie ówczesnej ucieczki.. Nie było zwyczaju dawania mi w skórę. Wuj i Mama wymyślili inny genialny sposób. Odtąd zawsze w dość częstych napadach złości, dostawałam zimny kompres na żołądek, oznajmiano mi że jestem bardzo chora i kładziono do łóżka. Czasem dopiero nazajutrz wolno mi było wstać. To działało świetnie. Okład, przymusowa kontemplacja, groza choroby, wszystko to kruszyło moje sumienie i

miękłam na czas dłuższy..

Dziadziów Korczyńskich wspominam jak niewyraźne, miłe sny. Babcia, siostra mojej rodzonej, oraz cioci Tereni i Celiny w Czerniowcach, zwana ciocią Lizią, bardzo mi pono sprzyjała a dziadzio łączy mi się z pierwszem pojęciem o skrzypcach. Grał pono pięknie i Mama bardzo go kochała.

Prócz nich mieszkał też w Krakowie drugi syn dziadziów, Adolf, adwokat. Odwiedziliśmy go. Był nieżonaty, miał duże mieszkanie z którego zapamiętałam czarne, rzeźbione (meble) obite błękitnym jedwabiem i szereg szaf oszklonych z książkami. Na brzegu jednej z półek za szkłem, leżało kilka czerwonych kamieni. Powiedziała mi Mama, że ~~xxxxxxx~~ przywiezione są z Ziemi Świętej i bardzo możliwe, że któregoś z nich dotknęła stopa Pana Jezusa. Nie pamiętam aby kiedykolwiek później jakaś religijna czy historyczna relikwia, wywarła na mnie wrażenie ~~xxx~~ równie wstrząsające, jak tych kilka kamyków--po owych maminych słowach. Wcześnie byłam obznajomiona z boskiemi sprawami, znałam wiele obrazów, pieśni, lubiłam oglądać procesje, ale wolałam, że ani Pana Jezusa ani nikogo z nieba nie można zobaczyć. Połową duszy potrzebowałam zawsze rozumieć i wiedzieć, drugą połową wielbiłam tajemniczość i bajkę..

Robiliśmy wtedy z Wujem, ciocią i Cynkiem wiele okolicznych wycieczek, do Skał Panieńskich, Mogiły Wandy, Łobzowa--mnie najżywiej utkwiło w pamięci jedno popołudnie w Krzeszowicach, ~~gdz~~ gdzieśmy zwiedzali park Potockich i gdzie mnie olśnił wodotrysk i rozmarzyły prawdziwe, pływające po stawie łabędzie. Zostało mi też stamtąd wspomnienie pajdy chleba z masłem i miodem, którą wysuwającą się z niezgrabnych rąk, przycisnęłam z całej siły do serca. Los zdarzył, że miałam wtedy na sobie ładną błękitną sukienkę, obszytą falbaneczkami ze strzępionego jedwabiu. Biedna Mama!

Na Wawelu, na moją bajczarską fantazję, podziałały najsilniej kości mamucie u drzwi xxxx Katedry. Groby królewskie to był dla mnie tylko kamień a to były smocze kości. Nikt nie miał serca odebrać mi wiary, że smocze. Mama zwłaszcza miała cudowną tolerancję dla potrzeb mej wyobraźni i jej własna Lust zum fabulieren" towarzyszyła mi xxw na wszelkich odkrywczych wędrówkach po lasach i dziuplach, które zaludniałyśmy krasnoludkami i xxxxxx innem dziwem dowoli. Nie było to może pedagogiczne, ale niezapomnianie cudowne. Nigdy zresztą nie spowodowało żadnej pomyłki w rozeznaniu dwu światów.

Na Boże Nar. tego samego roku przyjechała do nas Babcia z Czerwiowic, gdzie u starszej siostry Augustowej Schally, zwykła była przebywać miesiącami.

Przyjazd jej był dla mnie ważanym wypadkiem i ogromnie barwną porcją wrażeń.. Pamiętam rozpakowywanie walizek. Kolorowa inność nieznanego świata zachwyciła moje oczy, gdym ujrzała przepysznie haftowane szlaki na bukowińskich ręcznikach z tak zwanego czynowatego płótna, lnianych, które w domu ciotki Celiny prządła i tkała jej mamka, staruszka Katarzyna.. Potem rumuńskie jedwabne chustki na głowę, kraciate, błyszczące „testemele" a wreszcie pierwszy oglądany z bliska kilimek, w sło miano żółte ostre płomyki na dnie malinowem i modrem. Klejnot nie kilimek! Zjadły go mole dopiero na kawalerskiej kwaterze Adasia..

Okropnie mi się udała Babcia! Przyjechały też słoje pigwowej galarety, barwy jasnego karniolu, w której czerwieni bielały z rzadka ziarnka laskowych orzeszków, różany sorbet i chałwa w drewnianej puszce, coś tłustego i słodkiego co wcale nie było dobre, ale jawiło się zbyt blisko kilimka i jedwabnych testemeli aby tem gardzić..

Babcia bywa zwykle siwa i pomarszczona. Moja, była dziwnie śliczna choć niemłoda. Pamiętam ją czeszącą się.. Wi-

dzę strumień włosów czarno-granatowych, sięgający kolan i rysy, które zawsze i później wydawały mi się zbyt paradne na codzień. Oczy miała Babcia wielkie i granatowe jak Joczka, smutne, mimo uśmiechu, o ciężkich, długorzęsych powiekach..

W samą wilję, tego roku urodził się Adaś.

Z osób bywających u nas lubiłam panią Eustachową Jezierską a zwłaszcza jej córkę, Welę.. Wesoła była, miała ładne czarne oczy i okazywała wielkie zainteresowanie memu „kręceniu". Już w tym czasie je zauważyła, kiedy mi się jeszcze ani śniło o haczku, tylko zaciskałam piąstki a zwłaszcza prawą w kułak, wiercąc nim powietrze. Nauczyła się robić podobnie, ku mojej wielkiem uciesze i zdaleka już, gdy wchodziła, widziałam jej podniesione pięści, robiące znajome półobroty i jej ładne, czarne, roześmiane oczy.. Gdyśmy się po dziesiątkach lat znowu zobaczyły, przypominała mi moje dziecinne, zaciśnięte kułaczki, wiercące dziury w powietrzu. Wyszła za Bolesława Eulenfelda, zacnego Polaka i autora patryjotycznych sztuk popularnych, grywanych jeszcze zawsze.. Sama także pisała wiele dla sceny.

Z rodziny mieszkali we Lwowie jedynie Wujostwo Pawłowscy. Bardzo lubiłam tę Tatkową siostrę, ciocię Milę i jej męża. Ciocia była elegancka i zabawna, wuj Antoni urodziwy i miły. Dom ich podobał mi się bardziej od naszego, więcej w nim było roślin i kolorów. Ciotka umiała zawsze, choćby na chwilowym popasie, urządzić się przytulnie i ozdobnie. Bukiet, ładna barwna szmatka, jakiś ciekawy czerep, książki -- w momencie musiało być koło niej ładnie. Długo żadne nakrycie stołu nie mogło się dla mnie równać elegancją z tem, jakie oglądałam podczas imieninowych czy świątecznych przyjęć u Wujostwa Pawłowskich. Obrus był zarzucony zielenią paprotki rosnącej całą chmurą w ogromnym wazonie na postumiencie w salonie, delikatnej

jak śniegowe gwiazdeczki. Na obrusie talerze niebieskie, pozłacane, na dnie każdego malowana gałązka jaśminu. Koszyki porcelanowe, o pozaplatanych złoconych rączkach, etażerki z purpurowego kryształu na których winogrona (św. Emilja w lispotadzie!) zmieniały się w klejnoty z bajki. Herbata podawana była po staroświecku w szklankach a każda szklanka siedziała w srebrnym koszyczku z rączką.

Sypialny pokój Wujostwa potrafiłabym namalować jeszcze dziś. Na łóżkach amarantowe kapy w ogromne czarne kwadraty z chwastami na rogach, kanapka i fotele półokrągłe z jasnego drzewa, obite materją w duże piwonje różowe, tualeta na słupkach ze zwierciadłem poprzecznem i róg obfitości wiszący na jednym ze słupków, atłasowy, pełen aksamitnych brzoskwiń i jedwabnych śliwek. Do tych owoców przyszpilała ciocia czasem wycinki z gazet. Odczytane kilka razy szły potem na papiloty. Ciotka bowiem miała sentymentalne gusta i nieraz widziałam ją płaczącą na czułych ~~xxxxxxxxx~~ sztukach. Nie przeszkadzało jej to tańczyć do starości niemal szalenie i świetnie..

W domu Wujostwa była (też) jedna półka na której stały wylepione kunsztownie z tektury i kolorowych papierów kościółek i forteca. Nie prędko pozwolono mi wziąć do ręki te budynki. Wykonane zostały przez Wuja Antoniego, gdy po powstaniu długo odsiadywał ciężkie, austryjacie więzienie. Odnosiłam się do nich podobnie jak do kalekiej ręki Józia Skólimowskiego. Czuło się że w wesołem mieszkaniu, obok świergoczących kanarków i mnóstwa zielonych roślin, znajdują się i te przedmioty ~~pxxxpxx~~ posępne i uroczyste..

Wujostwo nie mieli dzieci, ale dom ich był często gwarny, bo zajeżdżała tu ze wsi druga siostra Tatka, ciotka Aniela, jej mąż wuj Walery Maryjański i ich chłopcy.

Rzadziej jawił się stryj Edmund Młodnicki z Czerniowiec, najstarszy z rodzeństwa. Skromny, ujmujący dobrocią czło-

27

wiek, którego główną pasję życia stanowiła muzyka i gołębie.. 25
Że zaś miał i dzieci w gołębiej ilości, zawsze zaturbowany o 29
któreś i skłopotany do śmierci. Z Ojcem moim nigdy nie był nad-
to blisko, ale zawsze na św. Karol 4-go listopada i na ~~xxxxxxxx~~
św. Edmund nieco później, posyłali sobie dość jednotonne listy
z życzeniami i wieściami. Rozeszli się w bardzo młodych latach
a potem łączyły ich już tylko wspomnienia rodzinnego domu. Stryj
Edmund wskutek okoliczności, stanął dawno w duchowym rozwoju i
z bratem, który do ostatniego tchu pogłębiał się, wysubtelniał
i kształcił, nie wiele miał do mówienia. Stryj gwoli muzyki i
gołębi nieskończył prawniczych studjów, ożenił się przedwcześ-
nie i mocno niedbale, z osobą dobrą, ale prostą, po której dzieci
wyszły w mocno zgrzebnej edycji. Poczciwe, pracowite ale nieule-
czalnie zgrzebne. Zawsze była między nami a niemi źle zrozumia-
na odległość, której niepodobna im było bez zadzierki wytłuma-
czyć, ani też przekonać kiedykolwiek. Co innego z ciotkami.
Te były nam obie zawsze najserdeczniej ~~xxx~~ bliskie, choć mało co
od stryjostwa Edmundów, zasobniejsze. Mama i stryj odnosili się
do siebie bardzo przychylnie, śpiewali sobie duety Mendelsohna,
Schumanna, mama na fortepianie, stryj ~~xxxx~~ na skrzypcach, grali
wyciągi z dawnych oper, lub sonaty Mozarta--ale mówili sobie
„pan" i „pani" jak znajomi. Stryj miał ładny, tenorowy głos i
~~xxxxxxxxxx~~ grał na skrzypcach doskonale. Siostry obie kochały
go bardzo za jego słodycz i przebaczały słabą wolę, której skut-
ki sporo zgryzoty kosztowały rodziców. Był to człowiek nie zdol-
ny do brania życia na serjo, mimo kłopotów dożywotnich, wieczys-
ty młodzieniec, artysta-cygan, któremu wszystko co go oddalało
od gołębi i skrzypiec, zdawało się niecierpliwiącą zawadą. Przy
chodził zawsze z kieszeniami pełnemi przysmaków dla nas i wy-
cinków z recenzjami o czerniowieckich ostatnich koncertach--
i nieprędko pojęłam, że ma się mu głównie do zarzucenia te nie-
zdane egzaminy i --żonę. Wyglądał do końca życia zdumiewająco

nb czy nie opuścić w druku

młodo. Mając lat 80 nie miał siwego włosa i bujna jego blond czupryna miała ten sam rzut co na odwiecznych portrecikach Tatkowych z mikołajowskich czasów. Na dwa lata przed śmiercią przypomniał sobie jakiś piękny widok z ~~Czarnohory~~ Czarnohory i wybrał się jeszcze na tę wycieczkę. Pamiętam z jakim zachwytem ~~opo~~ opowiadał o niej i jak mu było żałośnie, że nie zastał już zapamiętanego z młodości starodrzewu po drodze. Umarł gdym już była zamężna i pochowany jest w Szczercu.

Znajomymi, z którymi wówczas żyli rodzice najbliżej, była rodzina państwa Piaseckich. Pani była słuszna, ładna i nosiła krótkie włosy, mąż jej lekarz był niziuteńki jak karzełek, miał dużą głowę i nosił włosy długie, po łopatki. Były powstaniec, długoletni, nadaremny wielbiciel cioci Anieli, pozatem hydropata, wegeterjanin, przyjaciel znanego ongiś we Lwowie doktora Grimma, przyrodnika i dziwaka, robił wrażenie istoty z bajki, której cokolwiek się bałam. Rodzina ta żywiła się z zasady przeważnie chlebem, mlekiem i owocami i wyjeżdżała co roku na lato do Zakopanego, miejsca, którego adres równał się wówczas temu na którem rak gwiżdże. PP. Piaseccy mieli tam rozległą posiadłość, nawet ~~kaw~~ kawałek własnego lasu. Z dziećmi ich bardzo się polubiłam. Najstarsza Tyńcia, nazwana po ojcu Walentyną, była mi, mimo dużej różnicy wieku całe życie bliska. Młodszy Genio, chłopak noszący taką ~~tą~~ samą blond grzywę jak ~~co~~ ojciec, zdolny był, pomysłowy, natomiast najmłodsza Zosia, była dzieckiem ociężałem i zamkniętem, że się nawet i później mało nadawała do zabaw. Pamiętam jak z Tyńcią, o jakie ośm lat starszą odemnie, odgrywałam scenę zabójstwa Aliny. Balladyną była ona, uzbrojona w ogromny nóż do rozcinania papierów, malinami deseń na stołowej kapie i do dziś słyszę moje serce bijące pod fartuszkiem jak duży zegarek w chwili gdy się na mnie rzucała. Cudowna była emocja czuć jak mnie niby zakopuje potem pod kilimkiem, udającym kwietną łąkę i stawia obok fikus z okna,

29

27 31

czyli wróżebną wierzbę,która potem wszystko wyśpiewa.Bardzośmy się do śmierci kochały z Tyńcią,moją naprawdę najbliższą przyjaciółką młodości. Ona była moją drużką, ona trzymała do chrztu Luka.Rodzicom jej zawdzięczam pierwsze poznanie Tatr w r 1890 w lipcu,gdyśmy tam obie z Mamą po uroczystościach pogrzebu Mickiewicza,podążyły z Krakowa..

Domu Maszkowskich nie mogę nazwać znajomym.Byli to przyjaciele rodziców,bliźsi niż niejedni krewni.Młodzież domowa,czyli Minia,Staś,Lolo i Anielka,wszyscy starsi byli znacznie odemnie,ale jakoś tak się to działo, że było mi między nimi w sam raz..Zupełnie się tam czułam jak w domu i między ludźmi i między obrazami. Wisiały bowiem na ścianach szkice Grottgera,wizerunki koleżeńskie z czasów gdy Tatko w Monachjum kolegował ze stryjem Mini,Stasia,Lola i Anielki,Marcelim Maszkowskim,tym samym,którego portret grottgerowski,profilowy w konfederatce, wisiał znowuż u nas nad trymotką w salonie.Lolo i Aniela stanowili zawsze,latami,moje nieodłączne towarzystwo przy wszystkich świątecznych okazjach,którego dopełnieniem stałem bywali młodzi Piaseccy.Cioteczne moje rodzenstwo,Maryjańscy,nie prędko bowiem przybyli z rodzicami do Lwowa i po latach dopiero,gdy Wuj inspektor skarbkowskich lasów,przeniósł do miasta swe urzędowanie,otwarły się dla mnie niezapomniane adresy,najpierw mieszkania ich przy ul.Zielonej a wreszcie w Gmachu Skarbkowskiego Teatru. Czasy te godne są osobnego eposu,na który nie wiem czy mi tchu wystarczy..

Bardzo ważną osobą w mem dzieciństwie był dr. ~~Edward~~ Jan Stella-Sawicki,lekarz chorób dzieci,pamiętnikarz z czasów powstania,w którem brał udział znaczny,człowiek wielkiej zacności i dobroci,który bardzo blisko żył z moim Ojcem,a potem,gdy się rodzice pobrali,przyjaźnił się z naszym domem.Przepadałam za nim i nazywałam go „Stella" tak,jak się

mówi do kogoś "Kaziś"czy "Staś".

Wtedy już także kochany, najpoczciwszy pan Bełza obdarzać mnie począł najładniejszemi książkami, jakie wychodziły w Polsce dla dzieci. Jemu zawdzięczam nieporównaną z żadną inną książką "Złotą Różdżkę" z wierszami Wacława Szymanowskiego i obrazkami doskonałego, niewiadomego mi autora, które to poematy wstrząsające o "Kasi i jej kotach", o "Stasiu straszydle"- o "Grzegorzu i parasolu" i "Michasiu, który nie chciał jeść zupy", poczem "Pięć dni chorował i umarł na szósty"... umiałam jak pacierz.

Z wydawanego przez pana Bełzę "Towarzysza grzecznych dzieci" czerpałam znów moc pierwszych ważnych powiadomień o polskiej historyi i świecie... Żałosne strzępki roczników "Towarzysza" wpadły mi w ręce na wielkiem rozsypisku domowem, podczas przebudowy Zaświecia, wyczytane do szczętu przez drugą już generacyę, sponiewierane wprawdzie i ledwo żywe, ale pełne godności starego pedagoga, który spełnił uczciwie swój obowiązek.-

-x-

Bywało u nas wiele osób, niektórzy ze znajomych przychodzili częściej, naprzykład kolega Tatka, malarz Franciszek Tepa. Przychodził zwykle wieczorem i zawsze zatrzymywali go rodzice na kolacyę. Od czasu do czasu przynosił mi pakiecik biszkoptów i z tej przyczyny - a także i innych - anektowałam go sobie na wyłączną własność, jak rówieśnika.

Mimo wieku było w nim istotnie coś dziecięcego. To zapewne zbliżało go do mnie a czyniło mniej ciekawym dla rodziców, choć go lubili bardzo. Dla mnie był w sam raz. Słodki ten, uderzająco piękny, delikatny człowiek dał mojemu dzieciństwu dużo radości i pokazał ścieżki do źródeł, z których zaczerpnęłam więcej niż mógł był kiedykolwiek przypuścić.

W r. 1853 zabrany był p. Franciszek przez rodzinę Potockich w podróż do Egiptu. Towarzyszył im jako nadworny malarz i tam też powstały jego najsłoneczniejsze akwarele, tam odnalazł swój "genre", szerszy, śmielszy, od

poprzednich miniatur, stamtąd przywiózł w oczach te kolorowe wspomnienia, których kształtu i blasku starczyło jeszcze i dla mnie - po latach. Opowiadał mi o Egipcie. Jakże dobrze i wdzięcznie pamiętam te wieczory, gdy za oknami wymarzłemi w lodowe kwiaty, dzwoniły wzdłuż ulicy Zimorowicza saneczki, a w pierwszym pokoju syczał żółty, pękaty samowar, ja zaś siedziałam obok pana Franciszka na zielonej sofie pod lustrem i słuchałam. Tatko rysował zwykle przy jasnej lampie, Mama haftowała krzyżykami - ja zaś brnęłam z Tepą w świecącym, miałkim piasku po kostki i byłam coraz bliżej wielkiego Sfinksa...

Dziwnie dobrze, po malarsku opowiadał. Cieszyło go pewno także że go ktoś jeszcze, choć tak mały, słucha. Zaglądaliśmy razem w twarz obalonego posągu Ramzesa w jakiejś arabskiej wioszczynie, dławiło mnie gorąco ciosowego korytarza piramidy, czułam jedwabny powiew nietoperzych skrzydeł u powały, bolały mnie ramiona od chwytów Araba przewodnika, windującego nas na szczyt... Razem z Tepą siedziałam nakoniec w uchu Ramzesowego kolosu w Abu Simbel i dzwoniłam nogami nad piaszczystą zboczą, sypiącą się miałkiem złotem ku Nilowi. Ale przedewszystkiem, razem z panem Franciszkiem, współczującem sercem przyszłego zbieracza, przeżywałam pokusę ułamania pewnej wąskiej, omotanej pasmami płótna, rączki dziewczęcej i zabrania jej ze sobą daleko na północ, na pamiątkę, na dowód że się nie śniło...

Kilka razy musiał mi Tepa opowiadać jak to było. Jakieś właśnie rozkopane podziemia, pokazywane za wielką protekcyą wielkiemu magnatowi i jego świcie, smukła mumia młodej księżniczki z którejś zamierzchłej dynastyi; cyfra porządkowa obojętną była i Tepie i mnie. Natomiast rączka zdobna zielonym pierścieniem, wązka, o długich paluszkach, drobna i niepokojąca, cienka w kostce, rozpowita już cokolwiek z pasemek - fascynowała nas oboje. - "Tylko nieco w tyle przyzostać, gdy wszyscy pójdą przodem ku wyjściu".. Myślę że dziśbym już tego nie odczuła, ale wtedy każdym

razem oddychałam z rozkoszną ulgą, gdy przychodził moment w opowieści, kiedy pod palcami malarza chrupnęło coś jak sucha gałąź. Potem jeszcze tylko chwila emocyi, gdy pasma lniane nie chciały puścić łupu i trzeba je było po ciemku szybko przeciąć scyzorykiem...

Rączka egipskiej księżniczki, znajoma mi dobrze z ubogiej pracowni - lodowni raczej! - pana Franciszka. /Wchodziło się tam wprost od bramy po paru schodkach, w drzwi lewe na parterze, przy ulicy Sykstuskiej/ leży teraz w gablocie zbiorów Osselineum i każdy ją może oglądać, razem z zielonym pierścieniem i mumją kota obok.

Nieraz też powtarzać musiał pan Tepa swą niefortunną przygodę z hrabią i krokodylem. Kąpali się raz w Nilu z Potockim i ponieważ Arabowie napomykali że w tem miejscu, u skalistego wybrzeża Koroska, nietrudno o krokodyla, przyszedł malarzykowi niemądry koncept zabawienia się w tę przykrą reptylię. Nawiasem mówiąc miał Tepa prześliczne ręce o długich, twardych paznokciach, które nawet w starości i biedzie starannie utrzymywał,- zupełnie portretowe ręce! - temi tedy paznokciami obu rąk, dawszy poprzednio nurka, chwycił nagle pod wodą niby w szczęki jaszczura nogę Potockiego. Potocki - zupełnie słusznie - nietylko nogę wyrwał, ale z całej siły wierzgnął nią w kierunku napaści: Ugodził wszakże nie krokodyla w zęby, ale Tepę w piersi i to tak silnie, że biedak ciężko swą psotę odcierpiał.

Miałam ukochaną wielce, malutką wyżlicę kurlandzką, której było na imię Katula. Córkę Katuli, śliczną Nolkę, podarowałam pani Aszpergerowej. Gdy zaś z kolei Nolce wydarzyły się piękne psięta, pani Aszperger ofiarowała Tepie zachwycającą, biało-żółtą Kadurcię. To była ostatnia pociecha jego biednego, kawalerskiego żywota. Kadurcia "bywała" razem z nim w znajomych domach, brał ją ze sobą do kawiarni Schneidra i cała dzielnica znała pieska i jego pana /noszącego czarny kapelusz z krezami i podczas demi-saisonu drapującego się w pled tabaczkowy z frendzlami/. Wschodnim pono obyczajem Tepa nie wołał nigdy swej Kadurci po imieniu, ale gdy się za in-

nemi pieskami, czy między dorożki zapędziła, krzyczał dziwnym, gardłowym głosem: Tulu! Tulu! Tulu!.. Kochał tę psią odrobinę resztką czułości, ona zaś dzieliła się ze starym malarzem ciepłem swojego maleńkiego serduszka, grzejąc go dosłownie, gdy zastygał w nieopalanej pracówni. Gdy go wreszcie, dosyć przypóźno, zabrano do szpitala aby się zagrzał przed śmiercią, nie było sposobu rozłączyć psinę z malarzem, ani malarza z psiną. Dopiero gdy umarł, ustąpiła Kadurcia z piersi swego pana, na której leżała zwinięta w kłębuszek. Potem u zacnej pani Aszperger, pieszczona i szanowana, dokonała kosmatego żywota, dużo pewno szczęśliwsza od biednego swojego pana.

Pogrzeb Tepy wypadł w zadymkę dyablą. Na wydmuchu, koło głównego szpitala, głowy urywało tym kilku wiernym, którzyśmy poszli za jego trumną. Tatko szedł z panią Aszpergerową, ja omotana szalikami jak cebula, drepciłam u łokcia starego Henryka Skarbka, podówczas prezesa Koła lit. art., czy Tow. Sztuk P. -Myślę, że jeśli dusza egipskiej księżniczki miała jaką urazę do Tepy, to gdy w tym momencie, przeważywszy na szalkach ozyrysowej sprawiedliwości jego biedną, przemarzłą dolę, porównała ją ze swoją,- machnęła niechybnie jedyną rączką i odpuściła polskiemu malarzynie!

-x-

Kamienica przy ulicy Sykstuskiej, w której zamieszkaliśmy, należała do żydów Horowitzów. Z galeryi naszego drugiego piętra widziałam nieraz na ganku poniżej służącą gospodarzy, niosącą na srebrnej tacy śniadanie z kuchni, na której obok masła i pieczywa leżały stosy czosnku i cebulek z długiemi, zielonemi ogonami. Córka, czy wnuczka naszego gospodarza, którego sama jeszcze pamiętam w jedwabnym hałacie, wyszła później za adwokata a potem posła, Natana Loewensteina.

Służyła u nas wówczas Józia, ta która pozowała Chmielowskiemu do jakiejś świętej i sama widocznie wyjątkowo zaufania godna, bo wolno mi z nią było chodzić czasem, gdy ulicą "Majerowską", dziś "Trzeciego Maja", szła po mleko do "kowalki" Rudolfowej, lub do greislerei Joanny

~~Rudolfowej, lub do greislerów Joanny~~ Schlarb, naprzeciw naszej bramy i frontowych okien. Szyld tej Joanny, przyjemnej szwabki o blond warkoczach, utkwił mi na zawsze w pamięci, ponieważ na jego ogromnych, biało na czernem lakierowanych literach uczyłam się czytać. Tam też chadzałam czasem z Józią, aby sobie zmienić cztery drobne centy na duże, nowe czterocentowe miedzaki, które lśniły wspaniale i za które można było kupić w cukierni ciastko z kremem, wielkie jak złożona we czworo serwetka. Były tam też rocks-dropsy kwaskowate w szklannych słojach, kręcone laski owsianego cukru, miętówki, cukier lodowaty w kryształach na szpagacie i „lodesy" obrzydliwe krochmalne ~~xxxxxxxx~~ tabliczki, które się, niewiedzieć dlaczego, lubiło.. Ówczesną ulicę Majerowską tworzyły od strony Jezuickiego Ogrodu dwa szeregi naprzeciw siebie stojących dworków z ogródkami od frontu. Na miejscu gdzie dziś Gmach Uniwersytetu nie było jeszcze nawet późniejszych znacznie Łazienek Dyany. Jedynie ujście ulicy dziś Trzeciego Maja ku Jagiellońskiej, zalegało kilka wielkich kamienic. Tą tedy ulicą dreptałam niejednego wiosennego ranka z Józią na ciepłe mleko do „kowalki". W ogródku który się mijało, przed cofniętym w głąb dworkiem, w którym przez pewnien czas mieszkała pani Fela, pamiętam na kopczyku osnutym bluszczem, omszały posążek Amora.. Józia tłumaczyła mi, że to jest taka biedna sierotka wygnana przez macochę i skamieniała.

Józia ta, dała mi też pośrednio pierwsze pojęcie o znikomości spraw ludzkich...

Był maj, w kuchni u Józi na oknie stał w słoiku bez, w którym wyszukiwałam pięciolistne kwiatki. Miała go zawsze całemi wiechami.. Przymawiałam się nieraz o ten bez i marzyłam aby go samej módz łamać.. Raz, w jakieś niedzielne popołudnie, pozwolono Józi wziąć mnie ze sobą do jej przyjaciółki, która miała ogród z tym bzem i córeczkę w moim wieku, Wincusię. Po drodze opowiedziała mi Józia że Wincusia jest jedynaczką, prawie tak jak

ja, tylko jej rodzice są bogaci. Te słowa dobrze zapamiętałam, bo mi Józia wytłumaczyła, że „bogaci" to są tacy ludzie, którzy nie muszą mieszkać w kamienicy, tylko w swoim domku i mają ogród do którego nikomu obcemu niewolno wchodzić. Ja tylko dlatego tam idę, bo mama Wincusi jest Józi przyjaciółką. Opowiadała mi, że wszystko to będzie kiedyś Wincusi, gdy dorośnie.

Ogromnie byłam przejęta niezwykłością losu tej dziewczynki. Domek, do któregośmy szły, stał gdzieś w okolicy górnej Syxtuskiej, parterowy, jak niemal wszystkie tam wtedy, ze sztachetkami od ulicy, przez które z daleka już zobaczyłam bez.

Wincusia zawiodła moje oczekiwanie. Była mniejsza odemnie, chudziutka o mysich warkoczykach. Miała czarny, ceratowy fartuszek i wyszarzane trzewiczki. Matka w chustce na głowie jakaś zapewne stolarzowa czy inna majstrowa, siedziała na trawie przy rabatkach i wstała na nasze powitanie. Częstowała nas potem kawą, której mi Józia pić nie dała, musiałam poprzestać na garnuszku mleka i preclach.

Przesadna moja wyobraźnia została ostudzona dotkliwie, bom już sobie namotała całkiem inne rzeczy, gwoli tego „bogactwa". Myślałam, że zastanę wspaniałości, złociste i haftowane stroje i takie wysokie, długie okna, jak w obrazkach do bajek.. Pomimo zawodu przejęta była jednak świadomością, że domek i bzy i narcyzy i serdeszka wiszące z białą kroplą u nosa nad grządką i sztachety i wszystko w pokoikach, będzie kiedyś Wincusi, tej samej, z mysim ogonkiem.. Obdarzona ogromnym pękiem bzu, wróciłam ucieszona że Wincusia przyjdzie kiedyś także i do mnie. Nie przyszła jednak..

Jakoś niezbyt długo potem, już były liście na drzewach gęste, zobaczyłam Józię rzewnie płaczącą. Opowiadała mi szlochając że Wincusia umarła a matka mało nie oszaleje z żalu. Mówiła że pogrzeb będzie „śliczny" i może mi rodzice pozwolą zobaczyć.. Struchlałam! Więc to tak?! Tak niedawno jeszcze

była i już jej nie będzie?! Wincusia, która tyle, tyle miała na własność, teraz umarła i leżeć musi w trumience jak Joczka? Ale Joczka nie była bogata, mieszkała w kamienicy, nie miała ogródka do którego nikomu schodzić nie wolno.. I cóż się teraz stanie z tem wszystkiem? I matka, która „szaleje" z żalu.. Ginęłam z ciekawości, jak się z żalu szaleje..

Koniecznie się naprarłam na ten pogrzeb. Wincusia umarła na zapalenie płuc więc nie było obawy abym się jaką biedą zaraziła i poszłam z Józią. Było to badajże pierwsze tak głębokie wstrząśnienie jakiego doznałam.. Miałam już szósty rok zaczęty i bardzo przytomnie próbowałam myśleć.. Strasznie byłam zniechęcona. Doskonale pamiętam refleksję, że właściwie nie warto cieszyć się niczem, skoro xxxx to tak..

Józia do wnętrza domku mnie nie puściła, przez otwarte okna słychać było jednak jak matka Wincusi krzyczy. Okropne to było. Tłum wszakże cisnący się do sztachetek i otaczający błękitną, wynoszoną trumienkę imponował mi. Nawet po śmierci Wincusia górowała nad innemi dziećmi, tem choćby że umarła. Widziałam jak wyciągają szyjki żeby dojrzeć trumienkę i krzyczącą matkę. Nie miałam wątpliwości że tak krzyczy bo kochała Wincusię bardziej niż Mama Joczkę.. I to się nazywa „że matka szaleje.." Patrzyłam i nie budziło to we mnie współczucia bynajmniej. Było takie brzydkie i dla oczu i dla uszu. Cóż Wincusi po tem, co jej po ogrodzie, domu, bzach, które „były" jej własne?

Od tego czasu w historjach moich bajanych za sprawą haczka, jawiły się bogate umierające dzieci i moc akcesorjów wspaniałych, które mnie nic nie kosztowały a jakiemi chciałam sobie wynagrodzić zawód, doznany wobec żywej Wincusi i jej matki, siedzącej w chustce na głowie koło grządek. Mnie samej nigdy nie było w tych xxxxxxxx bajaniach!.. Zostawałam zawsze na brzegu jako widz i słuchacz. Coraz bardziej zagospodarowywałam

się w tej dziedzinie fantazji, powoli stawałaa mi się jakgdyby drugim światem i sprawiała, żem miała życie rozdzielone na dwie połowy, jedną rzeczywistą, szarą, drugą urojoną, pełną barw i wspaniałości..

Nie rozumiem zupełnie czemu nie zwarjowałam lub nie zdziwaczałam doszczętnie, bo dziś nie ulega dla mnie wątpliwości, żem połowę dzieciństwa i młodości spędziła w hypnotycznym transie, na marnotrwastwie nerwów szalonem i bezpożytecznem. Przychodziło mi zbyt łatwo, więc nie chciało mi się tego spisywać, siedziało w pamięci płytko jak sny i przepadało bez śladu. Ja sama tylko miałam użycie z niczem nieporównane, użycie i wyżycie się w dziejach zmyślonych, ciekawych, malowniczych, w których roiło się od twarzy, postaci o imionach i losach narzuconych mej wyobraźni jakby obcą siłą. Losy tych istot i mowa zdawały się nie bardzo zależeć nawet od stopnia mojego rozwoju, gdyż dobrze pamiętam, że się zdarzały wypadki w tym świecie i słowa, które były dla mnie niezrozumiałe. Zupełnie tak jakby się dziecko dorwało jakiejś książki o treści zawczesnej..

Rychło zarzuciłam zwyczaj gadania na xxxxx głos tego co haczyk przywabił. Potem kryłam się z tem cudactwem coraz skrzętniej, podczas gdy samo narzędzie czaru xxx ustalało swój kształt ostateczny. Był to drążek z leszczyny, prosty, długi na 22 cm. nieostrugany xxxxx ze śliskiej kory, do którego przymocowywałam mocną nicią zżynek sztywnego xxpxxxx białego papieru szeroki na półtrzecia centymetra, ścięty jak haczyk węziej ku końcowi i jak haczyk w połowie zagięty. Grubość drążka nie była też obojętna. Był nieco tęższy niż salonowe świece do kandelabra. Adaś tak wiele moich kręcideł w życiu wytępił, że po wielu latach potrafił sporządzić dla żartu idealne, doskonałe, które jedno zachowało się w perepelnickim kantorku. Moje własne, ostatnie, oddałam już jako narzeczona Wacikowi, gdy powiadomiony o tem dziwie i słusznie o moje zmysły przerażony, wziął odemnie

słowo,że nigdy w życiu nie tknę już więcej zaczarowanej pałeczki.Dotrzymałam i już trzydziesty piąty rok minął odkąd złożyłam berło mojej młodości.Żal mi było za niem długo i przeszłam coś podobnego do choroby palaczy,co się wyrzekli narkotyku. Na pociechę zaczęłam więcej wtedy pisać,bo poprzednio,zawsze z chwilą,gdym z ręki puściła mój drążek, ustawał doraźnie ów tajemniczy prąd,zostawał tylko zawrót głowy i silne drętwienie całego prawego ramienia. Myśli stawały się normalne i dorzeczne odrazu,zawisłe jedynie od przyczyn rzeczywistych i rozebrane z tysiąca kostjumów,które przed chwilą miałam na zawołanie.Ale i teraz,po tylu latach,wiem z całą pewnością,że dość by mi było ścisnąć na nowo „kręcidło",aby stare czarodziejstwo napłynęło mi do głowy z powrotem.

W r.1878 pojechaliśmy na wakacje do Żurawna.Właścicielką majątku była pan Ewelina z Siemianowskich Imo.voto Tadeuszowa Żebrowska II. voto Tadeuszowa Chajęcka,prababka ks. Kazimierzowej Czartoryskiej.

Gdym ja miała rok szósty ona była staruszką pomarszczoną jak włoski orzech.Drugi mąż jej--jak się dowiedziałam później--nie miał jeszcze wówczas lat trzydziestu. Był wszakże niezwykłej tuszy i wcale tak młodo nie wyglądał. W płacu,oprócz tych dwu głównych osób,przebywało stale kilka młodych panien,wnuczki pani domu,panny Skrzyńskie z Włodzimirzec,Anna i Wanda i siostrzenica pana Chajęckiego panna Marja Taborska. Siostra mojej babci,ciocia Terenia bar.Wentz zu Niederlahnstein,znakomita w swoim czasie nauczycielka i wychowawczyni, długoletnia właścicielka i kierowniczka Zakładu wychowawczego dla panien we Lwowie,pierwszej polskiej pensji tej miary i zasługi w naszem mieście--po zwinięciu jej,kształciła kolejno szereg uczennic jak:Klaudja Czaykowska z Knihynicz,Aleksandra Dzieduszycka z Izydorówki a obecnie panny Skrzyńskie i pannę Taborską. Ojciec mój przyjaźnił się zdawna z panem Chajęckim i dzięki temu stosunkowi ciocia Terenia objęła naukę w Żurawnie a my,przez oboje gospodarstwo,zostaliśmy zaproszeni na wakacje.Dla pani Chajęckiej miała Mama specjalny pietyzm,jako dla

powinowatej z Grottgerem, w której domu bywał tu jeszcze wyrostkiem i u

od której pierwszego męża wiele doznał przyjaźni.

Cudowne były te żurawieńskie wakacje! Pomimo rozdwojonego mego istnienia, starczyło mi wrażliwości dla światów moich obu. Przejmowałam się wszystkiem namiętnie, umiałam się cieszyć szalenie i zamartwiać na umor, zachwycać się i złościć, bo wskutek zdenerwowania xxxxxxx nieuniknionego przy fantastycznym nałogu, przesadzałam we wszystkiem do niemożliwości. Właściwe przyczyny i rozmiary tych przeżyć pozostawały prawie zawsze głęboko wemnie zatajone, tak, że wybuchy jawne, które mi się zdarzały, radosne czy desperackie, wprawiać mogły w słuszne zdumienie moich najbliższych. Mimo miłości ku nim, rosnącej razem ze mną, żyłam wewnętrznie w całkowitej samotności, jakby w drugim pokoju, z którego wychodzi się wprawdzie, ale „mieszka się" tylko w nim.

Dawny, przebudowany następnie z gruntu, pałac w Żurawnie był wówczas dużym, piętrowym dworem o dwu tarasach, z podjazdem opartym na filarach, którego ładną akwarelę zostawił Ojciec w swej żurawieńskiej tece. Pałac otaczał pięknie utrzymany ogród, którego obrzeżem płynął Dniestr. Pamiętam na tem pobrzeżu altankę chińską o dziobatych narożnikach, wyklejoną wewnątrz papierem w figurki z parasolami, dziwaczne rośliny i smoki, pod której ścianmi w głębi, stały wąskie kanapki, obite malinową materją. Dziś--jak słyszę--śladu po niej niema nawet w pamięci obecnych właścicieli Żurawna. Opodal pagody, również nad Dniestrem, wznosiła się kamienna kolumna z popiersiem króla Jana z wieńcem laurowym na czole. Znikła już pewnie również, zanotowana szczęściem w tece Tatkowej, podobnie jak krzesło Sobieskiego, odrysowane w żurawieńskiej zakrystji.

Poprzez cieniste zakamarki i aleje szło się do wielkiej woljery z dzikiem ptactwem. Stała w cieniu starych drzew, zionąca z daleka zgnilizną. Siedziały w niej kanie i jastrząb, najwyżej i najciszej ciemniał majestytyczny orzeł skalny. W osobej przegrodzie na dole, migał pomarańczowemi ślepiami zaspany puhacz.

Niestety, z powodu Dniestru niebyło mi wolno chodzić samej

po ogrodzie i tylko część słoneczna,między pałacem a oficyną,wcale zresztą niepoślednia i pełna kwietnych rabatek,była mi wyznaczona jako mój rewir. Pasterką moją była Ewcia,córka ogrodnika,znająca wszystkie kwiaty po imieniu!Do dziś zachowałam w pamięci woń żółtych,japońskich różyczek,których girlandy wiły się wokół słupów podjazdu.

Tu,na głównym gospodarskim szlaku,miałam sposobność stykania się z Busią,jak za przykładem domowych panien,nazywałam panią Chajęcką. Stara dama wyglądała zawsze jak sztych kolorowy z dziennika zamierzchłych mód.Zwłaszcza rano,gdy kładła kapotkę z kwiecistego batystu,głęboką i okrągłą jak tunel, wiązaną pod brodą,jeszcze i teraz,z dawnego nawyku,chroniącą zgrzybiałą twarz przed opaleniem.Na ramionach nosiła Busia szal kolorowy i kilka rzędów dużych pereł,na zawsze odkrytej,pomarszczonej szyi. Staruszka bardzo była na mnie łaskawa i brała mnie nieraz ze sobą do chlewów,urządzonych z niebywałym staraniem.Miała bowiem osobliwsze upodobanie w świnkach,doprowadzone z wiekiem do dziwactwa.Trzeba było w końcu forteli,za pomocą których pan Chajęcki,w zmowie z ekonomem,pozbywał się zbytniej załogi w chlewikach.Świnki istotnie były utrzymane jak cacka--żartowano sobie że każda miała osobną szczoteczkę do zębów,a wskutek wieści zaczytanej w jakimś postępowym podręczniku,jakoby kolor fiołkowy wpływał dodatnio na świńskie nerwy i tuszę,zaraz dostały Busine fioletowe szyby w okienkach.Zdarzyło się raz,że w czasie codziennej wizytacji świnek pękł jeden z sznurów pereł pani Chajęckiej i drogocenne kulki posypały się między prosięta.Istna ilustracja ewangelicznej przypowieści,z której sporo było dworowania w pałacu.

Mieszkałam nie z rodzicami,ale przy cioci Tereni w apartamentach panien.Przepadałam za niemi,ponieważ była ładne.Hanka Skrzyńska (później Kazimierzowa Winnicka z Turad) bawiła się zemną wesoło jak rówieśnica.Najlepsza była zabawa w powożenie,gdy Hanka,duża i dorosła,biegła przez słoneczną amfiladkę naszych pokoików a ja za nią, trzymając końce jej ogromnych,złotych warkoczów,uradowana,że takie długie jak lejce.

Panna Taborska-później Sroczyńska--krucza brunetka,nosiła włosy obcięte niżej karku,humor miała kapraśny a gust w ubraniu trochę cygański jak jej uroda.Do zabawy ze mną mniej się nadawała,alem ją zawsze wciągała w moje bajania,przebierała w suknie z bajki i długo,czarnowłosa istota z mojego drugiego świata miała smagłą,hardą twarz,krótkie loki i posępne czarne oczy panny Taborskiej.To pewne,że jej prawdziwa biografia nie była ani trochę podobna do zmiennych losów,jakie przeżywała w moim zarządzie. Gdy sobie dziś przypomnę ten nieodstępny strumień fantazji i widzeń,jaki mi towarzyszył niemal stale,aż do wyjścia zamąż,mogę go porównać jedynie z niemającym początku ni końca,kolorowym,zawrotnie płynnym filmem nieznanego wówczas jeszcze kina.

W Żurawnie chodziło się w pogodę do kąpieli. Szłyśmy--same damy--! do budki na zboczu ogrodu i kąpały się gromadnie.Szła razem Ewcia ogrodniczka,która mnie pilnowała ilekroć znajdowałam się poza domem,ona też opiekowała się mną w kąpieli.Czasem nie było to łatwe. Dniestr płynął bystro i trzeba było dobrze uważać żeby nie wpaść z nim razem do Czarnego Morza.Wiedziałam o tem Czarnem Morzu i groza jego zatruwała mi kąpiel.Bałam się tej czarności nieznanej szalenie i tembardziej nie chciałam się utopić.Wyobrażam sobie że i tamte panie wszystkie z Mamą na czele,nieraz miały ze mną kłopot,bom była strasznie żywa.Mimo trwogi,rada jednak chadzałam razem.

Poważny i naturalny sposób w jaki rodzice odnosili się przy mnie do dzieł sztuki,antyków i innych mitologii,uczynił,że bez nijakiego ambarasu umiałam widzeć wszelką piękność w rzeźbie,obrazie czy Dniestrze.. Hanka Skrzyńska,biało-złota i smukła jak beginka,była w mokrych draperjach kąpielowej,białej koszuli takim skończonym cudem,że zagapionej na jej ruchy i słońce na ogromnych jasnych włosach,ani mi przez głowę nie przeszło,że to jest poprostu młoda,nieubrana panna.Wcześniej od historji naturalnej znałam bajkę Andersena o „Wodnicy" a jedną z najwcześniejszych bajek jakich słuchałam,była Iliada,poznana dzięki streszczeniem Tatka a potem Odysseja,opowiadana mi przez ciocię Terenię.

Miałam najwyżej sześć lat gdym rysowała homeryckie ilustracje. Jeden taki utwór przedstawiający szlachetnego Eumeja, stojącego przed Penelopą i chowającego za siebie z żenadą patyk, symbol, jakoby, jego niskiego stanowiska, znalazłam niedawno pośród zebranych jeszcze przez Ojca, moich najdawniejszych smarowideł.

Podczas kąpieli w Dniestrze podniecał mnie też wielce widok nadbrzeżnej, widnej z xxxxx tego miejsca łączki za rzeką, na której rosły okazałe drzewa a do której przywarło wspomnienie królewskiego obozu i podpisanego tam ongiś żurawieńskiego pokoju z Turkami. Zawsze bowiem i na każdem miejscu dźwięczały mi w uszach budzicielskie słowa Mamy, cioci Tereni, czy Tatka, padające na świeżą, czystą kliszę maleńkiego mózgu, który je chwytał i brał na tajemniczy warsztat wyobraźni.

Naprzeciw naszej kąpielowej budki, również za rzeką, widać było wzgórze Bakocynum w którego wnętrzu spały, jeszcze bezpiecznie, pokłady żurawieńskiego alabastru.

Po deszczach Dniestr bywał mętny i jeszcze szybciej rwący. Niósł wtedy na sobie warstwy trocin z jakiegoś odległego tartaku, niby tartą bułkę i tworzące się na wodzie, także do bułek podobne, okrągłe kłębki żółtawej piany. xxxxxxx Mama i panny kąpały się mimo bułek, ja siedziałam na brzegu i dziwiłam się, że chcą..

Wnętrze pałacu było znowu kopalnią wrażeń innego rodzaju. Wszystkie frontowe pokoje zostały mi w oczach dziwnie ogromne. Przez salon szłam i szłam i przestrzeń między dwiema jego serwantkami, wydawała mi się wycieczką. W jednej z tych szafek, oprócz filiżanek, porcelanowych, ażurowych koszyków, kryształów i zielonawych kieliszków, mnożących się zawrotnie w jeszcze zieleńszej, zwierciadlanej głębi--znajdowała się kolekcja muszel, koników morskich, gałązek korala--a nadewszystko nie duży morski szatan o krągło rozdziawionej, suchej paszczy. Ten szatan w równej mierze przerażał mnie jak pociągał. Musiałam koniecznie na niego patrzeć i nieraz sama zadawałam sobie próbę, czy potrafię minąć go i nie spojrzeć. Rzadko kiedy się udawało. Koniki morskie także były

niepokojące. Okropnie bałam się aby się który nagle nie skurczył lub nie wyprostował.. O wiele bardziej działały na mnie te straszydła niż samowita białość malowanych imbryków i śliczne bukiety na porcelanowych paterach.

Żurawieński salon musiał być istotnie ogromny, bo się w nim mieściły dwa okazałe garnitury mebli z kanapami, fotelami i gromadą krzeseł, wokoł stołów.. Jeden z garniturów miał obicie szmaragdowo zielone, drugi płowo złociste. Fortepian, konsole z lustrami pod sufit, owe dwie serwantki, których górnych pięter nigdy dojrzeć nie mogłam--i jeszcze w nim było tyle błyszczącej posadzki! Meble, jak to dziś mogę osądzić, nie były zbyt piękne. Trójgarbne kapany drugiego cesarstwa, z których na domiar jedna, ta złociście płowa, miała zupełnie cynicznie rozprute wnętrzności w których głębi zawsze coś się ruszało i trzęsło. Pani Chajęcka, lubująca się widocznie w pewnym typie stworzeń, chowała całą familję gołych piesków, które cały boży dzień drżały jak galareta, miały stroskane, pomarszczone twarzyczki jakichś pokutujących widziadeł, na głowach wichrzył się im kłaczek białego czubka, jakby strachem podwianego do góry. xxxxx Skóra tych istotek była różowa jak na wędlinie i stale wstrząsana dreszczem. Szczurzy, nagi ogonek zawsze podkulony, nóżki stąpające ze wstrętem po zimnej podłodze, --słowem, istni potępieńcy, których society wszakże serce starej damy potrzebowało widocznie. Dość, że wnętrznosci złoto-płowej kanapy pełne były stale tych golców nieszczęsnych, które tu miały prawo obywatelstwa i gniazda rodzinne. Biada gościowi, któryby o zmierzchu usiadł był przypadkiem na tej kanapie! Następował wybuch utajonej golizny, z kłaków i sprężyn wysypywały się rozzłoszczone straszydła i gryzły bez pardonu! Przyrodnicze zamiłowania staruszki nie kończyły się wszakże na gołych pieskach i świnkach! Na terasie od strony parku, stała wielka xxxxx kopulasta klatka z papugą. Jaskrawa /// Ara, jakby zadławiona własnym, grubym językiem ciągle coś majstrowała w artretycznych łapach, kipiała jakąś, raz na zawsze gotową, pasją. Także stworzenie złe i cierpiące, którego obłąkane wrzaski niosły się daleko w ogród..

Bardzo dużo muzykowało się w Żurawnie..Pani Chajęcka przepadała za Mamy śpiewem,bywała więc muzyka w kościele.Mama z panią Michałową Dzieduszycką,najstarszą z trzech wnuczek „Busi" śpiewała na chórze podczas sumy duety--wieczorami po kolacji znowu śpiewanie.Przyjeżdżał Leopold Starzeński,nieoceniony pono towarzysz,autor partyjotycznych dramatów wierszem,jak „Gwiazda Sybiru" i „Czaple pióro" ,pozatem doskonały danser,deklamator i muzyk, zjawiał się przyjemnie śpiewający „Miśko" Sozański,przebywała córka pani Chajęckiej a matka p.Dzieduszyckiej,i panien,pani Ludwikowa Skrzyńska z Włodzimirzec. Domownikiem niemal był rezydujący w Żurawnie miasteczku nadworny lekarz pp. Chajęckich,dr. Rudnicki.Portrety wszystkich tych osób znajdują się w żurawienskiej tece Ojcowej.

Śnią mi się z tego lata wycieczki na połów ryb i raków,na Bakocyn,ale clou mojego sezonu stanowił udział w procesji Bożego Ciała.Ubrana w niebieską sukienkę i wianuszek z mirtu przewijany stokrotkami sypałam kwiatki przed Przenajświętszym Sakramentem.Obok jak dwie drużki szły białe ubrane córeczki sędziostwa Hajwanowiczów, a dworskie dziewczęta trzymające się w pobliżu dosypywały nam wciąż kolorowych płatków w koszyczki.Procesja ta,widok błyszczącej w słońcu promienistej monstrancji,żółty baldachim i zahaftowany w figurki ornat proboszcza chorągwie,wianki na głowach dziewcząt niosących ołtarzyki i własny udział w tym pochodzie,wszystko to dokonało przełomu w mojem wnętrzu. Porwały mnie,że tak powiem,motywy duchowne i zaświatowe.Treść moich bajań roiła się od świętych,tłoczyła od chorągwi,ołtarzów,kaplic,krzyżów--a tematy rysunkowe czerpałam odtąd także z dziedziny religijnej, z niejakiem tylko uwzględnieniem królów,królowych i królewien..Procesj msze,jakieś apoteozy,tajemnicze obrzędy,pełne aniołów i dziewczynek we wiankach,urozmaicone tylko czasem motywem świeckim jak państwo młodzi, lub(zapewne wspomnienie Joczki) umarłemi dziećmi,leżącemi płasko na uroczystych posłaniach. Karteluszki z temi kompozycjami znalazłam pochowane w kartkach kalebdarza z owego zamierzchłego roku.Na jednej z nich jest dopisek Tatka na drugiej Mamy.Rada powitałam te ołów

kowe dokumenty, świadectwa współczesne, dowodzące że nie zmyślam, wiarogodne ślady tego narwaństwa, które brało początek z „kręcidła".

W dzień św. Zuzanny odbył się ku czci pani Skrzynskiej bal dla jej córek. Napatrzyłam się postrojonych pań i panien i od tego wieczora, ilekroć czytała mi ciocia bajkę z „tysiąca i jednej nocy" "o latającym dywanie, zawsze kojarzyła mi się ta jazda ze wspomnieniem popielatego ogona pani Dzieduszyckiej, na którym, po śliskiej posadzce, obwoziła mnie za sobą wokół znajomego salonu. Obniesiona na rękach pana Chajęckiego, obejrzałam wspaniale nakryty stół, pełen kwiatów, etażer, owoców, tortów srebra i kryształów i tego wieczora zobaczyłam, naprawdę pierwszy raz w życiu, wielką urodę Mamy. Oswojenie, codzienność, roztrzepanie sprawiło, żem dopiero wtedy, widząc Mamę w sukni wyciętej z lekko przypudrowanemi włosami, w których różowiły się blade, płaskie malwy, całą w jasno popielatym jedwabiu podkreślonym gdzieniegdzie smużką różowego aksamitu, stanęłam jak urzeczona. Miała Mama wówczas lat 28 i była niewiarogodnie cudowna. Mimowoli porównywałam inne twarze kobiece z nią, i wracałam do niej jak do zjawiska.

A były na tym balu różne śliczne panie, oprócz domowych. Przyjechała pani Aniela z Wolskich Pawilkowska z Berźnicy królewskiej, z matką i siostrami, Heleną i Zosią. Panna Hala Wolska była ubrana całkiem biało i miała u skroni z obu stron bułe lilje. Brzmi to dziwacznie ale miało być śliczne, a ona sama przepiękna. Tatko chciał ją koniecznie narysować do swojej teki, ale pani Wolska nie pozwólila, gdyż znajdowały się w tej samej tece portrety obcych panów, więc nie wypadało!

Nim się bal zaczął położona spać, z głową pełną wrażeń i kolorów zasnęłam nie prędko, a i potem, budziłam się często. Muzyka huczała [illegible] jak pół sny jawiły się przy mnie domowe panny, różowe od tańca, wpadające do naszych pokoików, stawiały koło mego łóżeczka spodki pełne balowych tortów i znikały znów.

Reszta lata minęła rodzicom jak jedna przeciągła wycieczka. Więc najpierw Daszawa u pani Felicji z Dobrzańskich Sozańskiej, towarzyszki

lat dziecinnych Tatka, Daszawa,gdzie się urodził.Szwagier pani Sabiny z Pawlikowskich Feliksowej Dobrzańskiej,komornik Kremarski,prowadził tam ongiś kancelarję,równającą się obecnym adwokackim i notarjalnym równocześnie. We własnym,osobnym dworku mieściło się mieszkanie i biura,których klijentelę stanowiła cała ziemiańska okolica. W kancelarji komornika Kremarskiego,pracował młody prawnik Ignacy Młodnicki,ożeniony z panną Karoliną Wiktorją Komarnicką,którą poznał w Bereźnicy u jej opiekunki pani Dobrzańskiej.Tu,zanim dziadek,jako sędzia polityczny, objął samoistny posterunek,mieszkali szereg lat,tu urodziły się wszystkie ich dzieci: Edmund,Emilja,Karol i Aniela,tu umarła najmłodsza Sabinka,otruta przypadkowo xxxxxx jakimś płynem przeznaczonym do natarcia konia a podanym dziecku przez roztrzepaną niańkę,zamiast dziecinnego lekarstwa. Stąd,brany na dno sań,jeździł Tatko z rodzicami na pasterkę do Żydaczowa i przymierał ze strachu przed dudnieniem wielkiech organów,tu stała owa serwantka babki--ale nie,o tem opowiem później..

Witał się Tatko z Daszwą i wzajem czule był witany.

„Lileczka wszędzie bardzo grzeczna"--notuje Mama w kalendarzu--„ i coraz to nowych zaskarbia sobie przyjaciół:"..

Dziś--ta sama Daszawa stała się jednem z centr i skarbców krajowego przemysłu..

Zatrzymali się potem rodzice w Stryju,gdzie Tatko chodził do szkół a stamtąd najętym,jak Mama pisze „wcale porządnym-powozem,podążyli do Kruszelnicy w gościnę do bawiących tam na letnisku Wład. Skólimowskich. Pierwszy raz znalazłam się wtedy na najdroższym mi na świecie szlaku.Doskonale dziś wiem co czuć musiał Tatko na tej powrotnej pielgrzymce ku miejscom swej szczęśliwej młodości,które chciał Mamie pokazać. Co czuł,poznając z daleka granatowe kontury gór,oddychając znów tem jedynem,niezapomnienem powietrzem,które po latach stać się miało i mojem najrodzeńszem.. Tak kochał te góry,że aby jego tęsknocie dogodzić a moje naderwane płuca ratować,ruszyły Babcie swój wentzowski kapitalik,który dał początek Storożce.

W Kruszelnicy w ogromnem drewnianem dworzyszczu Podhorodec

kich,dziś już od lat nieistniejącem,zwieszonem na długość całej jednej połaci,gankiem nad Stryj,mieszkała oprócz państwa Władziów,pani Fela z pannami Bronią i Anielką.Wszyscy pili żętycę,ów środek sympatyczny swojej epoki,który--ile że znajdował się w górach--pomagał na płuca , okropna,jakby nalewka ze świeżego serdaka,którą mnie zaraz nazajutrz poczęstowano. Pani Izabela Skólimowska,synowa Matki Dory,chroniczna do xxxxxxx późnej starości suchotnica,była jedną z tych kobiet,które cały dzień chętnie zostają w szlafroku,są dobre ale do niczego..Z domu Jastrzębska,nie miała w sobie ani śladu drapieżności,zawsze coś gubiła,zapominała,zresztą kochająca i xxxxxxxxxxxx cierpiąca..Twarz jej o zapadniętych oczodołach,drobnym nosie,policzkowych kościach wydatnych i ustach wklęsłych a zaciętych,miała coś trupiego ,co mnie,choć małą, przerażało. Troje jej dzieci: Janka najstarsza,Leonek,faworyt matki i Walerka,kopciuszek,wciągnęli mnie w swoje zabawy i dobrze mi się działo w tej kompanii.Nic mi wszakże tak nie dogadzało w Kruszelnicy jak konfidencja ze Stryjem,który płynął dosłownie popod samym domem. Xxxxx Dworzyszcze otaczała biegnąca dookoła weranda i zachwycający był obryw pod nią,zarosły malinami,wierzbami i kaliną,opadający stromo ku samej wodzie..

Tatko z pannami Skólimowskiemi i Tadziem robił wycieczki piesze w góry reszta pań brała udział tylko w wyprawach wozami do Urycza i Skolego. Ja zostawałam w domu z panią Felą i dziećmi,do których należała też mieszkająca w tem xxxxxxxxxxxxxxx dorzyszczu z matką, mała Zosia Dzieduszycka. Miała głowinę ostrzyżoną krótko przy skórze, gładziutką i nazywałam ją z tej racji: Zosia -aksamitka. Była to dziewczynka chorowita,z nóżkami w żelaznych maszynkach,ale dziwnie miła. Wolałam ją od Janki Skólimowskiej,zawsze jakiejś posępnej i niepokojąco podobnej do Matki i do Walci,młodszej,zahukanej przez brata,faworyta Leonka. Trójkę tę dynisko nie wesołe czekały losy.

Gdy Janka była już dorosłą panną Dynisko już się rozpadły na dobre. Uczyła się może najwięcej i najstaranniej,podczas gdy Walcia

rosła przy niańce w piekarni. Miała ogromny talent do rzeźby. Specjalizowała się w zwierzętach, które modelowała z niezwykłą zręcznością, w świetnie obserwowanym ruchu, z pamięci. Chleb, wosk, -gliny zdaje mi się nie zaznała--były materjałem z którgo je lepiła. Ojciec tymczasem pił coraz gruntowniej, matka pielęgnowała swoje dziwnie długotrwałe suchoty. Leonek usiłował na stancjach lwowskich xxxxxxxxx zgłębić gimnazjum a w dyniskim parku coraz to któreś stare drzewo padało na opał i żyd Reiss coraz się stawał zuchwalszy. Nic dziwnego że ponure oczy Janki robiły się jeszcze bardziej posępne. Oprócz rodziny i przyjaciela pana Władysława, dra. Jaroszyńskiego, nikt prawie nie zaglądał pod cieknący i trzeszczący dach. Zamiast kształcić świetnie zdolną xxxxxx dziewczynę na artystkę, dać jej poznać świat lepszy i umieścić bodaj we Lwowie, trzymał ją ojciec na wsi, gdzie marniała i grążyła się w coraz beznadziejniejszej zapadni. Wreszcie, któregoś karnawału, postanowił ojciec wprowadzic ją w świat. Była na paru balach w Lwowie, ale posępna, zacięta jej maska raczej odtrącała niż pociągała danserów. Wypadła gdzieś zabawa w okolicy, nie domowa, ale jakiś piknik w miasteczku, oczywiście ziemiański. Pani Izabela jak zawsze kaszlała, pojechał więc xxxx ojciec z Janką sam. Panna nie miała ochoty, prosiła się aby zostać, nie pomogło, musiała. Na balu dość niedługo po przybyciu, ojciec zdążył się upić w bufecie. Iluminowany, stawał się wymowniejszy i jeszcze tem samem groźniejszy. Janka ginęła ze wstydu. Zaszedłszy za ojcem do bufetu chciała go namówić do domu--ale nie tylko ani słyszeć nie chciał, ale zobaczywszy córkę, począł ją zalecać zgromadzonym tam mężczyznom i namawiać by się jej dobrze przyjrzeli, bo warto. Uciekła i w garderobie pośród futer i salop odczekała pory w której wreszcie wyniesiono pana Władysława już całkiem nieprzytomnego do sani. Wracali tak o mroźnym zaranku do Dynisk. Ojcec upity jak bela, dziewczyna w balowej sukni, z umyślnie odrzuconem futrem, z samobójczą rozpaczą w sercu. Półprzytomną bez okrycia zdjęto ją w domu z sani. Umarła w jakieś dziesięć dni potem na zapalenie płuc, majacząc w gorączce o tej strasznej balowej nocy.

Dr. Jaroszyński ratował ją jak mógł, ale właściwie lepiej, że mu się nie udało..

1X

Jedna z nich była

autorka. Bywała we [illegible]

zaprzyjaźniona ze mną w [illegible] —

Szkole, charakterystyczna.

Leonek, po daremnych wysiłkach skończenia studjów koczował po różnych krajach, był nawet na Kaukazie przy nafcie, umarł jeszcze młodo, ożeniwszy się parę lat przed śmiercią. Żona jego była z domu Hoszowska. Zostawił dwie córeczki.)*

Walcia wyszła za pana Świeżawskiego i była nad wyraz wszelki nieszczęśliwa. Oto pokrótce dzieje wnuków Matki Dory, które się ze mną bawiły w Kruszelnicy.

Ostatek lata spędziliśmy w Rożniatowie u wujostwa Maryjańskich. Ciocia była mi znajoma już i kochałam ją bardzo. Dziś dopiero mogę osądzić jak wiele było między nami podobieństwa. Ta sama egzaltacja, ten głód wzniosłości, potrzeba wrażeń głębokich, kult pamiątek. Tyle, że ciocia Aniela była lepsza, czulsza, miała miększe serce na bliźniego odemnie. Ale mieszanina czujnego humoru z sentymentem, jawiąca się w nagłych przeskokach, jak u Tatka i u mnie czyniła mi ją wcześnie bliską i zrozumiałą. Wuj był duży, zawsze zaspieszony i zasapany, o głosie tubalnym, wysilał się widocznie by siać postrach między dwoma chłopcami Bronkiem i Walerkiem, a w żaden sposób nie szło. Musiało się go kochać choć krzyczał okropnie, i sapał i groził. Trudno było o jaskrawszy kontrast jak między tymi dwojgiem. Ciocia subtelna, powiewna, bladawa, z dwojgiem smutnych bławatkowych, ogromnych oczu, mówiąca głosem zciszonym i ładnym--wuj rwetesnik, rzucający lapidarne ukazy, trzaskający drzwiami, umiejący, gdy żona zasnęła półżywa po migrenie, ryknąć jak ranny żubr przez pokoje:

„Cicho chłopcy! Mama spi!"

W tym Rożniatynie zaznałam pierwszej huśtawki, asystowałam przy zielonem misterjum kiszenia ogórków, pływałam tratwą po stawku, poznałam smak pieczonej w popiele kukurudzy, widziałam zbliska pierwsze ule--i zawarłam dożywotnie braterstwo z Walerkiem Maryjańskim, trwające niezachwianie do dziś, czyli pół wieku z przyczynkiem.. Niedobrani gruntownie z Adasiem, z tym bratem ciotecznym zostaliśmy sobie przyjaciółmi, od czasów pierwszej pieczonej w popiele kukurudzy, poprzed

całą naszą wspólną młodość,wszystkie tomy Trylogii,rycerską musztrę w której następstwie dostałam od Walerka dyplom na rotmistrza i razem z nim w Mikołajowie budowałam pierwszą fortecę z grochowych tyk--aż do Wielkiej Wojny i przez Wojnę,po której generał ~~xbwbjbxbxx~~ Maryański były szef sztabu Armii „Wschód" pod komendą generał broni Tadeusza Rozwadowskiego,wówczas dowódca D.O.K. we Lwowie,otrzymał zaszczytną misję,on nikt inny,aby odprowadzić z Cmentarza Obrońców Lwowa trumnę z prochami Nieznanego Żołnierza na Plac Saski w Warszawie.

W ciągu grudnia tego samego ~~xxxxx~~ 1898 roku,podczas ostatniej zimy spędzanej w mieszkaniu na Sykstuskiej,gdzie zapoczątkowane przez Mamę,odbywały się moje dziecinne,cotygodniowe soboty,-nadszedł wielce dworny,po francusku pisany list od Busi Chajęckiej,zapraszający nas na święta Bożego Narodzenia do Żurawna.

Nie było już wtedy tak wesoło jak w lecie.Pan Chajęcki niedomagał na płuca,panny Skrzyńskie spędzały święta w domu i była tylko oprócz gospodarstwa i nas panna Taborska i ciocią Terenią.Pierwszy raz w życiu jechałam wtedy saniami po wysokim,puszystym śniegu, polem..

Poczciwy „Dziapciuś" jak nazywałam pana Chajęckiego kazał dla mnie wystroić drzewko prześliczne.Stało w salonie,między dwoma garniturami,przymocowane do żyrandola z którego odjęto wszystkie wiszące kryształki i przytwierdzono do gałązek,niby sople lodowe.W kątach jadalni ustawiono snopy zbóż a podłoga tak była zasypana ziarnem że co moment ślizgał się ktoś.Ale nie wolno było zamiatać aż nazajutrz Po wilii i drzewku z tupotem ,bełkotem i brzękiem wtoczyła się do salonu gromada straszydeł,prowadzących coś kudłatego,co chwytało za suknie i nogi,Turonia. Górą zaś wyciągał żyrafią szyję okropny potwór-kłapacz,niby bocian,niby koń,bo miało dziób zębaty i płaskie drewniane nogi,niby olbrzymia kaczka,któremi wielki czyniło łoskot o podłogę. Przeraziłam się tej kompanii okropnie,choć krótko,bo zaraz mnie uspokoił widok żywej,ludzkiej ręki,wysuniętej na moment z pod kudłów.Tura. Cieszyłam się jednak gdy te cudaki podudniły w dół po schodach kłapiąc i pomrukując.

Raz jeszcze, następnych wakacji, w czerwcu 1879 roku byliśmy w Żurawnie. Z tego drugiego letniego pobytu, który tak mi się miesza w pamięci z pierwszym, że mi napewno trudno ustalić co było kiedy--została mi w oczach Bereźnica, dokąd wybrali się rodzice z wizytą i mnie wzięli ze sobą. Tatko łączyła z Bereźnicą moc wspomnień o których jeszcze wówczas nie wiedziałam, dość, że był tam jak w domu i cieszył się każdym kątem. Byli tam wtedy rodzice pani Pawlikowskiej panstwo Wolscy ze Lwowa, rodzice panny Hali i Zosi a i domowe dzieci były. Dwie dziewczynki, starsza odemnie Saba i rówieśna Sewa. Innych nie pamiętam. W jakiejś chwili postawiono mnie na stole i oglądano zbliska. Panie mnie całowały i głaskały a jakiś pan powiedział „Ależ śliczna!" Miałam różową sukienkę z guziczkami białoróżowemi jak cukierki i różową kokardę na czubku głowy. Nie raz mówiono przy mnie żem ładna, nie raz na ulicy wpadały mi w ucho takie słowa, ale jakoś to przelatywało mimo. Teraz, na tym stole wydało mi się ważniejsze i bardziej uwagi godne. Na dłuższy czas zgłupiałam potem na swój temat i miałam wielką niewygodę z tą sprawą.

Drugą wycieczką z Żurawna była jazda do Przeździeckich, znajomych panstwa Chajęckich, mieszkających w okolicy Bakocyna. Pan Przeździecki bawił pono wiele lat w Turcji i miał w domu prawdziwego Turka w zawoju i hajdawerach, ktory usługiwał.

Jeździło się też co niedzieli na sumę do miasteczka, za czem przepadałam i ze względu na samo jechanie i na nabożeństwo, którego tajemniczość, estetyczna salenność, niezrozumiałość, niesiona falami organów przejmowała mnie zawsze nęcącą grozą.

W Zurawnie miasteczku odbyło się też przedstawienie na dobroczynny cel w którem brali udział oboje rodzice, panny domowe, pani Michałowa Dzieduszycka i przemiły „Miśko" Sozański. Pewnie i inne osoby, ale już nie pamiętam. Grano sztuczkę La Biche´a „Uściskajmy się" w ładnych strojach rokoko, panna Taborska była idealną Bertą, Tatko Follevillem zas Leopold Starzenski napisał umyślnie jednoaktówkę p.t. „Stała pogoda" w ktorej świetną złosnicą była pani Michałowa Dzieduszycka. Natural

ralnie najprzyjemniejszym okresem był czas prób,które się odbywały na wielkiej galerji na pierwszym piętrze.Tylko Misia Sozańskiego,który nie miał cierpliwości kuć,podczas lata i wizyty swojej roli,z niesłychaną cierpliwością wzięła w obroty ciocia Tereśnia,a panny przygotowały dla niego słój konfitur w nagrodę pilnosci.Pokonał w końcu i rolę i konfitury..

A potem skończyło się dawne Żurawno! Pani Chajęcka przeżyła o tyle młodszego męża,który umarł niebawem..Odwiedzałam go z rodzicami gdy już dogasał na suchoty.Mieszkał wówczas w pałacyku Ulanieckich przy palcu Bernardyńskim i był zmieniony do niepoznania.Wspominany był w naszym domu długo i serdecznie.Doskonałe jego podobizny są też w żurawieńskiej Tatkowej tece.

Ale wracam wstecz!Mieszkamy przy ulicy Zimorowicza 12, (potem zmieniono numar na 16 i tak już zostało).Ciocia Terenia jest już z nami na stałe.Muszę z nią mówić po francusku i po niemiecku,co mnie oburza.Czytać i pisać po polsku nauczyła mnie Mama jeszcze na Sykstuskiej.

Przy naszem mieszkaniu na drugiem piętrze jest długi,żelazny ganek,nie taki jak na Sykstusiej,z pomiędzy którego drewnianych,wychełtanych balasków raz omal nie wypadłam na bruk.Wogóle tam zostały moje naszalensze lata...Tam,już wylatującą przez okno na widok zobaczonego na dole Tatka,chwyciła mnie na czas ciocia Mila Pawłowska,przyczem ona połamała paznokcie obu rąk,ja zaś rozdusiłam sobie niemiłe żołądek na gzymsie...Tam,wbrew ostrzeżeniom,rozgryzłam chyłkiem obbügęty liść arumu,zwanego popularnie „aronem",którego sok pali niczem kwas solny. Gdy mnie opętaną okropnym bolem i rozwrzeszczaną podniósł nadbiegły z drugiego pokoju Tatko,miałam usta oparzone i spuchnięte tak, żem słowa wypisnąć nie mogła.Mamy nie było,i Tatko widząc leżący obok liść,który pokazywałam,nie wierząc aby to mogło mieć związek z mojem nieszczęściem podniósł go do ust także..Nastąpił efekt podobny,tylko

50

bardziej opanowany. Gdy Mama wróciła z miasta zastała nas jak dwie ~~xxx~~ 81 55

~~xykxtxx~~ opłakane karykatury..

Z ganku naszego widać było Wysoki Zamek, Ratusz, całe miasto połyskujące o zachodzie tysiącem purpurowych szybek, słychać było wieczorem przenikliwy, dawno już umilkły, dzwonek-sygnał na zapalanie latarni, niósł się Anioł Pański z Katedry, a przed spaniem odzywał się z pobliskiej Cytadeli, ponad drzewa nieznajomego jeszcze Zaświecia capstrzyk, nieporównany z niczem capstrzyk Haydna, coś związanego tak na zawsze z mojem szczęśliwem dzieciństwem i młodością, że tego jednego po Austrji żal mi gorąco, i za tem jednem tęsknię.. Nie było jeszcze wysokich kamienic dzisiejszego Lwowa. Z naszego ganku rozciągał się widok przestrzenny, daleki aż do lasów za rogatkami..

Właścicielami kamienicy byli niejacy państwo Izdebscy, którzy oprócz tego trzymali „fiakry". Z naszego ganku widać było jak na dłoni całe podwórze i gospodarkę stajenną. Adaś cały dzień tkwił między żelaznemi ~~xxtmcxxzxnmr~~ prętami ganku i razem z rówieśnym Adasiem sąsiadów naszych, pp. Grelińskich, kontemplował konie i końskie sprawy. Fiakry stanowiły dla całej kamienicy rodzaj czasomierza, dzięki któremu wiedziało się kiedy pierwsza w południe, kiedy jedenasta w nocy i kiedy piąta. O tej porze cały dom trząsł się od huku wjeżdżających lub wyjeżdżających bramą powozów. Pamiętam rozkoszne uczucie rano, gdy wstrząd ten znajomy ~~xxxxxnombndnaxznnxnnnxmwchmidz~~ śpiącą na wązkiej jesionowej kanapce rozbudzał mnie na chwilę, .. Wiedziałam, że zaraz znowu zasnę i sprawdziwszy że u kowala obok słychać już kucie (o ośmiogodzinnym dniu pracy jeszcze się wówczas nie śniło!) a zatem dopiero piąta-obracałam się do różnokolorowych paseczków kanapki i spałam dalej..

Byłam już wówczas gruntownie zagospodarowana na świecie. Miałam w głowie moc najróżniejszych pojęć i powiadomień. Dzięki licznym ilustracjom i reprodukcjom w które nasz dom obfitował, znałam ogromne mnóstwo obrazów i widoków, nazwisk malarzy, miejscowości, strzępków historji, które mi się jawiły na obrazach, miałam ukochanych bohaterów tak jawy jak baśni, ale świat bajek Andersena mieszał mi się jeszcze ciągle

z rzeczywistością. Wszystkie „rzeczy" były dla mnie za jego sprawą milczącemi istotami, które tylko dlatego nie gadają, bo nie chcą.. Stąd obyczaj nazywania osobnemi nazwami sprzętów domowych, który mi został do dziś, ba, nawet części odzieży. Spora już byłam, gdym miała ulubiony słomiany kapelusz, który z niewiadomej racji nazywał się „Bille".

Histroji greckiej uczyłam się zrazu na Homerze, powrzechnej na pięknem wydaniu Memorabiliów Geigera, książki, którą Tatko cenił dodatkowo jako pamiątkę po ukochanym koledze i przyjacielu młodości Marcelu Maszkowskim. Ale o tem jeszcze się później rozgadać przyjdzie.. Uczyłam się--wyznać trzeba-- przeważnie ze złością a zwałszcza rachunki były mi wprost fizyczną udręką. Nie mogłam! To też z racji mego rozbudzenia wogóle i marnego wieku, nie zmuszano mnie do tego zbytnio. I Mama i ciocia Terenia obie uznały, że trzeba na mnie fortelu i uczyłam się ani wiedząc jak, opowiadaniem. Na tej wąskiej jesionowej kanapce, na której sypiałam, zakopane o zmroku we wielki, popielaty pled cioci, słuchałam bez tchu tej tulącej mnie do siebie mądrej i słodkiej nauczycielki, która niczem najciekawszą bajkę mówiła mi o --prawdzie. Poznałam w ten sposób historję polską i starożytną, zaś Tatko dopełniał stosownemi ilustarcjami, które bądź z domowych zapasów wybierał, bądź z biblioteki Seminarjum naucz. męskiego, w którem uczył, pożyczał dla mnie. Później dopiero, z latami, dałam się nagiąć do foremnych lekcji i godzin nauki, które bardzo nierychło lubieć zaczęłam.

Im coś było dziwaczniejsze, mniej podobne do dnia dzisiejszego tem mi się więcej podobało. Rozmiłowana za sprawą Tepy w Egipcie, domagałam się opowiadań o Wschodzie, który mnie nęcił, jak każde dziecko, najbardziej. Był u nas tom gruby niemieckiego wydania bajek Tysiąca i jednej nocy. Ileż wieczorów przeszło nam z ciocią na zgłębianiu tych cudów. Harun Al Raszyd był dla mnie postacią bardziej rzeczywistą niż panujący w Austryi żywy cesarz. A gdy się zrobił na świecie huczek spowodowany odkryciami Schliemanna, umyślnie

wybrałyśmy się do cukierni Grossa przy Hetmanskiej Wałach, dla obejrzenia niemieckiej ilustracji, która przyniosiła podobizny złotych przedmiotów ze skarbca Pryama.. Cała ta nieszczęśliwa wykopaliskowa familja znana mi była doskonale najpiew z opowiadań Tatka a potem xxxxx cioci na wązkiej kanapce i trudno odtworzyć to wrażenie z jakiem patrzyłam na rzekome trzęsidła Heleny i długie, z migotliwych blaszek zausznice. Mocno utwierdziło to we mnie wiarę że wszystkie bajki mogą być kiedyś odkopane..

Wyraźnie dzielił mi się już rok na cztery pory, które znaczyły się dla mnie znajomemi etapami. Więc: Jarmark św. Jura, wyjazd na wykacje, Zaduszki i Gwiazdka.

Wiosna to były pierwsze śnieżyczki przyniesione z rynku w twardo ściśniętych pączkach, data moich urodzin--13 marca--i imienin 25.go. Pachniały mi te dni zawsze ślicznie hyacyntami i jakiemiś przez rodziców najtrafniej pod słońcem obmyślanemi radościami. Spełniały się stale jakieś „najgorętsze" życzenia, n.p. aksamitnie miękki ołówek Faber nr.2-gi, albo prawdziwy orzech kokosowy, czy grubo serce z czekolady wybrane śmiałą myślą za wystawą Rotländera lub pudełeczka biletów wizytowych z różowego, seledynowego, błękitnego kartonu..O urodzinach moich pamiętała też niezmiennie moja chrzestna matka, Leonia Sowczyńska jawiąca się zawsze z bardzo dostojną swą mamą i młodszą siostrą Jawdigą, aby mnie w tym dniu czemś miłem udarować. Przyjęcie stanowiła stale czekolada z oblewanemi cukrem sucharkami. Imieniny bywały gwarniejsze, bo przychodzili na nie liczni moi młodociani znajomi, starsi i młodsi, Lolo, Anielka Maszkowscy, Tyńcia, Zosia i Genio Piaseccy, Zosia i Jadwisia Trzemeskie, August, Cezar i Józio Hallerowi--ale ci bywali już trochę poźniej.

Wiosna kończyła się czemś, dziś już bezpowrotnem--corocznym majowym jarmarkiem na placu św. Jura. Umiało się na pamięć wszystko co tam było do zobaczenia i doznania, ale urok z roku na rok nie malał bynajmniej. Już sama droga przez rozkwitły bzami i pach-

nący młodem liściem ogród jezuicki, usposabiała świątecznie. Ogród ten był znajomy do ostatniego zakamarka. Wszystkie wiosny i jesienie spędzaliśmy tam z wózkiem Adasia, a potem już oboje na piechotę pod niewyczerpanie cierpliwą opieką Mamy lub Babci. Pod olbrzymim, dziś już ściętym kasztanem, który kwitł w różowe wieżyczki osypujące się potem na ścieżki, była nasza ulubiona ławka. Stamtąd urządzało się śmiałe wypady w inne aleje i wracało pędem pod kasztan. Pamiętam się w białej, chłopskiej sukmance, którą mi ciocia Terenia kazała zrobić na wsi w Żurawnie, wyszywanej pięknie czarną i czerwoną włóczką, przepasaną pąsową krajką i w takiej chuścinie na głowie. Brodziłam w trawie sięgającej mi ~~xxxxxxx~~ pasa, zdmuchując świetliste kule mleczów. Wysokość tej trawy może świadczyć o dwojakiej prawdzie: moim maleńskim wzroście lub niedbałym zarządzie ogrodu..

Ale chodźmy na jarmark.. Z daleka już dolatywały charakterystyczne, nosowe dźwięki harmonijek, na których się „grało" oddechem, metalowych, podłużnych przedmiotach o kwadratowych celkach z których lada chuchnięcie dobywało mdlejący jęk.. Niektórzy twierdzili, że umieją z tych jęków układać melodje, ale trzeba było silnej wyobraźni, aby uznać, że jest to krakowiak, lub „Jeszcze Polska" Pomiędzy to niosły się donośniejsze piski gwizdawek, pawie zadęcia trąbek, co wszystko uszlachetniała pewna ogromna katarynka, wygrywająca równocześnie Polonez Ogińskiego.. Tak, już tu zaczynało się użycie!

Wreszcie na słońcem zalanej, otwartej przestrzeni zaczynało coś czernieć i błyszczeć. Białoczerwone namioty z piernikami, i ogromnie stosy poukładanych kunsztownie denkami ku niebu, polewanych, kamiennych garnków. To się rzucało w oczy najpierw. Chorągiewki o narodowych barwach, skrzyżowane nad wnętrzem piernikowego namiotu, strzały, te do szopek podobne, drzwi. Wystawa pierników wyglądała w nich jak scenka jakiegoś jadalnego teatrzyku. Cóż tam była za niemowlęta piernikowe we wszystkich wielkościach, jakie

serca rozłożyste i wyzłocone,ile gatunków innych pierników o kształtach obrzędowych,corocznych,i takiej samej dekoracji.Nad wszystkiem zaś unosił się zapach miodu,krochmalu i święta..

Jakże skurczyły się od tej pory serca piernikowe-i ludzkie!

Najpiękniejsze były namioty Józefa Zimmera i Franciszka Staffa,ojca poety.Później dopiero zasłynął Józef Czyński z Jarosławia..

Między temi namiotami szczęśliwości była cała uliczka,którą szło się po kilka razy z rzędu i pasło oczy nim został zrobiony wybór.Zaczynało się zwykle od takich oględzin wszystkiego.

Były i namioty z zabawkami.Najpokuśniejsze wszakże,chłopskie,rozłożone bywały w miałkim prochu „placu".Pamiętam tam nieodżałowane lalki, gatunek wymarły bez śladu,które hurtem nazywałam „Margorendy" Były te Margorendy całe z drzewa,coś między kręglem a damską figurą w sukni empire,stale buraczkowego koloru, o ramionach głupkowato odstawionych od tułowia.Miały długie szyje a na nich okrągłą,jak makówka głowę,o malowanej twarzy,różowej z silnemi wypiekami, jaskrawą kropką ust,dwoma czarnemi kropkami oczu i kreseczkami brwi.Fryzurka z rozdziałkiem,zachodziła im modą z trzydziestych lat głęboko na policzki i kończyła się greckim węzłem na kulistej czaszce.Margorendy bywały nieodmienie brunetkami..Obok nich pamiętam jeszcze jeden gatunek zabawek zaginionych:kamienne kule,czarne,pokryte żłobionym ornamentem bardziej geometrycznym niż tamte roślinne z pisanek.Wewnątrz miały to gipsowe gałki i potrząśnięte kałatało..Żłobienia miały barwę popielatą i były bardzo rozmaite.Nazywałam je „ smocze pisanki:" i do dziś nie wiem do czego służyły. Jako zabawka dla małych dzieci były zaciężkie,dla starszych również nie miały sensu.Może taiło się w nich jakieś znaczenie symboliczne,zrozumiałe tym,którzy je wyrabiali.Dziś ich już nie widać nigdzie..

Naturalnie były na jarmarku wózki dla lalek malowane,spo-

tykane jeszcze i dziś,zaprzężone parą koników,jaskrawej maści, kogutki,którym gwizdało się w ogonek,gliniane rumaki-centaury z jeżdzcem bez nóg wrośniętym w wierzchowca,pasiatego jak zebra, skarbonki,fujarki,sita,rogoże plecione,kropidła,łyżki,strugane z lipowego drzewa--ale nadeszwystko pierniki i garnki!Co za garn ki!!Zielone,brązowe,żółte,siwe,od największych do malutkich dla lalek,dzbaneczki,kubeczki,miseczki,także wymiarów jakie kto chciał,a błyszczały do słońca piękną polewą jak mokre..Świat za-giniony już niemal,wyparty na zawsze przez emaljowane nowinki, napewne kruchszy od niech,ale o ileż powabniejszy,bardziej malow-niczy! Wytłukł się razem z pieśnią ludową,której jak twierdzą ba-dacze nie przyrasta,minął,jak pyszne podlwowskie sukmany ze szka-plerzem dziwacznym na plecach,które czasem tylko na jakim starym gospodarzu zobaczyć jeszcze można w Rynku.Zatracił się jak białe „magierki",wełniane czapy okrągłe,okolone różowo-zielonemi kres-kami włóczki,czapy wciągane na głowę jak pończocha o podwójnej warstwie,których naprawdę bez narysowania opisać mi nie podobna.

W głębi,za placem z garnkami i namiotami tłoczyła się mno-gość innych kramów,ale te już mi były obojętniejsze.Wisiały tam szeregi bułanych bucisków chłopskich z cholewami,jeszcze nie czer-nionych,połcie słoniny,osobny kramy z biczami prawdziwych korali koło których kupiła się publika sielska lub przedmiejska.Buty sprzedawali szewcy z Uhnowa,co mi nie było wszystko jedno,gdyż przez Uhnów jeździło się do Dynisk,słoninę także chrześcijanie tylko co do korali nie jestem pewna czy nie żydzi siedzieli w kra-mikach.Zresztą nie widać ich było na jarmarku „jurajskim" zupeł-nie.Osobną rozkoszą był dla nas,dzieci,głęboki,suchy biały proch, pokrywający plac.Szło się w nim dużo dłużej niż n.p.ścieżką ogro-dową i okoliczność ta przewlekała słodko trwanie użycia.Mnie na domiar przyśniwał się Egipt i pustynia a namioty z daleka przypo-minały Stary Testament. Dore' go.

A potem powrót o póżnym,majowym,rozzłoconym zachodzie przez

ogród. Niosłam w objęciu nieodmiennie: nową Margorendę, fujarkę związaną w mej wyobraźni na zawsze z malinowem wspomnienie Balladyny, jakiś śliczny garnuszek i pachnącą miodem torbę pierników-całusków. W ogrodzie więcej teraz było starszych niż dzieci, bez pachniał a powietrzem przelatywały, niby uskrzydlone, nosowe tony harmonijek, chrabąszcze majowe, których najczęściej słabe moje oczy nie dostrzegały i tem zabawniej było uczuć taki buczący przelot mimo nosa czy ucha.. Zwykle wbiegało się jeszcze na moment do okrągłej świątyni na kolumnach, zdobnej w cielęce głowy, na to tylko aby, tupnąwszy o jej posadzkę, usłyszeć pod stopem znajomy figiel echa, naśladujący do złudzenia trzaśnięcie w pulchny policzek.. Jarmark „jurajski" to było ostatnie silniejsze wrażenie przed wakacjami.

Po powrocie z wakacji do domu Zaduszki dopiero stawały się etapem od którego zwykło się liczyć czas. Zawsze, w razie pogody, brana bywałam także na cmentarz. Jechało się z wieńcami i latarniami fiakrem. Bardzo pilnowałam żeby coś także trzymać, bodaj paczkę świec gdym była mniejsza, potem nawlekałam ~~xxbxxx~~ na siebie wianek i bardzo byłam podniesiona na duchu, że go wiozę do Grottegra. wcześnie bowiem wiedziałam kim był, że narysował wszystkie te obrazy, które wisiały ~~xnumxxgnxxxlxnxxxx~~ na naszych ścianach (w salonie okrywała prawie całkowicie jedną z nich „Wojna" w pysznych zdjęciach, opodal wisiały ~~xxxxxxxx~~ fotografje „Lutuanii) że Mama była jego narzeczoną ale nie wyszła za niego, bo umarł na suchoty we Francji. Raz mi to opowiedziała Żana Prekowska, jedna ~~xx~~ z dyniskich Mamy przyjaciółek, a potem szczegółowiej ciocia Terenia. Wiedziałam, że on sadził dąbek rosnący w drewnianym kubełku, koło Mamy biurka i bluszcz, rozkrzewiony w ładną, zieloną ścianę, rozpiętą na wysokiej kratce z listewek, którą, gdy przyjść mieli goście obracało się zawsze liśćmi na pokój.. Wogóle był jedną z tych postaci, jak n.p. Marcel Maszkowski które choć dawno nieżyjące, były z nami stale, kochane, znajome, dziwnie wyraźne i swojskie.. To też cały coroczny obrzęd zapalania światła na ich grobach był dla mnie uroczystkością, która nie powszednia

57

ła mi wcale. Wówczas małośmy mieli jeszcze "swoich" grobów. Grottger, Bolcio i Joczka, Marcel z paletą na krzyżyku.. Pradziadek Leopold Wentz i jego żona, której śliczny profilek znałam z czarnej sylwetki wiszącej nad łóżkiem cioci Tereni, byli mi jacyś nieuchwytni. Nie mogłam się do nich przychęcić, choć co roku paliła Mama na kamyku nad nimi światełko.

58 62

Gdyśmy przybyły na cmentarz zjawiała się zaraz stara babina Zosia Suska, dawna służąca cioci Tereni z czasów, gdy ciocia miała pensjonat przy pl. św. Ducha i gdzie jako narzeczony Mamy bywał Grottger. Zosia z powodu złego wzroku nie mogła służyć i przez całe lato do jesieni posługiwała koło grobów, zamiatając, podlewając kwiatki i tem sobie zarabiała. W zimie tulono ją zawsze w jakimś klasztorze. Bardzo była miła i mówiła nie po lwowsku. Ona zawsze szła z nami aby pozamiatać koło grobowca, posypać piaskiem i jej się dawało drugą świecę, aby założyła wieczorem. Mama zawsze patrzyła na nią z rozczuleniem, bo nie tylko przypominała jej dawne czasy ale i jeden gest, bardzo piękny, rzadki nawet w salonie, a cóż dopiero w kuchni! Otóż gdy Grottger umarł i wyłoniła się kwestja sprowadzenia jego trumny do ~~xxxxx~~ Polski, w skromnym domu cioci i babci wielkie powstało zaturbowanie.. Miały kapitalik, ale trudny do ruszenia natychmiast. Wtedy Zosia Suska przyszła z płaczem do babci, ofiarowując swoje uskładane centy na ten cel, nim tamten fundusz się uruchomi.. Nie przyjęto oczywiście tej sumki ale wdzięczność została na zawsze. Poczciwa Zosia dawno już nie żyje i kto inny nasze groby obsypuje piaskiem..

Prześliczny cmentarz łyczakowski bywał w tym dniu jeszcze cudowniejszy. Zdarzały się jesienie pogodne i długie i całe złoto liści trzymało się na drzewach. Kasztany zwłaszcza podświetlone mrugającemi płomykami, robiły wrażenie czegoś nierzeczywistego i pamiętam jak w takiej chwili olśnęła mnie raz myśl, że podobnie jaśnieć musi "światłość wiekuista", tyle, że ~~xxxxx~~ trwa jeszcze dłużej niż ciągle..

Po zapaleniu latarni u grobowca Grottegra, po ułożeniu wianka, Mama klęcząc modliła się zwykle dłuższą chwilę a ja ukradkiem patrzyłam to na nią, to na tę kamienną postać kobiecą na pomniku. Wiedziałam, że jest związek między obydwoma, że Mama, odchodząc pochyli się zawsze jednakim ruchem nad obrzeżem grobowca i ucałuje szorstki kamień, że na przyszły rok przyjdziemy tu znowu i znowu zapali się światło. Potem szłyśmy do pradziadka Wentza, do Prababki i Joczki. Zawsze mi było zawcześnie do domu. O zmroku, rozmigotanym światełkami, potykając się na dojrzałych kasztanach, wychodziłyśmy z cmentarnego dziedzińca, aby już piechotą wracać do miasta. Trzeba się było przepychać przez podwójny strumień nadchodzących dopiero i tych, którzy już wracali. Wzdłuż ulicy Piekarskiej, ze strony prawej rozwieszone były wianki na sprzedaż, zielone całkiem i ubrane papierowemi kwiatami, z drugiej strony jezdnej drogi, pod drzewami, krzyczał, mamrotał i przygrywał długi, bury szlak, stłoczonych jeden przy drugim--dziadów. Okropne to było! Nie widuje się już takiej wystawy straszydeł. Może jeszcze po jakichś odpustach, ale we Lwowie szczęściem zanikły. Dziady mego dzieciństwa to były zupełnie złe sny, albo owe polipy podmorskie pomiędzy które, półżywa z trwogi, przemykała Andersenowska „Wodnica". Wielu z nich rzępoliło na skrzypcach, przebierało na lirze, inni tylko się darli jak z czyśćcowej czeluści, lub wyciągali z łachmanów ręce podobne do połamanych patyków, inni milcząc i łypiąc okropnemi białkami, odsłaniali straszliwe kalectwa i rany. Były tam baby i jakieś niesamowite dzieci.. Ohyda i nędza doprowadzona do perfekcji..

Raz, gdyśmy mijały ten bury szpaler, opowiedziała mi Mama swoją przygodę na samym cmentarzu przeżytą. Miała obyczaj, od młodości do późnego wieku, być zawsze na cmentarzu w wieczór Wilii nim zmierzchło i podczas Rezurekcji. Chadzała zawsze sama jedna. Właśnie w taką Wilię, gdy już szarzało i stała w głębokim śniegu, zapalając u grobowca Grottgera światło, usłyszała tuż przy sobie głębokie west-

chnienie.Odwróciła głowę i zamarła z przerażenia.Bez szelestu przybliżała się ku Mamie wysoka postać,okutana w białe draperje,z twarzą zupełnie czarną,w której tylko białka oczu połyskiwały.Zjawa dyszała i po momencie milczenia,przez którego trwanie nie rozumiem jak można było nie oszaleć--widmo zagadało łamaną fransuszczyzną. Pokazało się,że mara przynależy do goszczącej właśnie w e Lwowie trupy Syngalezów,jest kobietą,której (rzecz naturalna w takim klimacie..!) umarło maleńkie dziecko i jego grobku,jako chrześcijanka poszukiwać przyszła w ten wieczór na wielkim,białym,obcym cemntarzu.

Wszystko niby proste,ale było się czego przeląc!Czyż nie?

Na prawo,u zakrętu,naprzeciw miejsca gdzie dziś stoi kaplica anatomii,rozciągały się jak i dzisiaj rozległe błonia,na których wiosną ćwiczyło zwylkle wojsko i głosiły się wesołe hasła trąbek,związane z tą porą roku jak capstrzyk z bastjonami Cytadeli i godziną dziewiątą wieczorem.. Teraz gdy je okrywał obrus śniegu dreszcz przechodził na myśl o nieszczęsnych wielbłądach oryginała Bawcrowskiego,które ongis,gdy ciocia Terenia była malutka,pasły się tutaj,odziane w siatkowe czapraki z purpurowych i żółtych sznurów. Zawsze,ilekroć mijać mi wypadło to błonie przy cmentarne,jawiły mi się owe wielbłądy,które napewno uległy temu samemu losowi,co dziecko Syngalezki..

Co krok to jakieś ciekawe wspomnienie..Choćby n.p. wnętrze pracowni rzeźbiarskiej Juljana Markowskiego,przy ul Piekarskiej,już bliżej miasta,zaludnione także nie własnem,ale Maminem przeżyciem.Już po rozejściu się z mężem Babcia z małą Mamą mieszkała czas jakiś w tym domu,gdzie za żalaznemi sztachetami,na trawą zarosłym dziedzińczyku,stały gotowe kamienne nagrobki..Las figur i krzyżów. Tam mieszkała też pani Laura Blaszkowa, serdeczna przyjaciółka Babci i jej syn Edwin,który wraz z małym Julkiem Markowskim,synem właściciela domu,rzeźbiarza,stanowił towarzystwo Mamy,bardzo jej oddane.Zdarzyło się,że jej zdechł ukochany kanarek,Ona i obaj starsi przyjaciele,postanowili pochować uroczyście

ptaszka.Wtedy Julek Markowski odbił pokryjomu na ten cel czubek gotowego już marmurowego pomnika.Skończyło się wielką skórobitnią smarkacza i znacznie uproszczonym pochowkiem faworyta.

Z tym Julkiem Markowskim miała Mama jeszcze jedno wspomnienie.Matka jego,Włoszka,chorowała na płuca i trzymało się dla xxx niej dojną kozę dla leczniczego mleka.Koza była biała i zamknięta zwykle w komórce,rzadko i z małym zyskiem wypuszczana na chudą trawę między nagrobki,nie miała humoru,co dzieci ze zmartwieniem zauważyły. Nie wiem które wpadło na pomysł zrobienia kozie przyjemności by jej choć w części dać złudzenie gór.Cały bowiem smutek xxxx kozy przypisany został przez dzieci tęsknocie za górami.„Przyjemność" wykonaną została w ten sposób,że oboje powlekli ciężkie i niechybnie oporne zwierzę po drabinie na stryszek a stamtąd jakiemiś sobie znajomemi przejściami,na dach.Nieprzewidzieli jednak,że koza,czy zainspirowana istotnie górskiem położeniem okolic w których się znalazła,czy wyjęta z równowagi niespodzianą gimnastyką,nie ograniczy się do domowego dachu,ale wybierze się na sądziedni a potem puści i na dalsze..Dzieci nie mogąc ścigać jej po kruchych gontach przyległych domków musiały wezwać pomocy starszych.Ta nie na wiele się przydała,bo koza nieczekając była już na jakimś szóstym dachu i dopiero wezwany kominiarz zniósł w czarnych objęciach białą turystkę w niziny.

Długie,jesienne wieczory sprzyjały pogawędkom na wąskiej kanapce i ciocia z niewyczerpaną cierpliwością dawała mi się zanudzać pytaniami.Domagałam się opowieści o jej dzieciństwie i o tem wszystkiem co,dzięki natarczywym moim wywiadom,przeżywałam,acz z drugiej ręki..

O takiej szarej godzienie słuchało się o zasypanej Pompei, o Partenonie i lordzie Elginie,o jednem popołudniu,gdy to Sebastian del Piombo wezwał Michała Anioła,żeby spieszył,gdyż w pewnym ogrodzie pod Rzymem „schodzi" jakiś marmur,który wygrzebany „zeszedł"

istotnie,jako grupa „Laokona znana mi doskonale z ~~xx~~ wizerunku i
odlewu głowy u Maszkowskich na szafie..A gdy wreszcie robiło mi się
za twardo pośród sławnych kamieni,prosiłam o opowieść o ludziach.

Gdy rodzice szli gdzieś na wieczór,(co w owych zamierzchłych,gościnnych czasach zadarzało się dość często) do Żuliśkich Grzywińskich,czy Janowskich a myśmy zostawali z Ciocią Terenia w domu,gdyśmy się nabawili do syta w ulubioną „apkekę" wszyscy troje, zabawę polegającą na zgromadzaniu wszystkich domowych słoików i flaszek,które różni potrzebujący przychodzili niby kupować,przy czem improwizowało się coraz to nowe typy,z których kilka,jak lokaj pani hrabiny,głupkowaty ~~stróż~~ stróż i zalotna pokojówka powtarzało się stale--gdy Adaś poszedł już spać,wołało się Józię,aby zdjęła z nad łóżka cioci „Quod libet".

Ów „Quod libet była to jakby płytka szuflada,nieduża, wieszana na gwoździu jak obraz,pokryta szkłem,podobna do tych,w jakie się kładze zbiory motyli..Dno jej wyścielone podwatowanym,białym atłasem,pełne było poprzyszpilanych drobiazgów,najprzeróżniejszych pamiątek,a za każdą z nich ciągnęła się lotna smużka wspomnień. Pomysł malujący wyraziście romantyczną epokę,w której powstał,zaczarowane,sentymentalne pudełko,dziś może śmieszne--za pomocą którego wszakże--niech sobie kto mówi co chce!--ludzie tamtych czasów umieli chwytać lepsze chwile życia za jedno pióro bodaj,pióro wyrwane w locie i przyszpilać je do białego atłasu tak mocno,że i ja, po tylu latach,mogłam niejednemu się napatrzeć,nie jednem nacieszyć,niczego prawie nie zapomnieć..Pamiątki to czasem nic innego tylko te rozbiegające się obręcze na wodzie w którą upadł kamyk.. Póki drży owa najsłabsza,najdalsza,jeszcze się wie,że to ślad istnienia jakiejś rzeczy czy duszy,co znikła..

Quod libet cioci Tereni to był zbiór plastycznych ilustacji do opowiadań jej o pradziadkach,o hrabinie Moszyńskiej,o Rewerterach,malutkiej Mamie,powstaniu.. Pochylona nad zatrzęsieniem tych okruszyn,pogrążałam się ze szczętem w odległy świat młodości cioci

Tereni i Babci..

Były tam mebelki dla lalek,któremi bawiła się prababcia Wentzowa,naczyńka szklane jak z serwisu krasnoludków,kawałek gromnicy którą trzymano w palcach umierającego pradziadka Leopolda,karnet cioci z pierwszego balu--ślicznie pono,choć sama niepiękna,tańczyła-- złocony,z bukiecikiem niezabudek,płowe włoski małej Adeli Revertera,umarłej dzieckiem we Lwowie,róża wyjęta z włosów przez Jenny Lind--tej samej z bajek Andersena--i podana przez wielką śpiewaczkę uroczemu Teofilowi Reverterze,po jednym z tryumfalnych jej występów we Wiedniu..Niewdzięcznik dał ją zaraz ususzyć w panieńskim quod libecie.. Była kokarda tegoż Teofila,uszyta mu przez siostry , którą nosił podczas rewolucji w r. 1848 na barykadach Wiednia,był różańczyk z ziarnek perłopławu,pobłodosławiony ongiś przez Katarzynę Emmerich,obok ułakek mozaiki z Pompei,pierwsza z grubego,zielonego kordonka robótka dziecinna Mamy,po której bez mała siedemdziesiąt lat nie spoczęły jej pracowite ręce,..Był widoczek zamku Reverterów w Tollecie,namalowany akwarelą przez hrabiankę Matyldę, najukochańszą uczennicę cioci i przyjaciółkę dozgonną jej i naszą , połamany wachlarzyk z miniaturką,migocący od pozłocistych pailletek po prababce Helenie..W jedwabnym woreczku piasek z Janikulu przywieziony z Rzymu przez hrabinę Moszyńską.. I z tych wszystkich okruchów układało się opowieść o czasach i ludziach,którą przypominam..

W r. 1776,gdy młody kapitan i komendant szwardonu,baron Karol Emeryk Wentz zu Niederlahnstein i jego żona,Helena,bar.Ehrenburg z domu,bawili z garnizonem w Zwichau,urodził im się,po śmierci dwu starszych dziewczynek pierwszy syn.Staroświeckim obyczajem, który miał jakoby dziecku przynosić pomyślność a zapewne i jako akt pokory starannie urodzonych rodziców, trzymał go do chrztu „pauper canis" czyli dziadek kościelny.Po polsku,w przekładzie z łacińskiego metryki,brzmiałoby to „biedna sobaka"..Jeżeli dziady mojej młodości

były takie straszne, jakże dopiero okropnym musiał być ów chrzestny ojciec pradziadka! Mały otrzymał imiona Leopold Emeryk. Gdy dorósł służył zawodowo w wojsku austryjackiem, jak ojciec. xxtxj Zdarzyło się, że stacjonowany został ze swoim regimentem w Galicji. Tutaj, na jakichś manewrach, w domu Antoniny(z domu Werbny)-Pawłowskiej, I-mo voto Jakóbowej hr. Komorowskiej (matki Gertrudy Szczęsnowej Potockiej i Korduli Teodorowej Potockiej) a II-o voto Józefowej Szeptyckiej, starosciny stanisławowskiej, poznał prześliczną panienkę, polkę, Kordulę Korbachównę. Ojciec jej, Jan baron Korbach z niemieckiej rodziny spolszczonej zupełnie a pochodzącej z Koblencji nad Renem, jako pełnomocnik i konfident Szeptyckich przebywał w Galicji. Żona jego podolanka, Anna z Różyckich. W r. 1788, w Nowemsiole, we dworze byłej kasztelanowej nowosielskiej, JMP. Antoniny, już podówczas Szeptyckiej, urodziła się Korbachom córeczka. Chrzestną matką jej była panna Kordula Komorowska, siostra nieszczęsnej „Marji" Malczewskiego, później Teodorowa Potocka, wojewodzina bełzka, po której ochrzczona w Kulikowie dziewczynka otrzymała imię. Po wczesnej śmierci matki, opiekę nad sierotą objęła pani Szeptycka i Potocka. Rozpieszczona, mało praktyczna, ale słodka, bardzo zdolna i piękna panna, oczarowała z miejsca młodego kapitana. Zakochał się do bezpamięci, ona nawzajem. Z rodziny kapitana żyły tylko jeszcze dwie siostry rodzone, próżne i obstarnie; Alojzya, stara panna, kanoniczka, dama gwieździstego krzyża na Hradczynie, nazywana w rodzinie xxxxqx Louisą i druga, Charlott radczyni Jordanowa. Damy te, licząc na to, że brat jednak utrzyma się na wysokości obowiązków i zrobi marjaż co się zowie, wpadły w szał! Niedość że bez posagu ale xxlxkat Polka! Tego było baronessom zawiele. Rozpętała się między Pragą a Lwowem złowroga korespondencja, niemniej, końcowym efektem wszystkiego było skwitowanie z wojskowej karjery pradziadka i ślub z Polką, który się odbył w roku 1813 pod patronatem pani wojewodziny bełzkiej. Lamentu barones w Czechach nie było we Lwowie słychać.

Tymczasem kapitan został skromnym xxzędxikixk urzędnikiem

i jak na złość radczyni i kanoniczce, zamiast syna, rodziły się same córki.. Choć ciasno im było wielce, choć nadęte ciotki odzywały się czasem xlxxtylkx z urąganiem lub nieproszonem współczuciem, w domu Wentzów było jednak pogodnie i pradziadkowie czuli się bardzo szczęśliwi. Prababka odważnie dźwigała obowiązki do których jej nie włożono w młodości, pradziadek wesołym humorem pokrywał niechybną gorycz starego wiarusa Napoleona, córki uczyły się żarliwie i bardzo wcześnie. W najlepszym wówczas zakładzie naukowym dla dziewcząt, xxx Szkole przy klasztorze Wszystkich Świętych we Lwowie, kończyła pierwsze studja Ciocia Terenia., co przyświadcza przełożona tego zakładu matka Józefa Kuhn, w r. 1827. Ciocia opowiadała mi, jak wracając raz, o ile pamiętam w roku 1825 z egzaminu w klasztorze, przepasana błękitną wstęgą premiantki ze srebrnym medalem na szyi, i trąbą świadectwa w ręce, przechodziła Rynkiem. W tejże samej chwili zachwiała się wieża starego ratusza i nim ciocia zdążyła krzyknąć, runęła w dół. Straszne to miało być widowisko, spotęgowane grozą obawy o ludzi, którzy mogli pozginąć. Tymczasem podobno nie zginął nikt, gdyż godzina była południowa i urzędnicy porozchodzili się do domów, tylko mała córeczka strażnika, którego obowiązkiem było, wypatrując ognia po dachach, dawać sygnał pożarowy i wygwizdywać donośnym gxxxxxxx gwizdkiem godziny (zegara widocznie nie było)--zastępując ojca, wyb wybiegła na wieżę aby gwizdnąć pierwszą, ale już nie zdążyła, tylko z lawiną gruzów usunęła się w dół i osiadła jak w żlebie bez przytomności. Znaleziono ją zdrową, ale oniemiałą na czas dłuższy z przestrachu.. Nie wiem ile razy kazałam sobie tę chwilę opowiadać i - mijając nasz szkaradny, kochany, nowy ratusz, -zawsze podejrzliwie podnosiłam głowę, czy się wieża nie chwieje..

Prababka Wentzowa, której czarną sylwetkę razem z sylwetką pradziadka i miniaturą Korbachów darowałam Leli do Medyki, była długo bardzo piękna. Brunetka, o granatowych oczach, jak Babcia i olbrzymich włosach do śmierci, przy których jej drobna, misterna twarz wyglądała zawsze jeszcze drobniejsza. Osobliwszem nabożeństwem ota-

czała św. Antoniego w którego parafii xixxxxxxx pradziadkowie mie szkali i którego imię nosiła pani Komorowska, bardzo czule przez prababkę kochana. Oboje musieli być przedobrzy i przemili, gdyż żadna z córek do starości nie mówiła o nich obojętnie..

Ciotki Mamine bardzo nierównomiernie los uposażył. Celina i Teresa yyby były w równym stopniu brzydkie, jak Kordula(nazywano ją potem Kordelja) i Eliza piękne. Ale z rzadką losu galanterją nagrodzone to zostało brzydkim większemi bez porównania zdolnościami. Umysł cioci Tereni był jeszcze w później starości zdumiewający pamięcią, bystrością sądu, potrzebą zdobywania wiedzy dla siebie, podawania własnej drugim.. W mniejszym stopniu, ale także bardzo zdolna i wykształcona była Celina, zamężna wcześnie a nieszczęśliwie za zamożnym ale nieznośnym Augustem Schally, na Bukowinie. Dwie piękne natomiast, Babcia i Eliza, może i dlatego, że wykształcenie ich nie było systematyczne, a otoczenie w którem po śmierci rodziców rość im wypadło traktowało je raczej jako motywy zdobnicze, niż zadania na serjo, pozostały całe życie na poziomie jakby naiwnego dzieciństwa, jedna słodka i cicha, druga, Eliza, nie xxxxxxxx umiejąca słuchać Hrabiny, ruchliwa jak wrzeciono, obie dalekie od umysłu nieporównanego cioci Tereni. Wszystkie cztery stały się najżarliwszemi patryjotkami polskiemi, naprzekór wszystkim przodkom i ciotkom..

Oprócz tych głównych biograficznych szczegółów mało co wiem niestety o obojgu pradziadkach. Charakterystyczne, że poza temi głównemi datami zachowała tradycja ustna tylko jedno zajście z młodości pradziadka, gdy był młodym oficerem, stacjonowanym w Lincu.

Oto, po weselu któregoś z kolegów, jeszcze z bukietem przy mundurach, poszła wesoła xxxxxxx kompanja nad ranem do jakiejś knajpki.. Zapóźno bowiem i zawcześnie było do domu.. wtedy, pośród xxxxxxx xxxxx najweselszej zabawy, pradziadek uświadomił sobie, że ma na kwaterze gościa, jakiegoś kuzyna, przybyłego do Linzu, który został sam i którego idąc na wesele, aby go nie budzić za powrotem, zamknął na klucz, który wziął ze sobą. Przypomniał sobie, że gość ma wcześnie ra-

no złożyć w banku jakieś pieniądze i nie będzie mógł wyjść przed jego powrotem. Wstał tedy i mimo zatrzymywań rozbawionej gromadki, pożegnał się i poszedł ku domowi. Była zima, śnieg obfity, za chmurnem niebem księżyc, więc prawie widno, pradziadek szedł środkiem ulicy, w rozpiętym na piersiach płaszczu, z pod którego wyzierał bukiet weselny. Nagle ujrzał parę kroków przed sobą--najwyraźniej samego siebie, w płaszczu rozpiętym na piersiach, z bukietem przy mundurze, wpatrzonego samemu sobie w twarz, kroczącego (wprost na siebie ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~ ~~xxxxxxxxxx~~. pustą, szarzejącą ulicą.. Ujrzał swego sobowtóra i tyle tylko zdążył jeszcze zauważyć, że bukiet weselny miał (ten sobowtór) (widocznie) przypięty z przeciwnej strony niż on, ~~xxxxxxxx~~ bo gdy się zbliżył stanął nagle jak przed odbiciem w lustrze. ~~xxx~~ Zmartwiał z przerażenie a potem bez namysłu zawrócił i pędem rzucił się z powrotem do znajomej knajpki, gdzie całą kompanję zastał jeszcze przy kuflach. Wygląd powracającego był przerażający i chwilę trwało nim zdołał opowiedzieć zajście.. Rzecz prosta posypały się żarty na temat zaprószonej głowy weselnika, docinki do oficera, który splamił się ucieczką przed strachem, wreszcie, wszyscy, ilu ich było, postanowili tą samą drogą odprowadzić towarzysza do domu. Domek gdzie mieszkał stał prawie za miastem. (Dzień już był jasny gdy) dochodzili pod adres i zdala już zastanowił pradziadka widok otwartych okiennic ~~xxx~~ parterowego okna, które wychodząc wieczorem zostawił zamknięte. Widocznie kuzynek nie mogąc się wydostać z zamkniętego na klucz mieszkania, skorzystał z niskiego okna. Zdumienie ich wzmogło się jednak, gdy zastali drzwi kawalerskiego mieszkania otwarte, i klucz tkwiący w zamku od środka.. Dziadek sięgnął do kieszeni.. Klucza, który w nią włożył wychodząc, nie było! I dopiero wtedy przypomniał sobie, że kiedy wychodził pierwszy raz z knajpki coś brzękło na kamiennym jej progu.. Widocznie klucz! Straszny widok jaki uderzył wchodzących do sypialni, prześladował dziadka przez całe życie.. Obok kanapy na której posłał był gościowi, leżał nieszczęsny kuzynek z rozrąbaną głową, kałuża krwi sięgała proga, na którym się wchodzący zatrzymali.. Dziadek wierzył mocno, że gdyby nie ów

o chorąży [illegible] [illegible] II [illegible] Karol
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] Ignacy i [illegible] Rytar

2 listy

Fogel o Joanna o

rozdzielające [illegible] [illegible] na [illegible]

Ignacy [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
Rytar z [illegible] [illegible] Joanna, i [illegible] [illegible] Józek
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

Bolka [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] z [illegible] [illegible]

67

ostrzegawczy sobowtór, który spowodował jego powrót do kolegów, byłby zamordowany przez rabusiów razem z tamtym..

Żadna z córek nie była jeszcze zamężna, gdy w r.1831 umarł pradziadek Leopold. Rada nie rada przygarnęła Babcię do swego domu hr. Fryderyka Fryderykowa Moszyńska, córka również Fryderyka, magnatka, dziwaczka od wczesnej młodości, wnuczka dworaka z sasko-augustowskich czasów, właścicielka niesłychanych obszarów w Galicji i na Podolu, nieżyjąca z mężem, bezdzietna i mimo bogactw i niezależności uczuciowo bezdomna. Przez Wojewodzinę Potocką znała romantyczną dolę Wentzów i po śmierci ojca, uważała za właściwe pomódz bodaj jednej z pięknych, utytułowanych dziewcząt. Wybrała najpiękniejszą Babcię. Czy miała szczęśliwą rękę, nie jestem pewna.. W jej domu poznała się z czasem Babcia z moim dziadkiem, i choć wielce zeń była nie rada, nie starczyło hrabinie dość energii aby do związku z nim nie dopuścić. Celinę i Elizę kształciła też swoim kosztem w jakichś „Stiftach". Niestety nic o bliższego z tego okresu nie wiem. Obie i Eliza i Celina bywały zapraszane na wakcaje do hrabiny, które zwykle w Kozowie spędzała.

Babcia rosła tedy w zbytku ogromnym. Hrabina zajmowała we Lwowie dom w którym się dziś mieści Hotel Europejski, zapełniając go cały swoim dworem, kuchnią, szatnią, stajniami, służbą złożoną wyłącznie z Kozaków w barwie, tylko jako że do osobistej usługi nieznosiła mężczyzn, obsługiwana była przez dziewczęta i to niebieskookie blondynki.. Innych bała się. Była osobna panna do straży nad srebrem, inna czuwała nad porcelaną.. Co jakiś czas zajeżdżali z dóbr odleglejszych oficjaliści z raportami, co jakiś czas przywoził kozak stamtąd baryłki grzybów, zalanych masłem, pod któremi taiły się warstwy dukatów.. Taki fortel na ówczesnego, naiwnego jak jagnię, bandytę!. Czasem sama jeździła na inspekcję folwarków, przy czem jej zwykle Babcia, faworytka coraz większa, towarzyszyła. W Kozowie, jednym z majątków hrabiny, witał je zawsze w progu dworu zaufany urzędnik Knoff we fraczku i z rożenkiem, w pluderkach i białych pończo-

czochach, z harcapem i peruką ułożoną nad uszami w trzy podłużne rulony, w każdym zaś rulonie, gdyż to odbywało się latem, tkwił przewleczony, długi, ponsowy goździk, kwiatem przy obliczu, ogonem ku plecom..

Opowiadano też o nim, że raz, mając wyjechać naprzeciw hrabiny, gdy z powodu zbyt obcisłych, jedwabnych kiulotów w żaden sposob nie mógł usiąść w karecie, pojechał leżąc wzdłuż na kolanach dwu siedzących w jej głębi hajduków, w pojeździe otwartym na przestrzał, któremu z jednych drzwiczek wystawała biała peruka, z drugich czarne o lśniącej klamrze i czerwonym obcasie trzewiki..

Podróże hrabiny po jej włościach odbywały się oczywiście trenem powozów i byrk z pościelą, serwisem, gotowalną i ołtarzykiem polowym, z kucharzem i kapelanem, doktorem i czasem jakimś artystą cudzoziemcem, gdyż hrabina wielbiła artystów i gdy się trafił dramatyczny, nieraz na popasie, w szczerem polu, kazała mu deklamować jaki czuły, lub bohaterski utwór..

Hrabina Moszyńska była jednym z tych rzadkich już dziś typów, w jakie czasy owe obfitowały. Bogata, samodzielna, niepogłębiona wykształceniem, głucha na całe gamy tonów z których harmonia życiowa dojrzałego człowieka się składa, bezdzietna, idąca wyłącznie za impulsem fantazji czy sentymentu, dobra dobrocią istot bezmyślnych nieobliczalnych, dziwaczejąca z wiekiem coraz bardziej, nie mająca nikogo, ktoby jej zwrócił uwagę na to, że nie każdy dobry uczynek ma sens, że nie dość rzucić garść złota, aby się stało coś pięknego i rozumnego.. W stosunku do mojej Babci odegrała równocześnie rolę dobrodziejki i kogoś, kto życie sieroce raczej popsuł niż zabezpieczył

Rosła Babcia w niepedagogicznym zbytku, słodka i bierna, strojona i psuta, z nóżkami stale w atłasowych lub prunelowych płytkich ciżemkach, w sukienkach wyciętych zimą i latem, z krótkiemi rękawkami, czesana przez pannę służącą, znająca miasto wyłącznie z głębi powozu, (gdyż ani hrabina ani babcia nie chadzały piechotą..) lub loży cowieczornej. Stałego teatru Lwów ówczesny nie miał, gościli

69 li tylko przygodni aktorzy wraz ze swym zespołem, opera, komedja, wszystko to „dojeżdżało" tu tylko ze świata. Hrabina zaś namiętnie kochała teatr i stale dopiero po „spektaklu" siadało się u niej do obiadu. Prawie zawsze ktoś z zaproszonych przybyłych artystów siadał razem. Dla sławniejszych wydawała rauty i miała obyczaj obdarzać ich kosztownemi upominkami.

Odbył się u niej taki raut dla Fr. Liszta, którym cała elita Lwowa była zresztą oczarowana. Po koncercie „tout Leopol" zjawił się u pani Moszyńskiej. Po obiedzie Liszt grał, że zaś obecni byli hr. Reverterowie, rodzina przyjaciół hrabiny, ukochanych przez nią słusznie i młoda hr. Antoniowa Revertera z domu von Hartmann, śliczna i przecudnie muzykalna, śpiewała jak zupełna artystka, miał i Liszt niespodziankę, jakich rzadko doświadczał na arystokratycznych przyjęciach. Gdy wstał od instrumentu, podeszła do niego Babcia, w białej sukience, w białych trzewiczkach, z białą różą w czarnych, gładko na policzki przyczesanych włosach, cudna też ponc jak zjawienie i na dany przez hrabinę znak podała Lisztowi, na białej, atłasowej poduszce, pyszną szpilkę z ogromnym soliterem.

Wykształcenie Babci odbywało się całkiem bez programu. Hrabina wymagała umiejętności języków, dla głośnego czytania książek które nabywała cetnarami, więc miała babcia metrów francuskiego, włoskiego, angielskiego, ale nauka bez stałej konwersacji szła powoli i skutek był ten, że babcia tylko po niemiecku i po francusku mówiła doskonale, po polsku najsłabiej. Ćwiczeń na fortepianie hrabina nie znosiła, więc nie było mowy o nauce muzyki, dopiero wspólna nauka z młodzieżą hrabiny Anny Reverter położyła jakiś fundament pod babcine wykształcenie. Nigdy jednak nie mogło się ono równać z tem, co zdobyła ciocia Terenia i Celina. Zadaniem Babci, jak zwykle takich istot służących obok papug i piesków za rozrywkę starym, zdziwaczałym osobom, był obowiązek ciągłej obecności, ładnego wyglądania, gładkiego ułożenia, płoszenia nudy, czającej się we wszystkich kątach. Hrabina sypiała do południa. Póki spała, musiało być

w domu cicho,jak makiem siał..W południe piła śniadanie,około ~~czwar~~ czwartej się kąpała,wlewając codziennie do wanny flaszkę wódki końskiej,potem ubrana jechała z Babcią na spacer,lub sama z wizytami..Około szóstej drugie śniadanie,potem teatr lub koncert i obiad około północy.

Mimo dziwactwa a może właśnie ~~dlatego~~ dla niego była hrabina lubiana przez swoich podwładnych.Nikt nie mógł przewidzieć co w danej chwili zrobi lub powie.Rozmyślnie nie wyrządziła nigdy nic ~~złego~~ złego nikomu. Wspominała Babcia różne nazwiska jej oficjalistów,uposażonych świetnie,traktowanych familjarnie,sadzanych do ~~stoł~~ stołu obok siebie,zabieranych nieraz do loży. Rodzina Babeńczuków zwłaszcza,kresowej,honornej szlachty i żona jednego z pełnomocników w dobrach ~~hrabiny~~ podolskich hrabiny,pani Rogoyska,zażywali specjalnych względów. Pani Rogoyska miała być uroczą popielato-złotą blondynką,którą mi Babcia opisywała w jubce z rubionwego adamaszku obszytej wokół sobolami.Kunsztownie haftowała i angażowaną bywała do białego haftu,gdy hrabina sprawiała sobie nowe tuziny bielizny, będącej największym,osobistym jej zbytkiem..W gorąco miała pani Moszyńska zwyczaj chodzić cały dzień po swoich apartamentach w dłuhiem,batystowej koszuli,co przy wyłącznie niewieściej obsłudze w pokojach było raczej cudaczne niż gorszące. W pokoju,przy zapuszczonych do zachodu storach,było ciemnawo i godzinami w tym pół-mroku musiała Babcia czytać głośno,podczas gdy hrabina rozcinała nowe tomy zagranicznych nowosci,złożone w jej salonie,pod ścianą w wysokie stosy.

Mało ktoby się domyśli,że swatami Babci z moim dziadkiem była ~~manja hrabiny~~ teatralna mania hrabiny.Było mianowicie tak:

Zbiegł z Francji w czasie rewolucji niejaki Jacques Monné de la Tour i oparł się na południowych Węgrzech,gdzie nabył jakieś winnice. Nie wiem o nim nic, mogę się tylko domyślać,że był człowiekiem soldnym,gdyż wieść o tem że mu syn Joseph Monné umknął z trupą wędrownych komedjantów prze-

płacić miał życiem. Umarł na apopleksję. Jak nazywała się matka Józefa nie wiem. Ów tymczasem bujał sobie z trupą teatralną po świecie, występował w komedjach, w operetkach, grał role komiczne i dramatyczne, malował sam kulisy, gadał wszystkiemi językami, grał na skrzypcach i fortepianie, głos miał pono bardzo piękny. Z latami ustatkował się o tyle, że stał się rodzajem impresarja w lepszym stylu, trupa aktorów przez niego złożona miała doskonałą markę i w tym charakterze znalazł się Józef Monné we Lwowie. Szereg przedstawien przez niego urządzanych zainteresował hrabinę Moszyńską. Zaznajomiła się z dyrektorem zespołu i zaczęła go zapraszać. Dowcipny i obyty Francuz przypadł jej do gustu niezmiernie, że zaś był już żonaty z Anną Rzepczanką, lwowianką, córką metra muzyki i miał syna bardzo zdolnego i urodziwego, zaczęła hrabina protegować tego syna, wreszcie kształcić własnym kosztem. Oczywiście nie mogło obejść się bez zapoznania się obojga pupilów hrabiny, Karola Monné i Babci. No i wyniknął z tego marjaż nieszczęśliwy strasznie, zwłaszcza dla Babci, która całe życie nie podźwignęła się po klęsce zawodu na człowieku szalenie i do ostatka tchu ukochanym.

Babcia moja nie była z mężem rozwiedziona wcale, ale go opuściła własnowolnie, nie mogąc znieść poniewierki zaciężkiej i mieszkała najpierw sama z małą Mamą, następnie w domu cioci Tereni, później siostry Celiny, potem w domu moich rodziców lub na Storożce. Wreszcie u nas na Zaświeciu w r. 1901, życia dokonczyła.

Kobieta która stała się powodem nieszczęścia Babci, była zrazu narzeczoną brata dziadka, kapitana Albina Monné i nazywała się Joanna Przybysławska. Dziadek wziął z nią ślub dopiero po śmierci Babci w r. 1901, w Przemyślu.

Józefa Monnego pamiętała Mama dobrze. Już jako staruszek malował bardzo zręcznie dekoracyjne panneaux na ściany i dobrotliwie do wnuczki się odnosił. Ojca natomiast bała się Mama jak widma. Bała się wszystkiego co z nim miało związek. W pokoju jego stała

wielka szafa z książkami, zasłonięta od środka szyb, czterema chińskiemi smokami, haftowanemi na zielonym jedwabiu. Były to stylizowane sepie ó ślepiach wytrzeszczonych, nastroszone jakby płomykami ostremi, pyszne w kolorze i starożytne. Pochodziły z Drezna z okresu gdy król August urządzał słynny chiński pawilon. Darowane zostały przez Aurorę Königsmark dziadkowi hrabiny Moszyńskiej, ta zaś darowała je Babci. Mama tak się bała i ojca i tych wydymających się przy otwieraniu jego szafy, haftowanych straszydeł, że znieść nie mogąc ich ~~widoku~~ wzroku i jakby żywego oddechu, ~~xxxxxxxx~~ zakradał się raz z nożyczkami do pokoju, ~~xxxxxxxx xxxxxxxxxxx~~ i tnąc ~~je~~ pracowicie, od lewej strony dla uniknięcia widoku strasznych, wytrzeszczonych oczu sepji, pokrajała w kawałeczki trzy znienawidzone, drogocenne hafty. Czwarty ocalał i wisiał w salonie na Zaświeciu.

(72) Choć była malutka czuła krzywdę matki i ze wstrętu ~~xxxxxx~~ do ojca przeskakiwała zawsze, jak rów, kilimkowy chodnik w bawialni po którym się zwykł przechadzać. Byle nie tknąć podeszwą miejsca którego jego stopy dotykały!

Jedynym domem ~~xxxxxxxxx~~ w którym Mama małą dziewczynką bywała z Ojcem był dom jego serdecznego przyjaciela Adama Zamoyskiego, patryoty ale dziwaka i człowieka wielce wolnomyślnego, którego wpływ mógł nawet znacznie a ujemnie zaważyć w biografji mego dziadka. Hr. Zamoyski miał dworek przy ul. Zielonej, w którym mieszkał ze swoją podówczas jeszcze gospodynią i córkami, które mu urodziła, ale familja jego nie grała głównej roli w tym domu. Było to jakby wielkie przytulisko wszelkiej ~~xxxxxx~~ biedy narodowej, rozbitków, emigrantów, stacja posiłkowa dla głodomorów i przejezdnych „działaczy" sprawy, którzy ~~xxxxx~~ ciągnęli do p. Adama jak dym..

Stół wielki, jak rok długi nakryty zawsze, zastawiony jadłem i obsiadły „rodakami" pan Adam--(uchowaj Boże, nie hrabia!)--pośród nich, perorował, agitował, uświadamiał, działał.. Demokrata purpurowy, pożarty ze swoją sferą, prowokował jej opinję swojemi przekonania

73

niami,dziwacząc do tego stopnia,że gdy się obecny pałacyk Zamoyskic 74
pod jego kierunkiem budował,córki musiały na równi z robotnikami 78
dźwigać cebry z wapnem,podawać cegły,słowem pracować jak i oni,dla przykładu..

Pan Zamoyski był świadkiem ślubu dziadków w którego metryce (Testimonium copulationis) nazwisko jego figuruje.

Brat dziadka kapitan Ludwik Monne wziął zdecydowanie strc nę skrzywdzonej bratowej i małej Wandzi,dla której zwłaszcza stała się jego osoba źródłem wielkiej pociechy latami.. Miał to być człowiek brzydki,o twarzy pospolitej i niczem dostojnej głowy mego dziadka nie przypominał.Zacny i prawości kryształowej,szanowany przez przyjaciół i podwładnych umarł nieżonaty i nie stary.Wedle relacji Babci i Mamy zeszedł z nim do grobu wielki,niedoszły aktor.Monologi przez niego układane,odgrywane i jakby żyte,musiały być czemś w rodzaju późniejszych kreacji G. Fiszera.Mówił kilkoma językami i monologi,które stosownie do przedstawianych typów odgrywał po polsku, po niemiecku,czy po francusku,miały być arycydziełami,jako treść i jako interpretacja.Układał je sam i dowolnie ~~zmx~~ zmieniał w miarę nowych konceptów. Typ starego,wykwitnego metra tańca,Francuza, bursza przy oficerze austryjackim i szlachetki rezydenta,miały być czemś nieporównanym.Nikt tych rzeczy nie ponotował i przepadły razem z życiem człowieka,po którym tylko tych kilka okruchów zbieram troskliwie na papier i chowam,razem z paru fotografjami i jedynym listem po niemiecku pisanym do Babci.Mimo swobodnej polszczyzny w słowie,robił w pisaniu błędy,których się żenował.Gdy Mama,po zapaleniu stawów dzieckiem,leżeć musiała miesiącami,stryj Ludwik był jej główną radością,rozrywką i ~~teatrxxx~~ teatrem.Kochał ją bardzo i za swoją najmilszą publiszność uważał.

Raz odpłaciła mu się dość niefortunnym pomysłem! Oto narysowała mu, na plecach jego białego munduru, węglem czy ołówkiem, prawie naturalnej wielkości,krzyczące niemowle w powijakach,o czem on nie wiedząc,poszedł beztrosko do kawiarni..Można sobie wyobra

zić co czuł, gdy mu wreszcie któryś z jego kolegów powiedział, dlaczego wszyscy się za nim oglądają i śmieją.. Dzieci miewają czasem djabelskie pomysły!

W czasie tej choroby Mamy, znoszone bywały dla jej rozrywki ze strychu stare kapelusze hrabiny Moszyńskiej, które jeszcze mali Revertercowie do amatorskich, dziecinnych przedstawień używali. Serce mi się ściska z żalu, że już do mnie cuda te nie doszły! Mama urządzała w nich karetę dla swoich lalek i woziła je za wsążki po podłodze. Jeden był różowy, morowy, podbity białym jedwabiem ze wstęgami w biało-różowe pasy z bukietem piór strusich na czubku, drugi całkiem biały, pokryty jedwabiem marszczonym w karpią, dużą łuskę, z piórami rakowego koloru. Takie wielkie „budy do wiązania pod brodą..

Po przebytem zapaleniu stawów, pojechała Babcia z Mamą do kąpieli siarczanych w Szkle, dokąd także i ciocia Terenia im towarzyszyła. Szkło wspominały wszystkie jako śliczną miejscowość, z bogatemi źródłami, z sosnami na piasku i z przypadkowo dobranem, przyjemnem towarzystwem.

Była tam też przy dzieciach mieszkająca stara, owdowiała księdzowa ruska, która sprzedawała przędzione przez siebie i tkane lniane ręczniki. Wydarzyła się jej dziwna, przejmująca historja, Babci przez nią samą opowiedziana.. Gdy jak świeżo zamężna przybyła na plebanię, z wiosną, plewiąc grządki, zgubiła ślubny pierścionek. Mimo najgorliwszych, rozpaczliwych poszukiwań, nie znalazł się więcej.. Tymczasem mijało życie, dzieci rodziły się i marły, rodziły się inne, na grządkach ziemia przewrócona została wiele i wiele razy na nowo, wreszcie umarł „jegomość", księdzowa już stara kobieta, została do jesieni na obejściu aby, przed ustąpieniem się nowemu proboszczowi, jak zastrzega prawo, zebrać jeszcze ostatni raz letnie plony.. Smutna, samotna, wybierała z grządki jarzyny, rozpamiętując życie nad tą ziemią spędzone, gdy wtedy, błysnęło coś pod jej palcami, i oto zgubiony wówczas, w młodość, ślubny pierścionek znalazł się napowrót w jej ręce..

Jednem z najciekawszych wspomnień Mamy z dziecinstwa jest jedno, do dziś tajemnicze, które we właściwy jej, bardzo żywy i malarski sposob opowiadała mi kilkakrotnie. Oto raz, dość już późnym wieczorem, dała babci znać pani Syringowa, jej przyjaciółka, że odbywa się u niej właśnie zebranie, na które babcię wzywa niezwłocznie. ~~Mama mogła mieć wtedy pięć czy sześć lat, najwyżej, zatem około 1855-go roku.~~ Jakaś była racja dla której i mała Mama została zabrana razem. Pono nie było jej z kim zostawić chwilowo czy coś podobnego. Gdy weszły, znajome mieszkanie było już natłoczone takim ściskiem, że z trudnością posuwały się by dotrzec do państwa domu. Złe ówczesne oświetlenie utrudniało orjentację, zwłaszcza dla oczu dziecka o tyle niższego od innych. Było cicho jak w kościele, mówiono tylko szeptem. Jedni posuwali się w głąb pokojów, drudzy wychodzili. Coś w najdalszym kącie mieszkania znajdowało się takiego, co było oglądane z nabożeństwem. Pani Syryngowa objaśniła o tem czems Babci. O małą Mamę mało kto dbał, radziła sobie w ściku sama. Po jakiejś chwili, przepychając się pośród powłoczystych spodnic i długich czamar, znalazła się w owym najgłębszym kącie i zobaczyła zielony parawan za którego skrzydłami paliły się świece. Widziała na tle zielonego przezrocza cienie poruszających się nisko głów, ruchy rąk.. Coś się tam działo dziwnego, słychać było jakiś odgłos monotonny, jakby się ktoś modlił pół-szeptem.. Czasem któraś z kobiet zapłakała.. Zresztą cisza i tylko pełen uszanowania szmer posuwistych kroków, ludzi nadchodzących i odchodzących.. Wreszcie, jako że to dziecko mało miejsca zabiera, przegniotła się Mama za zielone skrzydło parawana i zobaczyła scenę, na całe życie najwyraźniej spamiętaną. Na klęczniku pani Syryngowej modliła się zakonnica, z głową w czarnem, sukiennem zawiciu, z obnażonemi po pas plecami. Resztę opływał czarny habit. Do kolan klęczącej schylały się kobiety, przyklękały na jej widok mężczyźni, wyciągały się ręce z różańcami i szkaplerzami, któremi dotykano jej obnażonych pleców, podczas gdy ona modliła się półgłosem. Wszystkie spojrzenia pociągały te właśnie

plecy,pokryte gęstemi,nieregularnemi bruzdami,z których niektóre były różowawe i głębsze..

„To jest święta męczennica,bili ją Moskale za Polskę i wiarę.. objaśniła dziecko jakaś stojąca najbliżej pani.Ale mama przerażona i wobec niespodzianego widoku nieskora do nabożeństwa nie zdobyła się na odwagę dotknięcia blizn obnażonych medalikiem podanym jej przez kogoś.

Odnalazłyszy się z Babcią wyszły obie tak jak przyszły w milczeniu.Nazwiska tajemniczej zakonnicy nikt nigdy nie wymówił. Nie słyszałam go nigdy i Babcia.Przejeżdżała skądeś dokądś przez Lwów,poprzedzona zapowiedzią poufną,jakaś taka Matka Makryna Mieczysławska albo może i ona sama..

Nie żył już wówczas pan Józef Monné,dziadek mamy. Staruszka tego wspominała bardzo miło. Na młodem gospodarstwie jej rodziców,ojciec mego dziadka mieszkał razem.Nosił długie włosy,były srebrne zupełnie,niesforne cokolwiek i bardzo małą mamą inspirowały.Wolno jej było stawać na fotelu,za plecami dziadka,brać grzebień i rozczesywać je„ byle bez pomady",jak zastrzegał,gdyż mała mając trudności z ich ułożeniem,miała zwyczaj pluć na grzbień.. Dziadzio malował i wycinał dla niej małe laleczki,które stały się z czasem protoplastami dość rozrodzonej rodziny,niejakich „Pinkasów" ale o tem później kiedyś..

Własnego ojca,jak już mówiłam,bała się panicznie. Gdy dziewczynkom w sąsiedztwie z którymi często się bawiła,umarł ojciec i dzieci,rozpaczając za nim zaczęły pisać „do nieba" listy do Tatusia.. (żałosną skrzynką pocztową były im paszcze dwu kamiennych lwów w ogrodzie..) powzięła dla towarzyszek rodzaj wzgardy za to,że mogą tak dbać o ojca,który wedle jej pojęć był jedynie strachem i zgrozą. Dziadek posiadał jakąś prześliczną szpicrutę z rączką wysadzaną kamieniami! Przedmiot ten leżał czy wisiał gdzieś wyżej niż go dziecko mogło dosięgnąć.Podobał się jednak tak bardzo,że czy wprost,czy za pośrednictwem babci,napierało się bliższego z nim zapoznania..Dziadek

mój zawołał wreszcie małą,zdjął pożądany objekt z gwoździa czy półki i kazał jej najpierw położyć obie rączki na ~~brzegux~~ brzegu stoła. Nim przewidzieć zdążyła co nastąpi ojciec trzasnął ją z całej siły po leżących ufnie,małych rączynach..Taki był dowcip..

Dziadek mój był jednym z tych ludzi,dość częstych,którzy są wręcz kim innym dla domu a innym wobec ludzi.Towarzyski pono czarująco,miał mnóstwo przyjaciół (..przyjaciółek niestety także!) śpiewał dobrze przy akompaniamencie gitary,patryota,należał do wszystkich związków i robót narodowych,z zawodzie swoim wykształcony (studjował w Brukselli i Kopenhadze) miał na zewnątrz opinję człowieka-obywatela bez zarzutu. Mam wrażenie że umysł jego był głębszy i bardziej lotny,od babcinego. Na tym jednym punkcie skłonna jestem do tłumaczeń,naturalnie do pewnej granicy.Okolicznośc ta nie tłumaczy jednak absolutnie cynizmu i formy w jakiej zaczął ~~zdr~~ zdradzać żonę i życie swe dalsze urządził.

Od pierwszej niemal chwili pobrania,był babci niewierny.Kochliwy,raczej wrażliwy na kobiety,miał stosunki na wszystkie strony.Z czasem żony podwładnych były jego przyjaciółkami,zwłaszcza ładniejsze.Człowiek,który przez szereg lat narzeczenstwa czekał na ukochaną,pisywał do niej wiersze i listy płomienne a na posag nie liczył,bo wiedział że będzie znikomy,nawet w pierwszych latach małżeństwa nie zachował pozorów bodaj.Mama z dzieciństwa zapamiętała babcię niemal zawsze zapłakaną..

W parę lat po pobraniu dziadków zaręczył się drugi brat dziadka,Albin z panną Przybysławską.Jasna,różowo-biała blondynka, bywała w domu bratestwa narzeczonego.Aż raz,w nowem już mieszkaniu,tam gdzie obecnie młyn Thoma, zajrzała i zasłyszała Mama,jak panna Josia włóczy się u kolan babci,płacze i o coś błaga.We wiele wiele lat potem dowiedziała się mama od cioci Tereni o właściwym powodzie tej sceny.Dziadek mój uwiódł narzeczoną brata,która w rozpaczy prosiła żonę uwodziciela,aby skutki wzięła na siebie.Babcia zabardzo zaskoczona i zanadto młoda i rozmiłowana w mężu nie była

zdolna wysłuchać prośby panny Joasi. Od tej sceny sytuacja w domu stała się nieuleczalną. Jakiś rodzaj życia wlókł się jednak, okropny rzecz prosta, ale jakże było w świat się zabierać z dzieckiem? Babcia ani energiczna ani praktyczna nie była nigdy, u samego wstępu do życia ugodzona okrutnie, raczej apatyczniejsza, mniej jeszcze zaradna się stawała. Wreszcie najpoczciwsza ciocia Terenia, rozejrzała się w położeniu i wtedy nastąpiła przeprowadzka babci i Mamy na osobne mieszkanie. Ofiarny poratunek cioci umożliwił im egzystencję spokojną, uwolnił od poniewierki. Tymczasem dziadek przeniósł się ze Lwowa, nie wiem czy odrazu do Przemyśla, czy jeszcze gdzieindziej przedtem i zamieszkał bez skrupułów z panną Joasią. Zdradzał i ją gdzie się dało, tyle, że ona była wytrzymalsza od Babci, która cicha i złamana, zapadła w cień na całe życie i kochając tego złego człowieka, nie mówiła o nim prawie nigdy, a tem mniej skarżyła się sama.. Tymczasem w małem miasteczku, gdzieś, poza Lwowem zapuszczał korzenie dom „państwa Monné ów" i zyskiwał prawa towarzyskiego obywatelstwa tak mocne, tak powszechne, że po lat dziesiątkach, gdy dzieci już było siedmioro czy ośmioro, nikomu na myśl nie przyszło, że pani domu nie jest żoną gospodarza ani dzieci ich, ślubnemi dziećmi..

Dziadek interesował się jednak Mamą, próbował podtrzymać z nią stosunki, do których, jako nierozwiedziony ani separowany nawet miał prawną swobodę. W skutek tego jawił się czasem w zakładzie cioci Tereni. Skrępowanie stałe obu stron cechowało te rzadkie widzenia. Czy co materjalnie pomagał w owych czasach żonie, nie wiem, ale wątpię, aby to mogło w ich istnieniu coś ważyć. Od czasu do czasu obdarzał tylko Mamę czemś modnem i ładnem. Wiem też, że zawsze, ilekroć rozmowa zeszła na drażliwe tematy, podkreślał z wielkim naciskiem, że nie on się usunął pierwszy, ale babcia dom opuściła. Było to prawdą, ale jakże zrozumiałą!

Dziadek był na ślubie moich rodziców, a potem parę razy jeszcze na ich gospodarstwie. Przy jakiejś, niewiadomej mi bliżej

sprzęczce na temat herbarza Paprockiego, leżącego u Ojca w pracowni, który dał argumpt do dyskusji politycznej, tak gorącej, że zakończonej pono ciśnięciem przez dziadka książką tą o podłogę--urwały się nawet i tak już te zanikowe stosunki na zawsze. Widziałam w przejeździe do Krakowa dziadka mego na dworcu w Przemyślu.. Pokazała mi go Mama oknem z wagonu. Był niski, ubrany w czamarę burą z barankiem i granatową rogatywkę, już siwy, podobny wielce do Mamy, z głową jakiegoś dygnitarza z czasów księcia Alby, domagającą się białej kryzy i czarnych aksamitów..

Po latach przyjaciel nasz, prof. Uniw. Jana Kaź. August Balasits zagadnął Mamę, jaki to Monné, czy nie krewny jest obecnie słuchaczem we Lwowie. Otrzymał objaśnienie że żadnego legalnego rodzeństwa Mama nie ma, a dzieci panny Joasi nie mogłyby nosić oficjalnie nazwiska nielegalnego ojca. Prof. Balasits obejrzał dla ciekawości dotyczącą metrykę w dziekanacie. Była sfałszowana. Młodzieniec ów figurował jako syn ślubnych rodziców Karola i Joanny. Miała wówczas babcia prawo wytoczyć mężowi proces o fałszerstwo dokumentów, przestępstwo mocno jak wiadomo wedle austryjackiego prawa karane i mające konsekwencje doniosłe. Przez moment jeden nie miała pokusy aby protestować, choć metryka ślubu (którą posiadam) byłaby najzupełniej wystarczyła.

„Cóż dzieci winne?!". mówiła -„Na nich się mścić nie będę.."

Niemajętna zupełnie, korzystająca z przezwyciężeniem z należnych sobie niewielkich świadczeń męża, które zapewniało jej prawo, mogła--kosztem tych istot nieznanych--wyprocesować dużo więcej.. Ani ona ani Mama przez chwilę się nie wahały jak mają postąpić... Dziś wiele osób, które znają tych, zaiste niewinnych i może niczego nieświadomych potomków dziadka, mogą mieć conajwyżej wrażenie, że miał ongiś pierwszą żonę..

Znajdują się u mnie dwa wizerunki dziadka Monnégo. Jeden modelowany przez Mamę medaljon, profil w czapce barankowej, drugi

rysunek ołówkowy Tatka, nie licząc fotografji.

Najwięcej szczegółów o jego osobie wydobyłam z grubulki Minki Giżyckiej, o której będzie niżej. Czy szwagier jej, Michał Monné, właściciel cukierni we Lwowie był rodzonym, czy stryjecznym bratem mego dziadka, nie doszłam. Może przyrodnim, podobnie jak Albin, brat Michała. Możliwe, że tylko Karol i Ludwik byli synami owej Rzepczanki Anny, a tamci z drugiego małżeństwa? może, nie wiem.. Obchodził mnie stryj Mamy Ludwik a przedewszystkiem dziadek mój. O tamtych dwóch wiedziałam, że byli najzupełniej dalecy i babci i Mamie że utrzymywali stosunki z Przemyślem i żadna z nich nigdy za znajomych a tem mniej rodzinę ich nie uważała. Przez Minkę jedynie, siostrę Michałowej Monné, bywały pośrednie tylko realcje o tamtym menażu.

Powieściowszym od powieściowego przypadkiem, gdy Mama wiozła maleńkiego Luka ze Schodnicy na Stróżkę, gdy się z Kasią-nianią znajdował w pierwszej w życiu podróży, wsiadł w Stryju do tego samego przedziału dziadek Monné. Oko w oko zetknął się z mamą. Zbyt byli do siebie podobni i Mama jeszcze wówczas o tyle młoda, że nie mógł jej nie poznać. Cofnął się też i niebawem przyszedł posługacz po jego walizkę, którą przed chwilą zdążył już położyć na siatce.

Zeszłego roku, bawiąc w Kniażycach, znalazłam się przypadkiem w dzień zaduszny naprzeciw przemyskiego cmentarza. Za wysokim żółtawym murem widziałam las nagrobków, między ktoremi znajduje się grób mego dziadka i dawnej panny Joasi. Wszystek smutek, cała krzywda, wina i zło przysypane już oto ziemią.. Nie żyje już nikt kto krzywdził, kto grzeszył, nikt kto cierpiał i zapomnieć nie mógł.. Może ja jedna jeszcze na świecie wiem jak było naprawdę.. Ale już także nie umiem się zodbyć na żadne, żywe uczucie, gdy o tem wszystkiem pomyślę.. Przeszli.. skonczyli się.. Są nowi, całkiem inni ludzie. Dobrze jednak, że ich znać nie muszę. Gdybyż jeszcze odzyskać pewną śliczną młodacianą miniaturę Babci, którą dostał ongiś dziadek od hrabiny

Moszyńskiej i której mimo zerwania nie oddał nigdy!

W czasie powstania babcia moja i Mama mieszkały już razem z ciocią Terenią w Zakładzie jej naukowym, przy placu św. Ducha. Mama miała lat 13, bardzo zaradna zawsze i przytomna, używaną bywała na posyłki poufne, roznosiła karteczki do rodzin nadsyłane okazjami z terenu walk, czasem ustne wieści, których kartkom powierzać nie chciano, ba nawet do więzienia u Karmelitów nosiła prowianty. Znajdowała się czasem pośród nich pomarańcza z wsuniętem od góry, pomiędzy ćwiartki gęsiem piórem, którego otwór zatykany był dla niepoznaki z powrotem zieloną „koronką" owocu. W pustej rurce pióra tkwił zwitek bibułki z jakiemś porozumieniem czy doniesieniem. Sam Zakład cioci gromadził nieraz na narady zebrania liczniejsze, które pod ochroną szkolnej firmy niewieściej i niemieckiego nazwiska właścicielki jakoś puszczano mimo oczu.. Bywali tam: Teofil Dąbrowski, Bronisław Komorowski, Młodzi Krzyccy, polegli później, bracia owej malutkiej mężnej Florci, którą raz w momencie paniki, gdy wpadła w nocy rewizja do dworu, podsadzono wraz z plikiem kompromitujących papierów w duży komin. Tam uczepiona sterczących cegieł trzymała się i nie pisnęła ani słowa, nawet wówczas, gdy oficer rosyjski, dźgać począł w górę gołą szablą. Nie znaleziono jej, ale gdy dziecko półżywe domownicy potem wyjęli z komina, miało u obu nóżek przecięte pęciny. Bywał dr. Stella Sawicki i cały zastęp ludzi, których znałam dobrze z licznych fotografji, i o których powiem później. Niestety nazwiska potraciły mi się w pamięci, co gorsza, przepadły fotografje. Wieczorami u cioci, przy stole założonym kajetami, tym samym, rozsuwanym stole na którym potem Grottger rysował tak często, skubało się szarpie, robiło naboje, szyło bieliznę dla walczących. Scena wyreżyserowana była zawsze tak, aby w momencie mogła przybrać pozór pokoju w którym uczą się tylko dziewczęta. Raz, podczas nagłego wpadu rewizji do kamienicy, wieczorem, gdy Zosia Suska dała znać o niebezpieczeństwie, w mgnieniu oka wpakowano do kuchennego koszyka cały kram roz-

łożony na stole i Zosia, z koszykiem w ręku, minęła zbiegając ze schodów, dążących w górę żandarmów. Gdy oni dzwonili do Zakładu przytomna dziewczyna znajdowała się już w mieszkaniu na pierwszem piętrze--(gdzie później, latami było Tow. Szt. Pięknych, a potem kawiarnia „Sztuka) i przy pomocy uprzedzonych na taki wypadek lokatorów wpakowała całą zawartość swego koszyka omotaną na prędce w szmatę, między kamienną balustradę balkonu a blaszanych, zdobiących go dziś jeszcze, rycerzy.

Wówczas też, została w oczach Mamy migawka, krótkiej sceny w przedpokoju. Przyszły kwestarki. Bywały to często panie z arystokracji, chętne zawsze do takiej formy pomocy społecznej. Że zaś panował obyczaj składania na cele powstańcze biżuterji raczej niż pieniędzy, podawały takie kwestarki czarny worek aksamitny, sporych rozmiarów, w który się rzucało kto co mógł. Mama razem z Babcią wyszła do przedpokoju gdzie przybyłe stały. Zapamiętała Mama jak babcia sięgnęła spokojnym ruchem obu ramion ku zapince na szyi na której stale nosiła sznurek pereł.. Mignięły zakołysane na powietrzu i zadźwięczały we wnętrzu czarnego worka. Nie spodziewała się kanoniczka Alojzja jaki los spotka jej piękne perły, ani ciotka Charlotta Jordan, która je Babci jako narzeczonej przesłała.. Został po nich ślad na miniaturze Aloizji-Louizy, wiszącej na Zaświeciu..

W tych czasach też, nieznany morderca-mściciel, zasztyletował był na placu Castrum szpiega Kuczyńskiego. W teatrze Skarbka odbywało się właśnie przedstawienie. Wieść o spełnionym opodal gmachu fakcie, przebiegła w mgnieniu oka widownię. W moment potem wpadł do mieszkania jakichś państwa (nazwisko uszło mi!) blady, i pomieszany młody człowiek, oznajmiając że przed momentem wykonał wyrok na Kuczyńskim. Błaga o przebranie, fałszywy paszport i pieniądze na ucieczkę. Nie było chwili do stracenia.. W mig opatrzono go wszystkiem potrzebnem tak, że mógł z tem zajechać do Ameryki.. Jak wpadł tak i zniknął. Niebawem wydało się, że człowiekiem tym był zna-

ny policji rzezimieszek, który obecny wówczas w teatrze, wpadł na błyskawiczny pomysł wykorzystania momentu, co też z takiem powodzeniem uczynił. Właściwy zabójca zdrajcy--o ile wiem--pozostał do dziś nieznany.

W pięćdziesiąt lat od tej epoki, na urządzonej ku upamiętnieniu daty Wystawie we Lwowie, oglądać można było za szkłem witryny ów sztylet, którym zabito Kuczynskiego. Znajdował się w zbiorze najakiego Leona Krzemienieckiego, pośród ogromniego mnóstwa pamiątek powstańczej doby, dokumentów, druków, autografów, pieczęci, broni i wizerunków. Pamiętam że, gdyśmy zbiór Krzemienieckiego oglądały na tej Wystawie, podszedł ku nam on sam, zbieracz, (ktoś nam go przedstawił) człowiek dziwnie odrażającego wyrazu, o lisich rysach i małych, czarnych oczkach. Uraczył Mamę jakimś obleśmym frazesem, czyniąc aluzję do Grottgera i związku jego twórczości z powstaniem i Mamą. Nie lubiła Mama takich komplementów, miała za dobry smak i słuch, aby nie wyczuć ich gipsatury. Odliczywszy jednak subjektywny odrzut, nie mogłyśmy nie być pod wrażeniem dużej zasługi, jaką miał ten człowiek, zebrawszy istotnie imponującą ilość przedmiotów i materjałów mających dla histroji powstania ogromnie znaczenie. Ja nawet, wyznaję, pociągnięta tym motywem, zagadnięłam Mamę czy nie zechciałaby dać Krzemienieckiemu do jego zbioru garstki współczesnych fotografji jakie są w domu. Zgodziła się natychmiast i wraz ze mną uznała, że takie okruchy trzeba łączyc i że z osobna są bardziej zagrożone.. Pamiętam ~~następnie~~, że ze wszystkich prawie skrytek, szufladek i albumów wyjęła co miała i za następniej bytności na Wystawie wręczyła Krzemienieckiemu. Poznała się też z nim w czasie Wystawy Zofia Zawiszanka, gustująca już wowczas w atmosferze powstańczo-konspiracyjnej i rozmawiali czas dłuższy na temat dokładnej a trudnej do dostania wojskowej mapy Królestwa Polskiego, upragnionej przez Zosię, a którą to mapę Krzemieniecki przyrzekł jej dostraczyć byle mu karteczkę o tem przypomniała, bo zapomina łatwo.. Było to na rok przed wybuchem wojny..

84 Bodaj-że jeszcze przed zamknięciem Wystawy, a może nieco 85
89
tylko później, gruchnęła wieść o aresztowaniu Leona Krzemienieckiego, jako groźnego od lat szpiega na rzecz Rosji, filaru ochrany, zbrodniarza, który całe litanie denuncjacji ma na sumieniu. Wieść tę podały dzienniki poczem sprawa Krzemienieckiego ucichła zupełnie. Nie słychać było ani o sądzie ani o wyroku.. Siedział zamknięty. Tyle wiedziano. Zbiory któremi z szatańską chytrością stworzył dokoła siebie nietyklaną barykadę --(bo jakże? kapłan pamiątek narodowych i ~~przez~~ podejrzenie o szpiegostwo?!-?) nie wiadomo mi gdzie się podziały.

Już po jego aresztowaniu zaszedł był na Zaświecie jego syn, gimnazjalista, rudy, mizerny wyrostek, z obrazem, jakoby Grottgera do rozpoznania. Widziała się z nim Mama i rzecz okazała się nie autentyczna. Nie wypadało poruszać sprawy ojca więc i zbiorów. Potem wybuchła wojna..

W czasie gospodarki Moskali we Lwowie, spotykałyśmy Krzemienieckiego to w tramwaju, to na ulicy.. Ocalał zapewne w popłochu, zapomniany w areszcie przez umykające austryjacie władze, a teraz używał zasłużonej swobody. Po powrocie Austrji, rzecz prosta, już go we Lwowie nie było..

Natomiast dowiedzieli się nasi chłopcy, że syn jego zginął w Legionach..

Między Zaduszkami a św. Mikołajem była jeszcze wilja św. Andrzeja. Józia--ta od Wincusi--bardzo przestrzegała związanych z tym dniem obrzędów. Później, ja już sama pilnowałam aby niczego nie zaniedbać. Samo znaczenie guseł było mi gruntownie obojętne. Mój przyszły mąż nie zaciekawiał mnie. Ci panowie, którzy u nas bywali, dalecy też byli ~~jeszcze~~ od budzenia we mnie przeczuć w tym kierunku. Chodziło o emocję, co się pokaże na cieniu, gdy postrzępiony, ciepły i mokry wosk podniosą czyjeś ręce między lampę a biało lakierowane drzwi..

Chodziło o coroczny swąd,który po kilkakrotnem przesmażeniu wróżebnej substancji,napełniał wszystkie pokoje..O śliczną fregatę łupinek z zapalonemi świeczkami na wielkiej,mosiężnej miednicy..Były wróżby z trzewikami,talerzami,karteczkami,na których wypisywało się męskie imiona,dla mnie wszakże główną rzeczą był topiony wosk i pływające światełka.

Święty Mikołaj--zanim zaczął bywać u nas osobiście i przemawiać głosem poczciwego pana Stefana Grzywińskiego,udrapowany w podejrzanie znajomą adamaszkową kapę z łóżka naszej sąsiadki,pani Grelińskiej--ograniczał się do „podrzucania" w nocy wielkiej,papierowej torby,pachnącej pod poduszką jabłkami i piernikami,chrobocącej od włoskich orzechów i innych niedocieczonych po ciemku przedmiotów,które nad ranem,gdy się już dom przetrząsał od wyjeżdżających powozów i gdy już kowal-sąsiad kuł--obmycywało się chciwie między spaniem a powtórnem zaśnięciem. W biały dzień dopiero następowało patroszenie torby i spożywanie o niebywałych godzinach pierników i pomarańcz.. Św. Mikołaj ograniczał się zrazu wyłącznie do przysmaków i długo niczego innego nad rzeczy jadalne nie znajdowało się w torbie.Wierzyłam ślepo w nadnaturalne pochodzenie tak świętomikołajskich jak choinkowych smakołyków.W końcu,jedno występne sięgnięcie do kieszeni maminego żółtego futerka zachwiało mocno moją wiarę..Powodowana ciekawością co też mama z miasta przyniosła wydobyłam z głębokiej kieszeni dwie,porcelanowe,strojnie odziane laleczki.Nim się zdążyłam ucieszyć wsunęłam je z powrotem zawstydzona głęboko moją ciekawością..Im bardziej podobały mi się te lalki,tem winniejszą się czułam wobec mamy i żółtego futerka,tem srożej wyrzucało mi sumienie,żem jej ufność zawiodła, a sobie popsuła radość przygotowanej z takiem kochaniem niepodzianki.Nie pisnęłam jednak słowa o całem zajściu i czekałam..Nie było bowiem wątpliwości,że lalki były przeznaczone dla mnie..I oto w jakiś czas potem znalazłam je pod drzewkiem,niby od Aniołka.I wtedy jeszcze nie przyznałam się nikomu z domowych ani do owego grzesznego sięgnięcia w kieszeń ani do nagłych wątpli-

wości w zaświatowość tych darów..Wreszcie,gdyśmy raz z Tepą,siedzieli wedle zwyczaju na zielonej kanapie pod lustrem,zwierzyłam się ze wszystkiego..Za uczciwy aby podtrzymywać złudzenie,wydobył mi jednak na pociechę własne wspomnienie z dzieciństwa,dosyć do xx mego zmartwienia podobne..

I jemu,jako małemu chłopczykowi podkładał Św. Mikołaj przysmaki pod poduszkę.Ale Tepa był jeszcze ciekawszy odemnie i dręczył pytaniami starszych.Wtedy ojciec oświadczył xxxx mu stanowczo,że św. Mikołaj tylko takie dzieci obdarza,które mu ufają.Podejrzliwe nie dostają nic. Tepa,który nie wątpił w nadprzyrodzoność zjawiska, ale chciał je chwycić na gorącym uczynku,postanowił urządzić zasiadkę xxxxx na xxxxa świętego.Udał że śpi i leżąc cichutko czekał co będzie.Wreszcie pochwycił w przyległym pokoju ostrożne postukiwanie drewnianej nogi ojca--stracił był własną w powstaniu listopadowem--drzwi cicho się odemknęły i znajomy stukot kuli o posadzkę zbliżał się do łóżeczka.Malec usłyszał szelest papieru pod poduszką i już nie było wątpliwości.Wówczas wpadł w rozpacz..Wyrzuty sumienia,żal za złudzeniem,rozczulenie nad dobrocią ojca były zbyt nagłe i wybuchnęły gwałtownym płaczem,z jakim niefortunny badacz cudowności przypadł do ojcowskiego kolana..

Długo prze Bożem Narodzeniem wiedziało się,że te dni idą..Najpierw przynosił kościelny opłatki,które się kładło na zielonym jak szmaragd,kryształowym talerzyku..Józia zaś windowała woreczek z mąką na przypiecek,aby xxxxxxx schła.Choć na oko nic się nie działo,czuć było,że jest całkiem inaczej niż w inne zimowe dxx dni..Jakiś pakiet zajrzany w głębi maminej szafy,odrobina pozłótki na podłodze..Z innem też uczuciem patrzyłam na gwiazdę wieczorną, jedyną taką dużą jaką moje oczy dostrzegały.Wiedziałem,że to ta, trzykrólska..Wreszcie jawiły się rodzynki na kuchennym stole,które Józia wieczorami obierała..Wolno mi było przy tem asystować,choć by dlatego także,że w tym samym czasie złociły się w pokoju orze-

87 chy..Adaś spał zwykle wcześniej odemnie i nie miał żadnych podej- 92
rzen..

Kiedy się Józia wyprawiała po ryby,byłto znak,że już tylko dwa,trzy dni czekania..Zdejmowało się uszaty,szary,porcelanowy garnek z wysokiej półki kuchennej,zawsze ten sam i w nim potem przechowywała się studzona ryba,wedle przepisu babki Młodnickiej robiona,przysmak,bez którego Tatko świąt nie uznawał.Salaterka tej ryby jawiła się przy Wilii,reszta mieściła się w szarym,uszatym garnku.Mama sama pilnowała przyrządzania tej potrawy,jak i wydawania wszystkiego do ciasta,także wedle dawnego przepisu z domu Tatkowych rodziców. Cóż to była za obrzędowa emocja,gdy do kuchni nie było wolno,bo „ciasto rośnie !Przedtem i podczas wybijania żółtek mieszania i wsypywania zielonych skrawków cykaty i talerza kopiatego rodzynków,bywałam obecna.Potem kuchnia zmieniała się w tajemniczy przybytek i --uprzejma zwykle Józia,w jędzę..Ale warto było czekać gdyż dostawałam zawsze osobną,śliczną„ młodą struclę i z przystawionego podnóżka,oglądałam ją między „dorosłemi leżącemi miękko na podesłanym obrusiku,na łóżku cioci Tereni,w pierwszy pokoju.. W tym-to czasie,nieodmiennie chwytał mój bystry nos zapach sosnowych igieł,zapach drzewka,które nigdy o innej porze tak cudownie i odrębnie nie pachnie,jak takie przemrożone,wniesione do ciepłego pokoju...Ale tylko przez moment..Potem zapach ten gdzieś się podziewał i zostawała tylko zachwycająca pewność,że się nie zdawało..

Ponieważ salonu nie opalało się na stałe,tylko gdy goście przyjść mieli,lub na Willię,zamknięte drzwi tego pokoju były czemś naturalnem.Tam odbywało się misterjum choinkowe!!

W dzień Willi,w południe,przychodzili zwykle PP.Sawczyńscy oboje,czasem z córkami,stale z synem Henrykiem.Podczas gdy się gości przyjmowało w ogrzanych pokojach,Henryk zostawał w salonie. Ponieważ był bardzo wysoki,jego coroczną,ochotniczą funkcją,było przytwierdzanie świeczek do gałązek.Potem się jawił i on..Wizyta ta

odbywała się gwoli urodzin i imienin Adasia, który był synem chrzestnym pana Zygmunta Sawczyńskiego. Cała ta rodzina, wysoce światła i pełna cnót i zasług, choć wolna na pozór od sentymentu, patrząca na świat i bliźnich przeważnie krytycznie. miała głęboki kult tradycji i wszyscy jej członkowie odznaczali się wielką wytrwałością i pamiętliwością w t.zw. „przyjaźniach" co nie zabezpieczało jednakże nikogo przed ostrą czasem, nagłą a nieprzewidzianą szczerością. Dziś n.p. takie odwiedzanie--choćby nawet ze względu na jego rodziców--kilkoletniego smarkacza, mnie czy Adasia, przedstawia mi się jak coś wręcz już muzealnego. Nigdy, przez ciąg lat kilkudziesięciu nie zdarzyło się aby w ten dzień ktoś ze Sawczyńskich u nas się nie zjawił..

Na Wilię nigdy prawie nie byliśmy sami. Przychodził stale ktoś z samotników, artystycznych rozbitków, aby nam nie było bez pary a jemu bezdomnie.. Czasem Tepa, czasem pani Aszpergerowa, a choćby Minka Giżycka, siostra Michałowej Monné, jedyna z tamtej rodziny, bywająca u nas istota, sympatyczna, karykaturka ludzka, pękała stara panna, napełniona po szyję samą poczciwością, entuzjazmem i potrzebą piękna. Zupełnie ta ropucha z bajki Andersena, brzydka i uboga a nieświadoma że ma brylant w głowie. Bardzo lubiałm tę Minkę. Zostawała u nas często na herbacie, gdy przychodziła wieczorem i ponieważ miała osobliwszy dar opowiadania, jak wielu ludzi z czasów gdy się mniej czytało, zawdzięczam jej opowieść romansu p.t. „Duch szybu", z życia górników francuskich, której bohater niejaki Didier ogromnie mnie inspirował. Ciągnęło się to opowiadanie całą jedną zimę, na raty..

Otóż bywała na Wilię ta Minka, później rzeźbiarz Dykas, pani Anna Legadé, zawsze ktoś.. Przy kuti zwykle Tatko wstawał nieznacznie i zaszedłszy do salonu drugiemi drzwiami, zapalał świeczki na drzewku. Po chwili rozległ się głos małego, mosiężnego dzwonka, który cały rok stał zazwyczaj w serwantce i oba skrzydła salonowych drzwi odmykały się ku jadalnemu..

89 90 94

Znajomy pokój wyglądał jak wniebowzięty! Napełniała go złota, sypka jasność, Sosenka zupełnie przeźrocza i puszysta od długich igieł, stała w mnogosci płomyków, które wszystkie odbijały się w szybach, zalegającej całą scianę nad główną kanapą „Wojny". Srogie memento nad szczęśliwością dzieciństwa. Nim się tknęło niespodzianek pod drzewkiem, siadała Mama do fortepianu i zaczynało się „W żłobie leży". Śpiewali rodzice oboje, cudowny głos Mamy zdawał się pachnąć żywicą, błyszczeć pozłótką, czysty baryton Tatka wtórował bardzo muzykalnie. Do dziś przetrwały mi w melodjach kolęd te ich głosy kochane i piękne, zanurzone jak w burszyn słów i pieśni.

— x —

Jednym z domów z którym rodzice żyli najbliżej, był dom Zulińskich. Zrazu składał się z matki, pani Barbary z Michelsonów i dwu synów: Tadeusza i Józefa. Pierwszy lekarz, istny świecki franciszkanin, zakonnik idei miłości Boga, Ojczyzny, ubogich, ludzi wogóle.. Zostawił po sobie pamięć człowieka świętego. Drugi profesor, o ile pamiętam przyrody, działacz żarliwy, bojownik o polskość i wiarę, którego boigrafja zajęłaby wiele kart budujących i zdumiewających tem choćby, że mówiłyby o życiu jednego tylko człowieka, którego program dnia codziennego straczyłby na pracę dla kilku.. Uczył w licznych uczelniach Lwowa, ale głownym terenem jego pracy było Seminarjum naucz. męskie i żeńskie, skąd z pod jego wpływu wychodził rok-rocznie nowy zastęp patryjotycznych nauczycieli, ówczesne kadry polskich szeregowców, idące na wieś, świadome zadania i obowiązku. Nie było jeszcze wówczas ani Sokoła a ni Twa. Szk. Ludowej.. Twierdzami polskości były jedynie takie domy i tacy ludzie, jak Zulińscy. Rodzeństwo było liczne, ale we Lwowie na stałe mieszkali tylko dwaj bracia z matką. W domu tym, umeblowanym jak wnętrza pokojów z Grottgerowskiej „Warszawy", wisiały portrety, dagerotypy, blaknące fotografje.. Bardzo wcześnie znałam treść ich wszystkich.. Na jednym z wizerunków olejnych bielała twarz Romana

Zulińskiego, starconego wraz z Trauguttem, Krajewskim, Toczyskim, Jeziorańskim na stokach Cytadeli Warszawskiej. Wiedziałam, że malutka, pochylona staruszka, pani Zulińska Matka, była tej śmierci syna obecna. Świadomość ta ściskała mi zawsze gardło ilekroć całować mi wypadło jej rękę, drobną, szczupłą, która zawsze dobrotliwie głaskała mnie po twarzy. Nosiła marszczone, białe, tiulowe czepeczki wiązane pod brodą i twarz jej ~~miała~~ miła--ongiś bardzo ładna--przypominała bardzo wiernie rysy obu panów Tadeusza i Józefa, których bardzo kochałam. Wówczas rzadko tylko bywałam tam brana przez Mamę. Później pan Józef ożenił się. Żona jego, panna Łucja Grossówna, córka przyjaciół domu Zulińskich, pełna ruchu, przejasne blondynka, bywała przedtem także u moich rodziców i zachwyciła mnie raz na zawsze swą kwiatkową urodą, gdy podczas jakiejś skromnej zabawki z nas pochyliła się nad mojem łóżeczkiem, aby ~~mi~~ mi się--wraz z pannami Bronią i Anilką Skólimowskiemi--śpiącej przypatrzeć. Świecia trzymana w ręku którejś z panien zbudziła mnie i otworzyłam oczy. Białoróżowa, pod złotym obłoczkiem grzywki, buzia Łuci Grossównej, zdobna wianeczkiem niezapominajek, błękit sukienki przy białej szyi i ramionach, wydały mi się czemś wręcz nierzeczywistem! Pamiętam też moment z nią związany, gdy raz zaszedł pan Józef do Rodziców w jednym z tysięcznych zapewne narodowo-obywatelskich interesów, jakie go z nimi łączyły--i gdym w pozostawionym przez niego w przedpokoju kapeluszu, zauważyła prześliczną, herbacianą różę.. Usłyszałam potem od Mamy, że niósł ją pewno dla Łuci, o którą się stara.

W miarę gdym podrastała, bywałam częściej zabierana do PP. ~~Zulińskich~~ Józefostwa razem. Przez lat kilkadziesiąt, co niedzielę wieczór gromadziła się tam ta sama zwykle gromadka ludzi, którzy w owych czasach nazywali się „ziomkowie" lub „rodacy".. W salonie Zulińskich pachniało bowiem jeszcze wyraźnie emigracją, skąd do Galicji cała rodzina przybyła, mówiło się o Paryżu jakby się znajdował tuż za rogatkami.. „Pan Seweryn"-wspominany czule, to był Goszczyński Panowie: Leonard, Kornel, Agaton, to znaczyło: Rettel, Ujejski, Giller..

Całe ostatnie dzieje Polski jawiły się tam w osobach żywych lub rozmowach. Słynne wieczory coniedzielne u Zulińskich były jednemi z najpierwszych moich towarzyskich rozrywek pozadomowych. W dużym salonie przy ulicy Gliniańskiej /dziś Tadeusza Zulińskiego/ na drugiem piętrze zbierało się tam co tydzień bardzo czasem liczne grono ludzi. Były to jakby prywatne posiedzenia istniejącego oficyalnie Komitetu Obywatelskiego, ale podczas gdy oficyalny zaznaczał się głównie urządzaniem rocznic narodowych, nabożeństw, jubileuszów i pogrzebów, prywatny konspirował pożytecznie i praktycznie dla dobra spraw realnych. Nie pora tu na wyliczenie wszystkiego co się w tym salonie ważyło, początkowało, ile pchniętego w życie inicyatywą tamtych ludzi, pomogło do przysposobienia duchowego pogotowia na czasy o które się modlili. Ze starszej generacyi Zulińskich, mieszkających we Lwowie dożyła tych czasów jedynie jasnowłosa zawsze pani Łucia, której jedyny syn Tadeusz zginął w legionach w r. 1916tym.

Niedziele owe były też terenem na którym młodzież seminarzycka obojga płci miała sposobność stykać się ze starszem pokoleniem "rodaków". Galicyjski narybek przyszłego nauczycielstwa ludowego słuchał tu od naocznych świadków o niejednem co miał po wsiach przemycać, lub bodaj samemu z pamięci nie tracić, miał tu sposobność do nabrania ogłady i do "nauki z poglądu": jak Polakowi w niewoli żyć należy. Różne nieporadne trusie, różni młodziankowie gorący w mozolnych odzieżach, ucieszne i świątobliwe karykatury ludzkie, zapraszane na skromne zebrańka najczulszym gestem gospodarstwa, garnęły się do nich z ufnością i brały, ani wiedząc kiedy, niewyczerpane zapasy na życie całe, zapału, poświęcenia i miłości. Trusie wyrastały potem na dzielne dyrektorki szkół, z młodzianków wykłuł się niejeden poseł na Sejm, niejeden głośny dziennikarz czy działacz.

W salonie siedziała zwykle starszyzna. Wokół stołu okrytego szydełkową kapą w przezrocze gwiazdy, na którym paliła się staromodna naftowa lampa na niebotycznym postumencie i leżały ciężkie albumy z fotografiami, ku-

piły się znajome twarze panów: Józefa, wuja pani Łuci, p. J.K.Janowskiego, Jana Amborskiego. Brali udział w rozmowie panowie Malinowski, Skotnicki , stary pan Apolinary Stokowski, bielutki, schludny staruszek w czamarce ze spinką dyamentową u szyi, który przez niepamiętny szereg lat, zadawnionem zwyczajowem prawem odczytywał zawsze w dzień 3-go maja tekst konstytucyi na wieży lwowskiego ratusza zgromadzonej tam garstce rodaków. Śmierć jego wprawiła w niespodziany kłopot przyjaciół, gdyż okazało się że starowinka był - kalwinem i niebyło go komu pochować. Katolicki ksiądz nie mógł, protestancki niechciał. Niewiem co wkońcu wymyślono. Podnosił też donośny, uważnie słuchany głos, pan Mieczysław Darowski, wspaniale piękny, ogromny starzec z oczyma koloru starego miodu, człowiek mający w sobie coś z orła i gołębia zarazem. Weteran z 31 roku, z czarno-błękitną wstążeczką Virtuti Militari przy klapie, obok której jarzył się wązki prążek czerwonej. Była to wstążeczka Legii honorowej, którą otrzymał od francuzkiego rządu, jako podziękowanie za dar 70ciu wagonów własnego zboża, które po pruskiem zwycięztwie ofiarował głodującej siostrze "Francii". Wówczas, kiedym go poznała, on, pan ongiś wielkich obszarów, nie posiadał już ani ziarenka, gdyż wszystko, do ostatniego rozsypał głodującej braci.

Czasem przyjeżdżał ze Stanisławowa pan Agaton. Z żółtą twarzą chińskiego bonzy, z obwisłemi, czarnemi wąsami, prezysował, zdało się, zebraniu - i wówczas najczęściej kierowano młodzież do przyległego pokoiku, aby starszym nie wadziła w naradach. Nie lubiłam się tam znaleźć. Nie z ciekawości na pana Agatona, który był dla mnie jeszcze stanowczo za trudny wtedy, ale dla świadomości, że w tym przyległym do salonu pokoju umarł kochany pan Tadeusz.

Styczeń był wtedy ostry, mrozy srogie, gdy umierał. Mama na całe dni i noce dążyła na Gliniańską, aby wyręczać utrudzoną panią Łucię, ja zaś właśnie zaziębiona siedzieć musiałam w domu. On to, pan Tadeusz leczył mnie podczas zapalenia płuc w dzieciństwie i wyrwał z choroby po której na dłu-

gie łata zostałam rekonwalescentką. Mam jeszcze ubożuchne podarunki, jakiemi mnie wówczas darzył: medalionik z kryształowem wieczkiem, rozsypaną już w kawałki rogową bransoletkę z białemi kamyczkami,- mam trwalsze od przedmiotów wspomnienie jego niewysłowionej słodyczy z jaką się do mnie odnosił. Jedna z tych paru, naprawdę świętych istot jakie w życiu znałam. Wiedziałam że jest umierający, widziałam ciężkie zmartwienie rodziców, było mi strasznie smutno nie módz nawet odwiedzić chorego. Śmierć jego odpłakałam gorąco, tem rzewniej że mnie na pogrzeb nie wzięto. Kaszlałam i mróz był za wielki. Pamiętam głębokie wzruszenie gdym potem pierwszy raz znalazła się w znajomych pokojach i gdym weszła do tego właśnie pokoiku przy salonie. Pachniał silnie aptecznym zapachem medykamentów i choć był już urządzony inaczej, znikło łóżko pana Tadeusza, zostały szafy z książkami, ów rozczulająco szkaradny bukiet kwiatów pod kloszem, który z chleba ulepiła wdzięczna jakaś pacyentka, szafirowe wazony dekorowane jakby koronką z białych paciorek, inny taki dar czuły a niefortunny,- marmurowa, także pod kloszem grupa z porwaną Sabinką, hołd podobny, tylko w lepszym już guście,- słowem same przedmioty znajome, związane z tym, którego brakło, przesycone nadomiar tym niesamowitym, silnym zapachem, o którym niepodobna było zapomnieć.

Zawsze czułam się skrępowana w tym pokoju i niezdolna do wesołości.

Niech nikt sobie nie wyobraża że te niedziele miały w sobie uroczystą, posępną powagę katakumbowych schadzek. Bynajmniej. Ludzie, którzy się tam jawili i ci, którzy ich do siebie garnęli, mieli zupełnie franciszkańską pogodę serc, toteż bezpośrednio nieraz po bardzo czasem ważnych dyskusyach nad krajowym Sejmem, lub złemi wieściami ze Ślązka czy Poznańskiego,- inicyował najzacniejszy pan Józef gry towarzyskie, w których brali udział wszyscy, starsi i młodsi. Grano w talarka, kotka i myszkę,- sam gospodarz, profesor siadał mężnie na cenzurowanem, wysłuchując dobrotliwie znoszonych na niego plotek. Pamiętam raz w "mruczku" godnego

pana J. Kajetana Janowskiego, jednego ongiś z członków Rządu Narodowego w 1863cim, jak stojąc w kole z trąbą nut w ręce, ekscytował głuchem chrząkaniem odzew, w którym trzeba było głos znajomej osoby rozpoznać. Raz, podczas "talarka" sąsiadem moim był pan Agaton.

Bawiono się w "farby" i "spowiedź", zaś najhałaśliwszą bywała zabawa w "podróż", kiedy to Madryt musiał na komendę znaleźć się w Petersburgu, Petersburg w Madrycie, komenderujący zaś upatrywał jak jastrząb, puste po którejś ze stolic krzesełko, by na niem usiąść w zamieszaniu. Srogo przy takich wojażach cierpiały staromodne mebelki, ale śmiechu było coniemiara i niejeden poczciwy, ludowo-szkolny marjaż brał w tych podróżach początek. Były to zabawy adwentowe lub wielkopostne. Po Bożem Narodzeniu śpiewało się chórem kolędy, a w karnawał nawet się i tańcowało trochę. Pan Józef siadał do fortepianu i wypędzał "przepióreczkę w proso", młodzież zaś puszczała się z rozpędem większym od przestrzeni w pląs mazurowy. Lampa na wysokiej łodydze wędrowała wtedy na trymotkę, skromniutki dywan pod kanapę, starsze panie kupiły się pos
piły się pod ścianami, z których ciemne portrety nieboszczyków przychylnie poglądały na tę uciechę.

Forma gospodarska tych przyjęć ogromnie była prosta. Zasiadało się wprawdzie przy stole pięknie zasłanym obrusem, przy stojącej pośrodku lampie, ale nieodmiennie przyjęcie stanowił półmisek t.zw. mieszaniny, t. j. różnych wędlin krajanych w plasterki, chleb bez masła, dobra herbata w szklankach, do której cukier podawany był na talerzu w kostkach rąbanych z "głowy", i etażerka zawsze takich samych ciastek domowych, które się nazywały : badjanki. Nigdy niczego więcej. Czasem w karnawale podawano do herbaty chrust, nazywany tam z warszawska: faworkami...

Z dziewcząt najmilsza mi tam bywała Kazia Winnicka, córka Tomasza, także jednego z głównych filarów powstania,- kozak dziewczyna o trzy głowy wyższa odemnie, z ładną, pociągłą twarzyczką i czarnemi oczyma, pełna niewyczerpanego humoru i dobroci. Obok niej pamiętam Jadwisię Zielonczankę, później Sędzimirową, Ojciec jej, patryota i działacz, brał udział we wszystkich ów-

czesnych lwowskich "robotach" narodowych. Należał do grupy tych starszych panów, którzy się kupili koło lampy na wysokim postumencie w chwilach gdy nas młodszych kierowano do przyległego pokoju. We trzy z Kazią i Jadwisią, przebrane za Polskę, Ruś i Litwę, ofiarowałyśmy Platonowi Kosteckiemu w poranek uroczysty jubileuszu jego publicystycznej pracy, wieniec od Polek z białoczerwonemi wstęgami. Kazia była Polską, Jadwisia Litwą, ja - mój Ty Boże!- Rusią... Istnieje nawet wspólna nasza fotografia w tych kostyumach z ~~wieńcem~~ tym wieńcem. Mówiłyśmy przed jubilatem, każda po kilka strof, z jego słynnego wiersza, zaczynającego się od słów:

W Imia Otca i Syna,
To nasza mołytwa,
Jako Trojca tak jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwa...

Nie dożył szczęściem zacny jubilat, gente Ruthenus natione Polonus, straszliwej ironii dziejów!

We trzy gwarzyłyśmy zwykle osobno, bo panny Modzelewskie, Marconiówny, Aleksandrowiczówny, Deskurówna, Grossówna, starsze były znacznie od nas. Wśród zastępu innych, młodziutkich seminarzystek lub nauczycielek, mignęła mi raz także Marya Bartusówna, poetka, córka mało znanego malarza, której rozpaczliwe "Sonety przedślubne", napisane z dużym talentem w przededniu związku z niekochanym człowiekiem zawędrowały do rąk Leonii Wildowej. Ta pokazała je Ujejskiemu i starania ich obojga obroniły biedną nauczycielkę od małżeństwa, które jej groziło. Nie zdołano jej wszakże obronić od gruźlicy, której w parę lat później uległa, młoda jeszcze i naprawdę bardzo zdolna. Mignęła mi się też raz Marya Bartus i u nas przy ulicy Zimorowicza. Była już mocno cierpiąca, mówiła szeptem i oczy miała błyszczące jak w gorączce. Z tej wizyty została mi migawka jej rąk, któremi, nie zdjąwszy czarnych, skórzanych rękawiczek, krajała pomarańczę jak jabłko. Pamiętam sok ciekący aż do łokci pod krótkie rękawy ówczesnej modnej sukni. Do dziś nie wiem czy tak była niedołężna, czy zaambarasowana. Strasznie miała być

czesnych lwowskich "robotach" narodowych. Należał do grupy tych starszych panów, którzy się kupili koło lampy na wysokim postumencie w chwilach gdy nas młodszych kierowano do przyległego pokoju. We trzy z Kazią i Jadwisią, przebrane za Polskę, Ruś i Litwę, ofiarowałyśmy Platonowi Kosteckiemu w poranek uroczysty jubileuszu jego publicystycznej pracy, wieniec od Polek z biało-czerwonemi wstęgami. Kazia była Polską, Jadwisia Litwą, ja - mój Ty Boże!- Rusią... Istnieje nawet wspólna nasza fotografia w tych kostyumach z tym wieńcem. Mówiłyśmy przed jubilatem, każda po kilka strof, z jego słynnego wiersza, zaczynającego się od słów:

W imię Ojca i Syna,
To nasza modlitwa,
Jako Trójca tak jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwa...

Nie dożył szczęściem zacny jubilat, gente Ruthenum natione Polonus, straszliwej ironii dziejów!

We trzy gwarzyłyśmy zwykle osobno, bo panny Modzelewskie, Marconiówny, Aleksandrowiczówny, Deskurówna, Grossówna, starsze były znacznie od nas. Wśród zastępu innych, młodziutkich seminarzystek lub nauczycielek, mignęła mi raz także Marya Bartusówna, poetka, córka mało znanego malarza, której rozpaczliwe "Sonety przedślubne", napisane z dużym talentem w przededniu związku z niekochanym człowiekiem zawędrowały do rąk Leonii Wildowej. Ta pokazała je Ujejskiemu i starania ich obojga obroniły biedną nauczycielkę od małżeństwa, które jej groziło. Nie zdołano jej wszakże obronić od gruźlicy, której w parę lat później uległa, młoda jeszcze i naprawdę bardzo zdolna. Mignęła mi się też raz Marya Bartus i u nas przy ulicy Zimorowicza. Była już mocno cierpiąca, mówiła szeptem i oczy miała błyszczące jak w gorączce. Z tej wizyty została mi migawka jej rąk, któremi, nie zdjąwszy czarnych, skórzanych rękawiczek, krajała pomarańczę jak jabłko. Pamiętam sok ciekący aż do łokci pod krótkie rękawy ówczesnej modnej sukni. Do dziś nie wiem czy tak była niedołężna, czy zaambarasowana. Strasznie miała być

pono nieśmiałą i opowiadał pan Józef, jak przy egzaminie z zoologii, gdy ją pytał, w żaden sposób nie mogła się zdobyć na wymówienie słowa : świnia... Tak się to dosłownie brało wówczas - poezję!

Z wiela "masek" na czcigodnej scenie tego domu spotkanych, przypomnieć muszę jeszcze jedną. Nazywała się pan Stanisław Konopka, recytator.

Człowiek bez wieku, ucharakteryzowany, jak wówczas jeszcze wielu, na powstańca, w zrudziałej czamarce, pasie z klamrą i butach z cholewami, o długich, uczernionych włosach spadających,ze znaczną tegoż szkodą, na biały prążek kołnierzyka, z miną raz na zawsze klęskową i podfarbowanym wąsem, jawił się na niedzielach rzadko, dość jednak często aby mi zostać w pamięci dokładnie.

Nie przypominam sobie żadnego słowa, któreby było słowem jego, słowem pana Konopki. Umiał natomiast wszystkich, bez przesady, wieszczów na pamięć, umiał, z dokładnością fenomenalną, całe dramaty, wszystkie polskie poematy i wiersze,- był jakby automatem pełnym obcej treści, która się zeń na zawołanie umiała sypać bez przerwy... Zważywszy że recytacya /słowa "deklamacya" nie znosił/, była źródłem jego zarobku, że za skromnem wynagrodzeniem ilustrujący w gimnazyach godziny "polskiego", występujący często z recitalami własnymi w Sokole czy Gwieździe, nie mógł każdym, tysiącznym razem przeżywać treści wygłaszanych utworów,- czynił istotnie wrażenie automatu o zdumiewającej mechanice. Raz na zawsze patetyczny i feralny, gorzał i stygł równocześnie z temperaturą danego utworu, syczał jadowicie, chichotał szydersko, wysuwał oczy z twarzy tak że groziły upadkiem na dywan, krzyczał w niebogłosy aż się sąsiedzi kamieniczni płoszyli, chrypł wreszcie i dech tracił, słaniał się ze śniademi wypiekami nad ogonem fortepianu, pot z czoła strząsał, ale gadać i gadać wierszem nie przestawał. Pozatem cichł i milczał niesamowicie, jak rzecz.

Ponieważ bolała go obojętność, zawsze go dobra pani Lucia prosiła o recytacyę. Nigdy mnie jego sztuka nie wzruszyła przez moment. Przeciwnie, na długo obrzydło mi niejedno przecudne, popsute wspomnieniem głosu i

sposobów pana Konopki, tak jak tandetna reprodukcya obrazu uszkodzić może znajome arcydzieło. Dziś wszakże dopiero urósł moim dojrzałym oczom pan Konopka do powagi symbolu. We wspomnieniu tej smutnawo śmiesznej figury uosobiła mi się jakby cała deklamatorska tromtadracya patryotycznego gadulstwa, które tak się ma właśnie do miłości ojczyzny, jak dewocya do pobożności. Ten rozgadany wierszem wieczysty powstaniec o farbowanych wąsach ma dla mnie plastykę jakiejś kukły z narodowych jasełek, syntezę czegoś bardzo przedwojennego, co do witryny muzealnej przynależy, co wszakże bardzo było głośne i szkodliwe w swoim czasie i kto wie czy jeszcze w czternastym roku przy werbunku legionowym nie zaważyło...

Nic temu nie winien pan Konopka. Biedny, pomylony duchowo rozbitek, zapomniany dziś niechybnie "rodak", uczciwie pracujący na chleb, niezawsze słodki, a skąpy chleb, który może mnie tylko jednej jeszcze przypomina się jako bezwiedna przenośnia, żywy, śmiesznawo bolesny symbol owych czasów.

Dziwnie dokładnie rozkruszył się dom państwa Józefostwa. Gdy pan Józef, najzacniejszy, najświątobliwszy, umierał, syn jego jedyny tak mu był obcym, córki tak inne, choć najzupełniej szanowne, że chcąc papiery swe z czasów powstania, korespondencyę i dokumenty, przekazać w dbałe ręce, uprosił o przyjęcie ich moją Mamę.* Syn jedynak zginął w legionach jako piłsudczyk, socyalista, żydofil, córka najstarsza wstąpiła do klasztoru, inne wsiąkły bezbarwnie w szarość pracy zarobkowej. Jedna jest współwłaścicielką kina w Paryżu, pozatem wirtuozką na fortepianie, jedna owdowiała wychowuje dziecko, najmłodsza jest sanitaryuszką. Wszystkie, oprócz zakonnicy grawitują ku socyalizmowi i wielbią Piłsudskiego. Pani Łucia mieszka sama, i gdy ją odwiedzam, wzruszają mnie jeszcze niektóre przedmioty z tamtego, kochanego domu. Stół z tą samą lub takąsamą kapą w gwiazdy szydełkowe, lampa na wysokiej łodydze z piękną, spiżową figurką niewieścią, stare, ciemne portrety pani Barbary, Romana i Tadeusza Żulińskich. Bo tamtego, kochanego domu już niema...

*Są w archiwum mojem

-x-

Innym, z którymi żyli blizko rodzice, był dom państwa Grzywińskich. Znowu matka staruszka i syn, pan Stefan, w dodatku jeszcze trzy córki, panny Aniela, Jedwiga i Maniusia. Pochodzili z Poznańskiego, ale do Lwowa przybyli via Warszawa, gdzie przyzostał syn drugi, pan Józef, dobry kontuszowy aktor tamtejszej sceny. Nie można sobie wyobrazić ludzi milszych i pogodniejszych. Dlaczego osiedli wszyscy we Lwowie, niezupełnie dobrze wiem, nie dziwię się jednak że się do niego przywiązali na zawsze. Babciy Grzywińska, jak nazywałam staruszkę, miała pewien pański partes, jako świetnie ongiś wykształcona i wychowana panna - zapomniałam jej nazwisko panieńskie,-wiem tylko że była blizką krewną Kościelskich, Mielżyńskich, Donimirskich i że były w pokoikach jej domu różne jaśniepańskie sprzęty. Pozatem że byli niesłychanie mili wszyscy, odznaczali się równie niesłychaną, doskonałą już niemal brzydotą. Najmniej brzydka była najmłodsza z rodzeństwa, panna Maniusia o pięknych istotnie warkoczach i oczach, ale z osobna spotkana, mogła również zastanowić szpetotą nosa i ust. Najprzeraźliwiej szkaradna była panna Aniela, najstarsza, po której mniej już zdumiewali młodsi: pan Stefan i panna Jadwisia, zupełny anioł w ludzkiem ciele. Panny Aniela i Maniusia były nauczycielkami wydziałowemi, pan Stefan był - o ile wiem - tylko muzykalny. Panna Jadwisia zajmowała się domem, robiła pajęcze koronki, wypiekała nadziemskie ciastka, szyła odzież dla wszystkich domowników, zawsze promieniejąca pogodą, pełna żartów i słodyczy. Ta to gromadka ludzi kochała nas serdecznie i wzajemnie była od nas kochana. Istnienie ich opierało się, poza pensyami dwu nauczycielek, na jakiejś sumce żelaznej i przy ówczesnem, taniem życiu pozwalało na gościnność.

Raz lub dwa w miesiącu conajmniej, szło się do Grzywińskich albo ich gromadka jawiła się u nas. Zwykle wieczorami. Ponieważ cała rodzina z panem Stefanem na czele słynęła z świetnego dowcipu, a Tatko mój miał sławę podobną, od pierwszego powitania w przedpokoju krzyżować się zaczynały pa-

radne koncepty i wybuchy śmiechu i, jakgdyby coś rozweselającego nasycało powietrze tych pokoików, dowcip raz rzucony podlatał coraz wyżej, świetniał, podrywał ku sobie nowe i naprawdę bywały to istne koncerty humoru, pełne twórczego talentu i bogactwa. Pan Stefan, nietylko facecyonista starej daty, poza którym przywidywało się zawsze jakby tło szlacheckiego dworu, szkaradny jak grzech śmiertelny, a pełen dystynkcyi i gładkości słowa, mówił bardzo powoli i bez uśmiechu rzeczy, których śmieszność polegała, jak w każdym dowcipie, na niespodziance pointy, ale i na sposobie wygłoszenia. Otóż ten sposób nie miał sobie równego. Przyczyniał się do efektu i głos, nosowy, nizki /ten sam, którym przemawiał do mnie nasz coroczny, póki wiara trwała!, Święty Mikołaj/ i charakterystyczna, warszawska dykcya, której niepodobna - napisać. Dyalog pana Stefana z Tatkiem, to było używanie tem zbytkowniejsze, że wszystko przepadało momentalnie i nietylko dziś, po latach, ale i wtedy doraźnie nie było możności odtworzyć tej, wietrzejącej natychmiast, przyczyny szalonego śmiechu, przytrzymać dłużej czegoś, co jak substancya lotna traciło się, zaświeciwszy.

Latami mieszkali państwo Grzywińscy, póki Babcia żyła, w zabudowaniach klasztoru PP. Benedyktynek. Już samo ich wnętrze działało na moją wyobraźnię. Amfiladka słonecznych, małych celek o sufitach niziutkich, wygiętych w łuki sklepione, z okienkami w grubych murach jak w pokoikach osobnych, strojnych bluszczami, z jedną celą większą, która nazywała się salonem, co zresztą zaznaczał fortepian, garniturek mebelków obitych czarnym rypsem, talerz z biletami, koszyk z kolorowemi owocami z marmuru i kantorek pana Stefana, niezapomniany kantorek z lusterkami, w którego szufladkach wolno mi było grzebać do woli! "Babci" pokój był najbliżej kuchni. W jednem z dwu głębokich okienek wisiała klatka z kanarkiem, poprzez którego "śpiw" - tak tu wymawiano to słowo - toczyła się zawsze rozmowa. Babcia siedziała zawsze w kącie ceratowej czarnej sofy przed

stołem, owinięta w tyftyk rakowego koloru, z koronką czarną na głowie i w ogromnych okularach na jeszcze ogromniejszym, niekształtnym nosie. Była już bardzo wiekowa /dzieci jej wszystkie także,- oprócz panny Maniusi, która była jeszcze "prawie" młoda/, ale przedziwnie żywa i zabawna. Za mną przepadała /ach, jakież przemiłe jej liściki mam jeszcze w szufladkach!/ i, opowiadając mi o swem dzieciństwie, zabawiała mnie wystrzyganiem z papieru misternych sylwetek, co umiała mistrzowsko. W przeciwnym od oczu kierunku trzymając kartkę papieru, wystrzygała nożyczkami z przedziwną pewnością oka np. grupę sarn, jelenia i łanię, przyczem poroże jelenia miało kontur artystycznie doskonały. Czasem bywała to kapliczka wśród świerków... i znowu podziwienia godne były gałęzie drzew. Czasem charty pędzące za szarakiem. Ludzi nie wystrzygała nigdy. Może zniechęcały kochaną Babcię profile jej własnej "dziatwy"?- dość że jej zwierzęta były zachwycające, zdumiewające szybkością i brawurą z jaką powstawały...

W lwowskim klasztorze Sacré Coeur wychowywała się cioteczna wnuczka Babci, Maniusia Donimirska, córka pana Antoniego, znanego patryoty i działacza w Księstwie. Z tą Maniusią widywałyśmy się podczas świąt, które dla zbytniej odległości od domu spędzała u cioców Grzywińskich. Bardzo lubiłam tę dziewczynkę. Śliczna była i jakaś inna niż tutejsze dziewczęta. Może nie tak chwytna w rozmowie, ale głębsza, entuzyastka bez frazesu i zdumiewająco szczera. Choć także miałam dość wcześnie swoje wewnętrzne życie, nie byłabym umiała tak siebie komuś innemu wytłómaczyć. A nie było to takie nałogowe mówienie o sobie, cechujące banalne podlotki. Raczej głośne myślenie przed kimś, z kim się ma ochotę razem myśleć. Pamiętam raz,- ponieważ istniał dawny obyczaj chodzenia Rodziców po Wilii do Grzywińskich,- zaproszona przez Babcię i uproszona u Rodziców przez Maniusię, zostałam tam na noc i spędziłam pierwszy dzień Świąt z nimi.- Co to była za radość i przygoda! Zbudzić się w in-

nym niż zwykle pokoju, na ceratowej sofie Babci Grzywińskiej, wprost okna z bluszczem i okrytą szczelnie chustką klatką z kanarkiem, słyszeć syczenie wielkiego samowara koło drzwi do kuchni i ciche krzątanie się kochanych istot... Okryta wielką pierzyną - zimno tam musiało być porządne!- patrzyłam na zamarznięte jak błona małe okienko i rozkoszowałam się poczuciem niezwykłości jaką przeżywam. Potem nadeszła, w berlaczach i katanie babcinej, Maniusia Donimirska i gadałyśmy razem, tkwiąc pod pierzyną jak w zaspie, póki się w pokoju nie zrobiło ciepło i nie pozwolono mi pójść myć się za babcin zielony parawan koło pieca..

Na Mszę poszłyśmy do kościoła Benedyktynek i byłam dość oświecona już wówczas żeby usłyszeć z pożytkiem, dobrze już dzięki Cioci Tereni obeznana z listami Odyńca i Mickiewiczem, że zakonnicą w tym klasztorze była i umarła ongiś Marcelina Łempicka...

A potem, gdy naukę ukończyła, wyjechała Maniusia pod Toruń do rodziny i wyszła zczasem za mąż za magnata kresowego Świackiego, który miał olbrzymi majątek graniczący z Białowiezką puszczą. Dziś, utraciwszy wszystko, pracują w Toruniu na życie, oni oboje i ich jedynak syn.

W tych malutkich celkach klasztoru Benedyktynek mieszkali Grzywińscy latami. Z czasem sprowadzili się w ich pobliże i p. Józefowie Zulińscy. Mieliśmy tedy w bogobojnem obejściu dwa adresy kochane. Ostatni raz byłam u p. Grzywińskich po wilii z Rodzicami w r. 1893. Towarzyszył nam już Tateczek, jako mój narzeczony. Zawsze się brało z domu ręczny dzwonek i gdyśmy już stali pod drzwiami, nie pukając trząsł Tatko dzwonkiem i intonował głośno: "W żłobie leży"... Zaraz robił się hałas wewnątrz drzwi odmykano i wpadaliśmy w objęcia pana Stefana, panien Anieli, Jadwisi i Maniusi i z miejsca wybuchał śmiech, fajerwerki konceptów, dworowania rozkoszne, którym nie było końca. Pamiętam jak Tateczek struchlał na widok brzydoty tych najmilszych ludzi i wyrzucał nam żeśmy go dość wczas nie przygotowali na wrażenie. Istotnie, nad miarę byli szka-

radni... Ale co za serca, co za pogoda niezmącona, jaka prostota, a zarazem ogłada "masywna" ludzi najlepszego tonu! I jak nas kochali serdecznie!

Na szereg lat przed wojną wyprowadzili się do Bolechowa, kupiwszy za ową sumkę żelazną posiadłość z domkiem. Tam umarli pan Stefan i panna Aniela. Panna Maniusia wyszła zamąż za pana Ksawerego Deskura, zaś panna Jadwisia jeszcze jej dzieciom jest opieką i błogosławieństwem.

-x-

Na pierwsze piętro kamienicy gdzieśmy mieszkali sprowadziła się niemal równocześnie rodzina p. Bilińskich, składająca się z owdowiałej matki, dwu córek, Maryńci i Jadwisi i syna Stasia. Matka, Rudroffówna z domu, wysoka, bardzo poważna i miła pani, zainicyowała stosunki i często bywałyśmy u siebie z temi dziewczynkami. Były ogromnie grzeczne, samowite, dobre i choć moja fantazya nie mogła w nich znaleźć towarzystwa, lubiłam je, pomimo że stale dawano mi je za przykład jaka być powinnam. Nie miałam złudzeń że mi daleko do tej doskonałości. Impetyczna byłam bowiem i niedbała a nadewszystko leniwa okropnie.

U p. Bilińskiej zebrał się komplet dzieci na naukę tańca. Chodziłam także" Muzyka, gwar kręcących się dzieci, wszystko razem podniecało mnie bardzo i zajmowało aż do zacietrzewienia. Chodził równocześnie na te komplety i brat mój cioteczny, Bronek Maryański, którego nie lubiłam nigdy, podczas gdy on wyróżniał mnie wybitnie. Przy "wybieraniu" do mazura pomijałam go skrzętnie, on zaś równie skrzętnie zawsze mnie angażował. Wiedziałam że danserowi nie wypada odmawiać, zła byłam, ale bezbronna. Wreszcie w jakiejś chwili, gdy znów się ku mnie zbliżał, uszłam wgłąb mieszkania, przemknęłam się do przedpokoju i popędziłam na górę do domu. Musiałam być zgrzana - na schodach był przeciąg i mróz - dostałam w nocy dreszczu tak gwałtownego, że obudziła się śpiąca w tym samym pokoju ciocia. -Po jakiejś chwili zobaczyłam że się w obu poko-

jach palą lampy i Tatko wkłada futro...

Miałam straszną gorączkę i przed oczyma, jedną na drugiej, ruchome ściany, które się ciągle rozsuwały niby kulisy. - Dostałam zapalenia płuc.

Jeszcze w nocy przyszedł kochany pan Tadeusz Zuliński, który potem przychodził codziennie i okropne to były dni dla Rodziców. Byłam na włosku długi tydzień, a potem chorowitem dzieckiem latami. Dobrze przypominam sobie wrażenie, gdym wstała pierwszy raz. Zdawało mi się żem wyrosła i wszystkie meble domowe są niższe i że się ściany jeszcze ciągle trochę chwieją.

Ku wiośnie pokazało się że muszę być wywieziona w leczniczy klimat i wuj Edward Korczyński doradzał Styrię. Ciężki to był wyrok dla skromnego budżetu Rodziców. Ojciec zapracowywał swojemi szkołami właśnie tyle ile było potrzeba na istnienia nas wszystkich, mały kapitalik posiadała jeszcze tylko nieżyjąca z mężem babcia przebywająca u siostry Schallowej na Bukowinie. Wówczas zostały porobione zdjęcia z rysunków Grottgera, zawartych w albumie Mamy, nigdy dotąd niereprodukowanych. Prawo rozpowszechniania nabył Edward Trzemeski. Za te pieniądze wyjechałyśmy do Gleichenbergu. Pamiętam nastrój przedwyjezdny. Tatko namalował dla mnie olejny obrazek M.B. Częstochowskiej z tkliwym napisem na tylnej stronie deseczki. Pani Aszperger przyniosła mi śliczną książkę francuzką z obrazkami "Bébé en voyage". Od pana Tadeusza ~~Zulińskiego~~ dostałam medalik ze szkiełkiem, od cioci torebkę na rzemyku podróżną. Samolubne zwierzątko, jakiem z całą moją rozbujaną fantazyą byłam jeszcze bezsprzecznie, nie zdawałam sobie najzupełniej sprawy z tego ucisku serca z jakim zostawał Tatko, z jakim towarzyszyła mi Mama. Życie moje wciąż jeszcze było wątpliwe, plułam krwią i co wieczór wracała gorączka.

Pierwszy nasz popas wypadł w Krakowie, gdzie tym razem poznałam oboje dziadziów Korczyńskich, Antoniego i Elżbietę z bar. Wentzów, rodzoną siostrę babci i cioci Tereni. Babcia Korczyńska miała rysy podobne do babci-

nych, ale ostrzejsze, była drobna, ogromnie żywa, gwałtowna w czułości jak niechęci, istne przeciwieństwo dziadzia, jej męża, jednego z najsłodszych ludzi jacy mogą być, którego Mama zawsze wspominała z uwielbieniem i tkliwością. Miał być wysoko wykształcony, świetny skrzypek-amator, przemiły causeur. Mama pamiętała wdzięcznie czas pobytu w domu dziadziów, gdy mieszkali w Grybowie; do Mamy, już wówczas swej narzeczonej, i babci, przyjechał na zaproszenie dziadziów i Grottger. Narysował tam wiele pięknych studyów: portrety obojga dziadziów, cygana, chłopię śpiewające z nutami na chórze, którego ciekawą strukturę i rzeźbę z aniołem grającym na organkach z grybowskiego kościółka odrysował.

Wuj Edzio zbadał mnie z wielką starannością i coś tam niewesołego powiedział Mamie, bo strasznie była zgnębiona, i choć nie była do tego skłonna nigdy, pamiętam że wówczas płakała. Pamiętam też moje głupie podniecenie na myśl że jestem aż tak chora, rodzaj dumy z tego i zaciekawienia dla samej siebie.

Z Wiednia zostało mi wspomnienie dość intymne. Oto na ganku hotelu spotkałam się z Turkiem, który niósł w ręku naczynie wysoce poufnych przeznaczeń, Turkiem w turbanie, hajdawerach...prawdziwym Turkiem. Pokazało się że obok mieszkał jakiś dygnitarz turecki ze swoim dworem. Wielce byłam zaambarasowana tem turecko-wiedeńskiem spotkaniem,- zatarło się ono jednak, gdyż dzięki egzotycznej załodze dowiedziano się w hotelu że to akurat jakieś mahometańskie święto i w poblizkim meczecie można oglądnąć czynione do niego przygotowania. Poszłyśmy z Mamą i było to istotnie śliczne. Wnętrze bardzo wysokie, ciemne prawie, oświetlone zwisającem od stropu mnóstwem lamp o łagodnych barwach, jakieś przepyszne jedwabne makaty zawieszone w powietrzu, bo falujące jak żywe od przeciągu, a cała posadzka zasłana grubo trawą, gałązkami zielonemi i kwiatami... Nic nie wiem jakie to było święto, jak wyglądało wejście do tego wnętrza, ale wrażenie tych świateł,

zasłon jakby oddychających i kobierca świeżej zieleni zostało mi na zawsze w pamięci.

Nigdy, nigdy nie omieszkała Mama zdobyć dla mnie czegoś ładnego do widzenia czy przeżycia,- zawsze we właściwej chwili usłyszałam coś co byłło jakby nowem oknem odmykanem ku przestrzeniom.

W Gleichenbergu zamieszkałyśmy wygodnie i blizko lasu, w rodzaju pensyonatu, ale bardziej negliżowego od dzisiejszych. Nie było table d'hotu, ciągle miało się do czynienia z gospodarzami obojgiem. Nazywali się dobrze brzmiącem po niemiecku nazwiskiem Hoferów. Mama wielkie miała ze mną utrapienie z powodu mej odrazy do jedzenia. Niechciałam. Chciałam zato mnóstwa rzeczy, których nie mogłam. Oto jeździć na osiołkach, które tam wynajmowano na spacery, łazić po lesie za grzybami, grać w kręgle, zaznajamiać się ze wszystkiemi dziećmi jakie się nadarzały. Wuj zaś kazał abym jaknajwięcej jadła i nie ruszała się. Biedna, biedna Mama!

Rysowałam pasyami, bawiłam się trochę Hassanem, moją ulubioną lalką roboty Mamy, ogrpmnym turkiem w jaskrawym stroju, o zginających się stawach, z rasy wynalezionej przez Mamę i uwielbianej prze z liczne dzieci jakie podobnymi niewolnikami obdarzała,- ale przeważnie, nudząc się, bywałam strasznie dokuczliwa.- Tymczasem pewnego dnia zajechali do naszego domu pod lasem nowi goście. Takie ogromne, nigdy przedtem nieoglądane kufry, wielkie jak domki, obite blachą. Wnoszono je z trudem na schody. Rozeszła się wieść po domu że przyjechali jacyś państwo z Ameryki. Z powozu wysiadła wysoka, ciemno ubrana pani i wysypało się czterech chłopców, każdy trochę większy od drugiego,- Amerykanie...

Naturalnie że w pierwszej chwili miałam zawód jak zawsze. Nastawiona byłam bowiem stale na nadzwyczajności i już zdążyłam spodziewać się istot z piórami na głowie pół-dzikich, jak z obrazka. Oni zaś byli nadzwyczajni, ale całkiem inaczej niż się spodziewałam. Znalazłyśmy w wysokiej pani i tych chłopcach przyjaciół na całe życie, wiernych, wytrwałych mimo odda-

lenia, z których jednego, po latach, jako dorosła już, powitałam na szerokim świecie niby najlepszego brata,- ale trzeba się trzymać na wodzy i opowiadać tak jak się działo - powoli.- Pani była wdową i nazywała się Mrs. U.A.Spahr. Chłopcy: Otto, Fritz, Charlie, Eddie - przyjeżdżali z Nowego Yorku dla poratowania płuc Fritza a potem z racyi nauki wszystkich, którą dla ćwiczenia w językach matka chciała im dać w Europie. Umiałam już o tyle po niemiecku aby się przegryźć przez codzienne tematy a niemieczyzna chłopców nie gnębiła mnie. Mówili także bardzo nieśmiało i dużo pojęć zastępować trzeba było migami. Cóż to za cudowna była kompania!

Otto, Charlie i Eddie, to były całkiem zwykłe, miłe chłopcy, mimo żywości i swobody obejścia, bardzo taktowne. Wszyscy trzej stali się dla mnie rodzajem posłusznych Hassanów, którymi komenderowałam dowoli i dzięki ich ruchliwemu widokowi potulniej leżałam na mojem rozkładanem krześle. Fritz natomiast, to było całkiem co innego. Chłopiec ten czternastoletni - ja miałam lat siedem - miał naturę artystyczną i nieco dziwaczną, która najlepiej odpowiadała mojej. Był jednak o wiele mądrzejszy i dojrzalszy, nie tylko odemnie, ale od swoich starszych braci. Zrozumiał inaczej od nich troskę Mamy o moje zdrowie i był Mamie nieocenioną pomocą. Kiedym się buntowała chcąc iść na spacer z tamtymi, krzyczała jak opętana, po czem zawsze gorączka wracała wyższa,- Fritz zostawał, brał swoje skrzypce i grał mi tak długo, póki nie wyłykałam ostatnich łez i nie uspokoiłam się zupełnie. Nigdy mi nic nie perswadował, tylko bez słowa wyjmował skrzypce z pudełka.

Jemu też, /doprawdy niewiem jak potrafiłam się wyjęzyczyć?!/ zwierzyłam tajemnicę kręcidła. Pamiętam jego troskę i rozmowę z Mamą na ten temat. Wiem że doszli do przekonania że póki miewam gorączki, nie można mi tego bronić, ale lepiej aby się to działo rzadziej. Wymyślali więc oboje różne roztargnienia, niespodzianki, odwodzące myśl od pokuśnego narzędzia i dziś dopiero ocenić mogę w zupełności jaka to była sztuka.- Chłopcy Spahr mieli

ze sobą różne zamorskości. Najlepiej mi się podobał kompas z nerwową, mądrą igiełką wprawioną w "morski bób", okrągły ciemnopąsowy przedmiot rosnący pono na dnie morza, kompas, który Otto nosił przy zegarku. Otto miał lat siedemnaście.

Wreszcie zaczęłam być nieco zdrowsza i następstwem tego były niezapomniane grzybobrania w domowym lesie. Nigdy przedtem ani potem nie spotkałam takich obfitości prawdziwych grzybów i tysiąca innych odmian, jak w Gleichenbergu, Rosły pod bukami prawdziwki całemi weselami, jakby kto zabawek rozsypał na mech. Ładowałam w fartuszek, kapelusz, do Mamy parasolki, wreszcie nie mogąc zabrać więcej siadałam i płakałam w niebogłosy. Suszyłyśmy je na słońcu gdyż, -brzmi to niewiarogodnie a jednak jest prawdą - nikt z tamtejszych ludzi nie znał użytku grzybów, bano się trucizny i Frau Hofer odmówiła gdy ją Mama prosiła o zgotowanie nam ich na obiad.

Razem ze zdrowiem wracała dawna impetyczność. Potulny, rycerski raczej, sposób chłopców Spahr wzmógł moją pewność siebie i dość często zdarzało się że po jakiejś awanturze stosować Mama musiała pedagogiczny kompres w którym kładła mnie do łóżka i oznajmiała mi żem znowu chora. Pamiętam taką kuracyę gdy Mama i pani Spahr wyzwoliły z moich garści Eddiego, którego tłukłam bez opamiętania. Miał bowiem zwyczaj, nie licząc się zupełnie z tem że go nie rozumiem, wpadać z jakiemiś zajmującemi nowinami, cały pod wrażeniem swoich przygód doznanych w ogrodzie czy lesie i opowiadać mi je po angielsku bardzo szybko i głośno. Dawałam mu znaki że nie rozumiem, on jednak gadał dalej jak budzik, który się musi wyterczeć. Raz, gdy wpadł znowu z taką angielską opowieścią, rozzłoszczona rzuciłam się na chłopca i z całej siły poczęłam go targać i bić. Oburzenie moje osłabło na widok jego zupełnej bierności i przerażonych oczu, których spojrzenie chwyciłam. Trzymałam go jeszcze za kołnierz, już mając puścić, gdy obie matki przyszły mu na odsiecz. Po chwili zawinięta w kompres leżałam

na kanapie, a zacne chłopcy dopraszały się aby módz przyjść do mnie z współczuciem i przebaczeniem.

Impetyczność moja pozbawiła też życia uroczą, młodziutką wiewiórkę, którą mi Mama kupiła do zabawy. Wracając raz ze spaceru odbytego z p. Spahr i jej chłopcami, tak gwałtownie rzuciłam się na powitanie ki Mamie, że siadając jej na kolanach, nim mnie zdążyła ostrzedz, zadusiłam kochane zwierzątko śpiące w maminej kieszeni. Rzecz nie dała się ukryć i gdy wyszło na jaw że jestem zabójczynią, wpadłam w rozpacz, dostałam gorączki i kilka dni było biedy nim się uspokoiłam. Ulubione migdałowe ciasteczka i Bach, "stosowany" przez Fritza, uśmierzyły pierwszą gwałtowność cierpienia. Długo jednak widok wiewiórek żywych i swobodnych, których pełno było w domowym lesie,odnawiał rozdzierające wspomnienie.

Pozatem pobyt w Gleichenbergu, polegający na piciu wód mineralnych, oddechaniu łagodnem jak oliwa powietrzem i piciu koziego mleka, które do ostatka napełniało mnie odrazą, nie obfitował we wrażenia.

-x-

Z Gleichenbergu wyjechaliśmy równocześnie z p. Spahr i chłopcami do Monachjum. Wiedziałam że szczęśliwe czasy przeżył tu Tatko, z Marcelem Maszkowskim, Pentherem, Matejką. Znałam teki i karykaturki przyjaciół rysowane wówczas i odszukałyśmy z Mamą ulicę przy której Tatko mieszkał. Galerye były przeważnie zamknięte i moje zdrowie nie dość mocne aby je zwiedzać. Pojechaliśmy tylko wszyscy razem do kolosu Bawaryi na Theresien-Wiese; wszedłszy schodkami przez wnętrze posągu aż do głowy, przez wykroje jego oczu oglądaliśmy rozległy widok. Pamiętam doskonale jakim wstrętem przejęła mnie ta potworna statua, brzydka swoim ogromem i mająca w sobie coś z Molocha połykającego żywe ofiary. W lecie zwłaszcza i w upał wnętrze tej spiżowej pałuby miało temperaturę wręcz niesamowitą. W Monachium wydałam nienaruszony dotąd kapitał na sprawunek otrzymany od Tatka na wyjezdnem. Kupiłam sobie przemiłą i śliczną książkę: Kate Greenavay:

"Am Fenster".

Może znajdę gdzie jeszcze listy Mamy do Tatka z tego okresu, co pomoże mej pamięci i wypełni luki w opowiadaniu, na razie notuję tylko jak pamiętam. Ponieważ okres kuracyi w Gleichenbergu się skończył, a mój apetyt normalny nie wracał, wracały natomiast gorączki,- Mama korespondująca ciągle na mój temat z najdroższym wujem Edwardem, powiozła mnie wedle jego polecenia w wyższe góry. Z rodziną Amerykanów pożegnaliśmy się w Monachium. Dążyłyśmy do Aussee. Po drodze mijając różne pięknie położone miejsca, pociąg nasz wjechał w okolicę tak cudną, że stojącej przy oknie zupełnie mi się w głowie zakręciło. Nad rozległem, zielonem jeziorem, niby zwał stężałych obłoków, lodowce,- i drugi taki sam zwał dyamentowy odbity w czystej, cichej wodzie. Zaczęłam krzyczeć że tu wysiądę, że stąd nie wyjadę. Pociąg stanął na stacyi Zell am See i nim Mama mogła temu przeszkodzić, wyskoczyłam z przedziału, ani się troszcząc co się ze mną dzieje. Moment trwały pertraktacye z Mamą, która nawoływała do powrotu, ale że pociąg krótko tu stał, nie było innej rady, tylko wyrzucić bezładnie jak w pożarze wszystkie manatki na plant i wysiąść co prędzej. Cudowną dobę przebyłyśmy w tem czarodziejskiem Zell. Jeszcze gdzieś po domu wałęsa się szczątek białego, wystruganego w drzewie czółenka, które mi tam Mama kupiła, miniatura dużego, którem wzdłuż brzegów jeziora odbyłyśmy popołudniu zachwycającą przejażdżkę. Nie wiem czemu nie osiadłyśmy tam na resztę leczniczego pobytu. Może Aussee wyżej jeszcze położone. Aussee ani w części nie okazało się tak piękne, choć także górzyska wysokie piętrzyły się nad miasteczkiem. Tu wszakże, jak na złość przy wielkiej drożyźnie, zaczęłam jeść. Zdrowie moje poprawiało się szybko i dzięki temu mogłam chodzić z Mamą na dalsze przechadzki. Zapachy kwiatów górskich i siana, igieł świerkowych i wody zielonego górskiego strumienia, który leciał jak waryat po kolorowych, prześlicznych kamykach marmurowych, ścieżki wysypane

suchem igliwiem wiodące przez las ku tuż położonemu Alt-Aussee, gdzie było spore jezioro z wysepką porosłą gogodzami i Gasthaus z huśtawką, w której zdawało się że lecę prosto na srebrzejący w dali lodowiec Dachstein, sprawiły żem się w tej ładności wszelakiej zagospodarowała wcale szybko. Na jednej z takich wycieczek do Alt-Aussee złapał nas ulewny deszcz, taki gwałtowny a krótki, jakie się w górach zdarzają, podczas którego cienkie trzewiczki moje przemokły do pończoch. Mama bardzo strwożona, natychmiast po dotarciu pod znajomy dach Gasthausu, w kącie sali xxxxxxxxxx na ławeczce pod oknem wyswobodziła mnie z mokrego jak kompot obuwia, zawinęła nogi pledem i takeśmy trwały czas jakiś. Dziewczyna tymczasem poniosła wszystko do kuchni aby przeschło. Tymczasem jakieś dwie, zupełnie suche osoby, starszy pan i siwa pani, siedzące pod przeciwległem oknem sali, obserwowały nas widocznie, bo po chwili starsza pani wstała i wyszła, aby zaraz powrócić i zbliżywszy się do nas podała Mamie parę świeżych pończoch z najuprzejmiejszą propozycyą, abym je włożyła tymczasem, nim tamte będą do użytku. Pogłaskała mnie jakoś całkiem po "ciociowemu" i - że to Mama miała wiadome towarzyskie talenty - wynikła rozmowa, zapoznanie, zasiad przy wspólnym stoliku, a potem w drugim pokoju, gdzie stał fortepian muzykowanie i śpiew Mamy. Starszy pan akompaniował z pamięci Schumanna i Schuberta i straszny był zachwyt nad maminym głosem i śpiewem. Ci państwo, to był Ks. Wittgenstein z siostrą. Ja w pończochach jej, a w trzewikach pożyczonych od Mädli usługującej, asystowałam koncertowi. Potem, kilka razy jeszcze nim wyjechali, robiliśmy razem spacery i odbywała się wspólna muzyka.

W Aussee widziałam też zblizka starego cesarza Wilhelma I-go. Jechał przez miasteczko skądś dokądś- powozem, w asystencyi innych pojazdów. Było to wieczorem. Mimo iż nie ściemniło się jeszcze, pozapalano jak na szabas liczne świece w oknach małego rynku. Deszcz padał, wszyscy stali pod parasolami, ale choć był ścisk, nikt się nie tłoczył i mnie jakiś uczynny szwab

chwycił w decydującym momencie na ręce, zanim miałam czas się na to żachnąć i mignęła mi pod spuszczonym okapem budy w powozie twarz w siwych bokobrodach, twarz starego, dobrodusznego psa. Marna to była przyjemność. W Aussee przyżyłyśmy inne, duże silniejsze wrażenie, a mianowicie burzę górską, z błyskawicami świecącemi raz po raz, grzmotami i piorunami, roztrzaskującemi się na turniach i lodowcach w setne edha, z wichrem opętanym, taką jakiej nigdy przedtem ani potem nie zaznałam. Zdawało się że niema już ratunku dla świata i nigdy nie będzie ranka. Płakałam, mówiłam pacierz, rozpaczałam za Tatkiem i naturalnie dostałam znowu gorączki. Biedna, biedna Mama!

Nie umiem nawlekać po kolei wydarzeń na nitkę, tylko wszystkie czasy n naraz zgarniam w podołek i przesypuję. Boję się pogubić sortując, i ztąd ten zygzak opowiadania.

Jeszcze w towarzystwie kochanych amerykańskich chłopców, byłyśmy z ich matką i moją Mamą w Hellbrunn w Bawaryi. Jakiś pobiskupi pałacyk barokowy z ogrodem pełnym wodnych figlów i marmurami wykładanych ścieżek, schodów i teras, z galeryami o balaskach z marmuru, podobnych do szeregu łydek krągłych, obciągniętych białemi pończochami; jakieś miejsce ani ładne, ani wesołe, a chcące być i jednem i drugiem bardzo natarczywie. Gdyby po niem krążyli ludzie w perukach i atłasach kolorowych, miałoby jaki taki sens. Koncepta ze stołem kamiennym obstawionym takiemiż stołkami, na których prosi usiąść cicerone - dozorca, a które w tej samej chwili, gdy to nieświadomi uczynią, wytryskują z siedzeń strumieniami fontann, krzyżujących się nad stołem, straszliwa głowa z kolorowego fajansu, połykająca w miarowych odstępach wpadającą jej w paszczę kulę przez prąd wody podnoszoną w strumieniu, wszystko to,jest niesmaczne i nawet myszka, którą już trąci, z niesmaku tego nie rozgrzesza.

Typowy przykład tego, co wynika gdy Niemiec chce naśladować Francuza. Niema bowiem wątpliwości że ogród hellbruński zasłyszał coś niecoś o Wer-

salu. Jedynem naprawdę ładnem wśród tej figlarnej wilgoci jest szczelina przez którą widać w ciemnej głębi groty przeźroczy migotliwy słup wody oświetlony blaskiem dnia skierowanym przez inną niewidzialną szczelinę, na którego ruchomem ciemieniu tańczy kołysząc się, wznosząc i zniżając razem z niem - śliczna w kształcie, złota korona, jakaś korona z bajki, wilgotna i niesamowita, korona albo już odłożona, albo właśnie do wzięcia, korona coraz rzadziej już dzisiaj na świecie potrzebna...

Jest też w tym ogrodzie grota, w której ubrana w czarny marmur śpi Eurydyka o ramionach i obliczu białomarmurowem, nad nią zaś odpowiedni Orfeusz przygrywa pięknie na skrzypcach... Eurydyka i dziś pewno śpi jeszcze, Orfeusz także grać nie przestał, korona już chyba jednak nie tańczy dzisiaj w Hellbrunie.

-x-

Zapewne wracając z Aussee zatrzymałyśmy się w Salzburgu a stąd wybrały na cały dzień z odwiedzinami do hr. Reverterów, tychsamych z "Quodlibetu", którzy mieszkali niedaleko miasta w swej willi. Znałam z opowiadania Cioci i Babci wszystkich członków kochanej przez nie rodziny, zarówno umarłych, jak jeszcze żyjących; starego hr. Antoniego, który miał jedną brew dużo wyższą od drugiej i mawiał pono o swoich synach że "Die Buben müssen sekiert werden!", jakiś dziwnie podobny w mej wyobraźni do prezydenta Silbersteina z "Dziadka do Orzechów", podnoszącego palec w górę i mówiącego do rozbrykanego synka tylko dwa słowa: "Panie Fryc!". Znałam i starą hrabinę Annę z domu v. Hartmann, dobrotliwą, bielusieńką staruszkę, ongiś przecudnie śpiewającą - i wszystkie ich "dzieci", dorosłe dziś, siwiejące lub umarłe. Fryderyka, Fryderykę, pochrześniaków hr. Moszyńskiej, Matyldę, Teofila i zmarłą dziewczynkę Adelę o ślicznych złotych włosach. Złocony orzech z ich choinki wisi do dziś w "quodlibecie" obok kokardy z barykad Teofila i wachlarzyka praprababki Heleny, obok pukla jasnego Adeli...

Tożsamość "Fryca" i hrabianki Matyldy zwłaszcza zrobiła na mnie wielkie i czułe wrażenie, gniewało mnie tylko że nie rozumieją po polsku i że

nie mogę z nimi swobodnie rozmawiać. Dziś bardzo mało pamiętam oczyma z tej wizyty. Koszyk ze świeżemi figami, o jakich często mowa w bajkach z "tysiąca i jednej Nocy", ogromny jasny dywan w salonie, na którym stały meble jasno żółte, obite malinowym aksamitem i fotografia Cioci Tereni nad biurkiem hrabianki Matyldy, którą mi tkliwie pokazywała. Mimo niedostępności językowej uderzyła mnie niesłychana serdeczność tych wszystkich osób w stosunku do Mamy i do mnie. Szczegóły rozmów poznałam dopiero za powrotem do domu, gdy je Mama opowiadała Babciom i Tatkowi. Między innymi uwagę hr. "Fryza", /wówczas austryackiego ambasadora przy Watykanie/ na temat urody Babci, którą jako jej rówieśnik pamiętał podlotkiem jeszcze. Złożył hołd piękności Mamy, rzucił wdzięczny duser w kierunku moim, ale rzewnie zauważył że żadna z nas nie może się równać z Babcią. "Sie war verblüffend schön"... On sam był, nawiasem mówiąc, najtypowszym okazem wielkiej rasy, jego rysy, ruchy, sposób mówienia niezmiernie mnie zachwyciły, w przeciwieństwie do jego żony, małej, krępej blondynki o twarzy pospolitej i chmurnej,- Rosyanki, Buturlin z domu. Ale jakże kochaną, odrazu kochaną stała mi się hrabianka Matylda!

Wielkie, zielone oczy w szczególnie smagłej twarzy, cygańskie brwi nad niemi i dziewczęcy uśmiech, mimo zmarszczek na przywiędłych skroniach, śnieżne zęby i czułość niewysłowioną z jaką mnie tuliła i pieściła zachowałam na zawsze w pamięci. Jej niemieczczyznę, ponieważ dużo mówiła o Babci i Cioci, rozumiałam, i wobec niej moje językowe braki mniej mnie krępowały. Pokazywała mi ogród, brzoskwinie na domu, psy domowe, akwarele ukochanej siedziby rodzinnej, Tolletu w Tyrolu, który znałam z opowiadań Cioci Tereni i którego mała akwarelka, także ręką hr. Matyldy robiona przed laty, czerwieni się staroświeckiemi dachami i zieleni majowo od misternie wykończonych drzew w ciocinym "quodlibecie". Na ścianie saloniku widniała też w owalu złotej ramki litografia przedstawiająca hr. Moszyń-

ską, tak mi dobrze znajoma. Tłusta, nieładna damulka w budce z 30tych lat i pęku piór strusich na niej, na którą zwykły były patrzeć moje oczy, gdy mi Babcia lub Ciocia o swej, związanej z nią młodości, opowiadały. Ona to zapoznała rodziny naszą i Reverterów ze sobą.

Hr. Antoni /ów z jedną brwią wyższą!/ znalazł się z rodziną jako kapitan któregoś z austryackich pułków we Lwowie. Hr. Moszyńska ofiarowała przybyłym przyjaciołom apartament w swoim domu, rada z miłej towarzyskiej, a na domiar muzykalnej akwizycyi. Od tej pory datuje się ten związek serdeczny, który mnie jeszcze dostał się w spadku. Podczas gdy Babcia przebywała stale u hr. Moszyńskiej, dostała Ciocia Terenia za jej staraniem posadę u hr. Antoniostwa. Choć jeszcze sama młodziutka, już wykształcona o tyle, że mogła uczyć młodszą dziatwę, Matyldę i Teofila, dokształcając się jeszcze równocześnie sama. Fryc i Fryderyka byli pochrześniakami hrabiny Fryderyki, która całą tę rodzinę tak pokochała z latami, że większą część ogromnego swego majątku im przekazała. Cały dom tworzył jakby jedno ognisko, pełne życia i myśli i od tej pory położenie Babci bardzo się poprawiło. Miała pod tym samym dachem ukochaną starszą siostrę i całą, serdeczną młodzież Reverterów, z którą uczyła się i bawiła. Latami płonęły im wspólne choinki, latami wyjeżdżano razem do dóbr podolskich hrabiny, uczyły się dziewczęta haftu przy głośnem na przemian czytaniu autorów klasycznych, razem płatano -jakże anielsko naiwne!- psoty, urządzano baliki dziecinne na których rolę kamerdynera odgrywał stale "Fryc", pźniejszy ambasador w Petersburgu i Watykanie, nazywany bez pietyzmu przez siostry "kamerdureń". Uchowały się jeszcze malowane kunsztownie zaproszenia przesyłane z piętra na piętro, gdy się balik taki miał odbyć, ze wszystkiemi tytułami kaligrafowanemi starannie przez młode comtessy i baronessy, na małych, wąskich kopertach. Pokazywała mi je w r. 1890 hr. Matylda, gdyśmy ją w drodze do Monachium po latach odwiedziły z Mamą ponownie. Powtórzyła nam też znajome z opowiadań domowych pewne bohaterskie wystąpienie, które okryło chwałą

Ciocię Terenię.

Była z Teofilem i Adelą na spacerze, gdzieś koło Pełczyńskiego stawu. Na rozległej łące,parkanem oddzielonej od drogi, pasło się zazwyczaj bydło. Adela miała malutką, pąsową parasolkę, którą wywijała radośnie. Wtem, pasący się za parkanem spory byczek, wziąwszy ten gest do siebie, puścił się pędem ku parkanowi, przełamał barjerę i pędził ku dzieciom i ich towarzyszce. Wówczas Ciocia Terenia zasłoniła sobą dzieci i stawiła czoło zwierzęciu. Przez moment zdawało się że będzie po wszystkich, ale, o dziwo, bydlę straciwszy z oczu czerwoną plamę, zaryło się racicami tuż przed półżywą bohaterką i posapawszy chwilę, cofnęło się. Dzieci były już dość mądre aby zrozumieć zajście i gdy za powrotem opowiedziały o niem rodzicom, Ciocia stała się przedmiotem najczulszych dziękczynień i starań, zwłaszcza że po przeżytym wysiłku zaniemogła z przerażenia.

Osobliwie brzmi dziś wzmianka o pasących się koło Pełczyńskiego stawu krowach i byczkach. Ależ to były czasy, gdy w miejscu dzisiejszego Hipotecznego Banku szumiał na Pełtwi malowniczy młyn, gdy opodal nieistniejącego już też, zabudowanego muzeami, Przemysłowem i Miejskiem, placu Castrum, bito piloty dębowe w grzęzawisko, na którem stanął gmach Skarbkowskiego teatru. Plac Castrum jeszcze ja pamiętam, rozległy i pusty, ze stadkami małych oberwańców, grających na nim z zapałem w "kiczkę". Podobnie jak spory, narożny placyk, na którym za mej już pamięci stanął gmach Sokoła Macierzy.

Gdy hr. Antoni z awansem przeniesiony został do Wiednia, podążyła Ciocia z nimi. Przedtem wszakże w r. 1840 na zaproszenie chorej i zapewne skruszałej wskutek stanu zdrowia ciotki, Charlotty v. Jordan, pojechała do Pragi, aby ją odwiedzić i poznać. Wrażenia z tego pobytu, niektóre wielce ciekawe dla rodziny, znajdują się w dziesięciu listach Cioci, pisanych do sióstr we Lwowie, Babci nazywanej "Dulką" i Celestyny, której

imię skracano na "Tyna", lub "Tynka". Tam znajdują się wzmianki o podarowanych wówczas Cioci przez "Tante Jordan" portretach familijnych, olejnych i miniaturze Luizy kanoniczki. Ciotka Liza była już zamężna za Antonim Korczyńskim i widzenie z nimi po drodze także opisane jest w tych listach z podróży do,Pragi.- Tante Jordan była, jak z nich wynika, nudną, schorowaną i całkiem nieciekawą "Alte Dame", może skutkiem choroby zniedołężniałą fizycznie i duchowo. Miała być bardzo podobna z powierzchowności do brata Leopolda, co rozczulało Ciocię Terenię, ruda jak i on, z wydatną dolną wargą i pięknemi jego rękami. Bawiła przy niej stale krewna przez Ehrenburgów, stara panna, Tekla La Motte de Frintrop, której ciotka Charlotta cały swój majątek zapisała, czyniąc na rzecz bratanek tylko małe legaty. Z tych legatów wszakże przez Babcię i Ciocię nieroztrwonionych, kupioną została po 42 latach od praskiej wizyty Storożka. Gdy Ciocia bawiła w Pradze, stary radca Jordan już nie żył.

Ale wracam do Reverterów. Ośmnaście lat przebyła Ciocia w ich kochanym domu i choć wrócić zapragnęła w pobliże sióstr do Polski, najczulsza przyjaźń wzajemna trwała lat kilkadziesiąt, po której została olbrzymia jak na dzisiejsze pojęcie korespondencya, najstaranniej chowane, nieprzeliczone arkusze, zapisane ręką starej hrabiny Anny, drobnem, przeźroczyście czytelnem pismem hr. Matyldy. Z Rzymu, Tolletu, Salzburga, z każdego miejsca pobytu, pełne najpoufniejszych relacyi rodzinnych, uwag ogólnej natury, opisów życia sfer dyplomatycznych przy Watykanie, listy wielce zajmujące i jako dokument osobisty i jako źródło dla badacza epoki - kiedyś. Dla nas przedewszystkiem jako rozczulające świadectwo jakości obu tych przyjaciółek, które się czule kochały do śmierci. Myślę że i dla potomków wspaniałego "Fryca" mogłyby się tam znaleźć niejedne ważne szczegóły. Gdy syn jego Mikołaj, zwany w domu Collie, żenił się w Paryżu z ks. Aldobrandini, przyszła do Cioci Tereni paczka spora z cukrami z uczty weselnej i dla mnie okrągłe pudełko prześliczne z kandyzami ze słynnej cukierni "Marquis".

Syn tegoż Mikołaja dał o sobie słyszeć z okazyi afery ks. Sykstusa de Bourbon w czasie wielkiek wojny a potem jako tragiczny aktor w dramacie rodzinnym który się już po wojnie rozegrał we Wiedniu. Zastrzelił swoją żonę i jej amanta. O jakże błogo że świątobliwa hr. Matylda nie dożyła już tej epoki! Za parokrotnych późniejszych moich pobytów w jej domu w przemiłem Fontachhof koło Parsch pod Salzburgiem, miała sposobność napatrzeć się jej cudnej poprostu pobożniści. Była to pobożność najzupełniej franciszkańska. Wesoła- radosne, mądra, dziecinnie prosta zarazem, jakieś przyswojenie do bożej ręki, jakby ptaka, polegające nie na strachu ale na "bliskiej znajomości" pojęć i spraw, które mają imiona najwyższych istot, oglądanych jakby na własne oczy i pozyskanych "na codzień". Cienia bigoteryi, ckliwości. Przeciwnie, nie znosiła jej, nieraz czyniła cięte i śmiałe uwagi na temat księżej, niefortunnej reżyseryi za kulisami wiary, nad której szkodliwością ubolewała wymownie. Wielbicielka i dobra znajoma papieża Leona XIIIgo, który specyalnemi łaskami i przywilejami ją obdarzał. - Miała np. pozwolenie, jako dama orderu Śtej Anny, udzielania sobie samej Komunii Śtej, co czyniła od lat w domowej kaplicy codziennie. Nic jej to nie krępowało w zachwytach nad liryczną poezyą i dobrymi dowcipami za którymi przepadała i na które miała zmysł zupełnie studencki. Pamiętam jej białe, śliczne zęby i zielone oczy zmrużone pod cygańskiemi brwiami, gdy się zaśmiewała z żydowskich anegdotek, opowiadanych jej przez Mamę. Pamiętała bowiem z młodości specyalny typ galicyjskiego żyda z pejsami i w jarmułce, nie mogąc się nadziwować że jeszcze do dziś przetrwał.

Razem z nią zwiedzałyśmy też Salzburg, piękny, jak skomponowany z fantazyi obraz, kute w ścianie Mönchsbergu pustelnie, cmentarzyk z grobem wielkiego Haydna, którego capstrzyk usypiał mnie co wieczora przez tyle lat szczęśliwych!, zanim o innych, donioślejszych jego dziełach się

dowiedziałam, - oglądałyśmy dom Mozarta i jego pomnik na placyku, a potem wstąpiły do małej cukierenki, gdzie uczęstowaną zostałam ciastkami rozmiarów i cnót już dziś zaginionych.

Później znacznie dowiedziałam się o tajemnicy serca tej najmilszej, czarującej świętej. Gdy młodszy brat jej Teofil umarł bezżenny, gdy wskutek jakichś przewrotów, nie wiem czy politycznych, czy innych, majątek Reverterów znacznie ucierpiał i cała ambicya rodziny, ojca zwłaszcza, skupiła się na najstarszym, pięknym i zdolnym Fryderyku, siostra zaś jego młodsza Fryderyka, wyszła za świetnego markiza de Quieuverchin,- o Matyldę starać się zaczął profesor uniwersyteu,/bodajże wiedeńskiego/, Ludwik von Arnim. Kochali się w sobie oddawna i byli naprawdę jak stworzeni dla siebie. Ładni, młodzi, mądrzy i oboje z ambicyami sięgającemi dużo wyżej umysłowo niż
słowo, niż tó w wojsku i arystokracyi wymagane. Tymczasem stary hrabia , z jedną brwią dużo wyższą i sroższą od drugiej, uznał widocznie że i "Mädchen müssen sekiert werden" i sprzeciwił się pomysłowi. Hrabianka Revertera di Salandra, siostra markizy de Quieuverchin, siostra przyszłego ambasadora, którego maryaż w wysokiej mierze zawisł od skompletowania doborowych nazwisk w najbliższej rodzinie, nie może sobie pozwolić na profesora, który jest tylko "von" i o którym Almanach Gotajski niema nic do powiedzenia... Tak czy owak, dość że stanowczy sprzeciw ojca był wyrokiem przeciw któremu nie było rekursu. Wszystko odbyło się cichusieńko, wzorowo jak obyczaj każe, tylko hr. Matylda wypłakawszy się Panu Bogu w rękaw, zrezygnowała wprawdzie ze swego najmilszego profesora, ale również cichisieńko i wzorowo, wykonała jakieś wiążące choć świeckie śluby, mocą których nigdy nie miała wyjść zamąż, umykając ojcu tym bodaj sposobem, swojej ręki, którą tak jak wstrzymał, tak i rozporządzić był gotów samowolnie. Niebardzo rozumiem dlaczego tak właśnie postąpiła, a nie inaczej, dlaczego nie zdołała się zdobyć, zamiast biernego, na postanowienie czynne, ale tłómaczy się to pewno wielkiem przywiązaniem do swoich, którym, kosztem

osobistego szczęścia nie chciała przynieść uszczerbku. Ci istotnie źle na tej ofierze nie wyszli. Hr. Matylda ślubów dotrzymała /Nawiasem mówiąc nie ożenił się też nigdy Ludwik v. Arnim/ i osobisty jej majątek stał się z czasem głównem, a wreszcie jedynem oparciem dla trzech bratanic, córek hr. Fryderyka, które również zamąż nie wyszły i które już jako niemłode panny poznałam w Parsch w r. 1902, gdyśmy bawiąc w pobłizkiem Reichenhall z Mamą, odwiedziły po raz ostatni hr. Matyldę. Najmłodsza z nich

Najmłodsza z nich, Paula, jest świetnie utalentowaną akwarelistką, uczennicą słynnego Carlandiego w Rzymie. Najstarszą, Mary, malował Łaszlo. Smutnie i dostojnie piękna.- Średnia, Annie, najdowcipniejsza. Wszystkie trzy istne "dziewice skał" D'Annunzia, starzejące się z godnością i wdziękiem pośród arcydzieł sztuki i cudownej górskiej przyrody? Na ścianie ich salonu wisi oryginał Raffaela: Madonna z dzieciątkiem,- nad kanapą, jasnożółtą z malinowem obiciem, profilek anioła Carla Dolce. W apartamentach ich osobistych, pełnych słońca i mebli w jasne, wielkie kwiaty, wiszą oryginalne sangwiny Andrea del Sarto i stoi duża, żelazna, okuta skrzynka zawierająca wyprawne brylanty ich umarłej matki Buturlinównej, brylanty, które po niej odziedziczyły, ale których jako niezamężne, nie włożą na siebie nigdy... Nie mają, wbrew obyczajowi starych panien, żadnych psów pieszczonych, ani kotów,- pieszczoną ich ulubienicą jest dziwnie piękna w kolorze i wymiarach, jedyna smukła kolumna, na której opiera się klatka schodowa willi, kolumna z rudego alpejskiego marmuru, którą w braku czego innego przyzwyczaiły do głaskania mimochodem. "Sie hat sich schon daran gewöhnt!"Sie hat's gern" - żartowała smutnawo Paula.

-x-

Pomimo starannej i użytecznej kuracyi, zimę po niej przebywałam jeszcze jako rekonwalescentka. Co soboty miałam u siebie znowu zebranie: zamiast ruchomych gier zaprowadzili Rodzice deklamacyę,- w której odznaczał się

Lio

zapałem i pamięcią Genio Piasecki, dziś profesor uniwersytetu w Poznaniu/ oraz teatrzyk z papieroweni figurkami, na którym "grało się" Balladynę /skróconą oczywiście!/, niektóre ze Śpiewów Historycznych Niemcewicza, "Powrót Taty" i różności, które rozmiar i dobór figurek umożliwiał. Biruta i Pojata Jakóbowiczówny, córki p. Fryni z domu Maszkowskiej, Jadwiga Sawczyńska i Tyńcia Piasecka, choć dużo starsze odemnie, pomagały w tych przedstawieniach. Duszą ich był też ~~xxrwł~~ wraz z siostrą Anielką Karol Maszkowski, póżniej przyjaciel najbliższy Wyspiańskiego, zwany jeszcze wówczas Lolem, który miał zawsze śmiałe, a szczęśliwe w tej dziedzinie pomysły. Raz wykleił mi osobny niby teatrzyk, portyk na greckich kolumnach z metopami i tympanonem, jakby pudełko z jedną tylko otwartą frontową ścianą. Na ścianie, wprost wejścia widniała naklejona owalna fotografia Madonny Sykstyńskiej... Do czego służyć miała ta świątynia, już nie pamiętamy oboje. Byłam nią jednak zachwycona.-

Po produkcyach i przedstawieniu następowała loteryjka, przy której każdy zawsze coś wygrywał aby nie było niczyjej krzywdy, choć między fantami były zwykle jakieś bardziej pożądania godne. Takie, niezmiennie wygrywali goście, nigdy ja - domowa. Tatko prowadził tę loteryjkę i zdumiewała mnie trafność, z jaką każdy wygrywał to właśnie co najbardziej było dla niego odpowiednie, choć niby traf o tem rozstrzygał... Nie odbywało się to zapomocą kart. Kart, jak długo dom Rodziców pamiętam, nawet na żart nigdy w nim nie było! Jeżeli jaka służąca czy krawcowa kłaść chciała kabałę, czyniła to zawsze kartami własnemi. Rozdawane nam były wszystkim podłużne tabliczki z numerami, oraz po garstce szklanych kwadracików. Temi nakrywało się -o ile były na tabliczbe- numera przez Tatka wygłaszane. Kto swoją tabliczkę najprędzej temi szklanemi łazankami pokrył, ten wygrywał pierwszy. Potem następni. Fanty, to był np. ładny kościany scyzoryk, pularesik z pąsowej skórki, ołówek, notes, szczególnie piękna poma-

rańcza, lub gruszka bera, tabliczka czekolady w srebrnym papierku, czasem nawet jakaś książka, czasem ładny garnuszek... Rodzice cały czas byli tym zebraniom obecni i tak znakomicie umieli się z nami bawić że nietylko obecność ich w niczem nikomu nie dolegała, ale przeciwnie, brak ich byłby dla programu klęską. Tatko nie szedł w ten dzień do swojej ulubionej kawiarni Schneidera, gdzie chadzał codzień na dzienniki i na pogwarek ze znajomymi, ale zawsze dowcipem swoim i łagodnym żartem dodawał uroku "sobocie".

Szalony mój temperament z przed choroby przygasł znacznie i łatwiejsza się stałam do prowadzenia. Kręcidło nie straciło jednak swej władzy. nademną i wyobraźnia moja szalała dalej po wiadomych sobie drogach. Każdy wypadek zdawał się puchnąć za pomocą tego cudacznego warsztatu na który go kładłam natychmiast i wykańczałam po swojemu. W związku z takiem "wykańczaniem" zaszedł raz ubolewania godny wypadek, do którego trzeba się tu przyznań.

Oto na jednej z sobót nie zjawiła się, przychodząca jak zwykle z rodzeństwem, mała Zosia Piasecka, dziecko ociężałe i milczące, łagodne i nie biorące jakby udziału w zabawie, słowem dziecko, z którem można się było bawić akurat tak jak bez niego. Nie przyszła. Palec ją bolał i wolała zostać. Rozpoczęły się produkcye, Bronek Maryański przetrzepał już "Piotra Pszonkę Jasieńczyka", ja zrzuciłam z serca i pamięci rzecz przydłuższą o królewiczu Kaźmierzu w katedrze wawelskiej, Gienia tocząc zwycięzko oczyma, płynnie i z patosem rzeczoznawcy, ile że znał naprawdę jeden z pośród nas, prawdziwe Tatry, głosił ich piękno wierszem Pola: "Jak potopu świata fale, skamieniałe w swoim biegu etc." . gdy wtem rozległ się głośny dźwięk dzwonka... Dźwięk, który mnie zawsze do najwyższego stopnia podniecał, otwierając pole wyobraźni, rozległe jak Sahhara... Bronek poleciał otworzyć.- Kto to może być?! Z czem?! Zaraz zaczynałam motać... Może Fryc Spahr? Może jakaś pani, której nie znam, a

która zaprosi nas wszystkich do swej willi koło Florencyi? Najczęściej jakiś zator cudownych możliwości w formie mieniącej się tęczowej piguły, która ważyła się w powietrzu za drzwiami i - dzwoniła. Póki się niewie, wszystko jeszcze może być! Z twarzą naszpanowaną jak blejtram patrzyłam w drzwi za któremi zniknął Bronek. Do chłodnego przedpokoju nie było mi wolno. Wtem weszła Mama mówiąc: "Anibyście zgadli kto przyszedł!". Po momencie Bronek wrócił, prowadząc za rękę małą Zosię, niosącą swój obandażowany palec jak białą, sztywną laleczkę... Tylko Zosia! Żal się jej zrobiło siedzieć samej w domu i poprosiła żeby ją przyprowadzić. Przyszła. Nic nie wiem z jakich obłoków spadłam na jej widok, dość, że uraza do losu, rozczarowanie gwałtowne, zawód przeraźliwy tak mi zakręciły w głowie, żem się rzuciła na grube, spokojne dziecko, na tę "tylko Zosię", i zaczęłam ją tłuc z całej siły... Oczywiście przez mgnienie oka tylko, bo mnie Tatko od małej oderwał, nierozumiejąc niczego, i nic się nie dziwię, że reszta dzieci myślała żem zwariowała nagle.- Ale czyż było możliwem wytłómaczyć, czy im, czy starszym, właściwy powód uczynku? Tylko Zosia! Tego nawet wymówić nie było można głośno. A jednak tylko dlatego ją wytłukłam, że nie była kim innym, czem innem, Bóg wie czem wszystkiem, co mogło stać za drwiami...

Musiałam za karę pocałować Zosię w rękę, co mnie nic zupełnie nie kosztowało, bo istotnie nie o Zosię w gruncie mi szło, tylko o to czego nie było,- potem dostałam szeroki, zimny kompres i musiałam się położyć na mojej żółtej sofce w drugim pokoju i słuchać przez drzwi jak się tamci "dobawiają".

Poza sobotami istniała też inna krynica uciech, stanowiąca jakby antidotum na moje własne bajania, oto słuchanie opowieści, bez początku, o którym zapomniałam, ani końca, który nigdy nie nastąpił - z których jedną "O Kukurydzowiczach", drugą "O przygodach Szczypiańskiego" komponował dla mnie Tatko, osobną zaś cudowną bajkę "O Alfie i Marynku" wymyślała

Mama. Kukurydzowicze to była kresowa szlachta, mieszkająca we dworze dostatnim, gdzieś na Podolu, rodzina ogromnie liczna, której członków wszystkich, gości i rezydentów znałam jak rzeczywistych ludzi. Parali się z hajdamakami, przeżywali wilcze napady na saniach, urządzali kuligi, żenili się, wyjeżdżali do szkół /momenta najbardziej rozdzierające!/. Raz wśród największej zadymki, zjawił się na progu zbiegły z Sybiru syn najstarszy... Do dziś pamiętam wstrząsający opis jednej Pasterki, na którą wzięty został któryś z małych Kukurydzowiczów, wyczarowany świetnem słowem nastrój mroźnej nocy podolskiej z niebieskim śniegiem i gwiazdami, wnętrze kościółka roziskrzone światłami, gdy wpadł posłaniec z dworu, wołając że hajdamacy napadli... Opowieść ta zachwycająca, bywała czasem w sposób całkiem oryginalny ilustrowana przez Tatka. Oto gdy np. opowiadał jak to raz wszyscy siedzą przy stole wilijnym, pod gwiazdą z opłatków u niskiego sufitu, gdy wtem zdaleka odzywa się brzęk dzwoneczków u sanek... Równocześnie zaczynał Tatko dzwonić zlekka nożem o szklankę, nie przerywając opowieści.. Zamykałam oczy i złuda była zupełna. Sanki były coraz bliżej, dzwonki coraz głośniejsze, wreszcie w jakiejś chwili zmieniły a melodyę i rytm, głośne i pomieszane, odzywały się tuż przed gankiem. Ktoś przyjechał... już dziś niewiem kto, ale ktoś najmniej spodziewany, najdziwniejszy, najpożądańszy... Ach, naprawdę, nietylko ja sama, ale i dom Kukurydzowiczów winien był także żem Zosię Piasecką wybiła!- Jeżeli opowieść o nim nazwałam "antidotum", to dlatego głównie żem podczas słuchania sama niczego motać nie miała czasu.

Przygody Szczypiańskiego, to był znowu całkiem inny świat. Świat wspomnień szkolnych Tatka, gdy bywał na stancyi w Samborze, gdy ślizganie się na gołoledzi, na podeszwie oczywiście, uważane było przez profesorów za krańcową rozpustę,- gdy mimo sumiennie płaconego komornego, dawano chłopcom wciąż kaszę hreczaną, w której nierzadko knot od łojówki znajdowali,- gdy raz na parę tygodni zajeżdżała fura z domu pełna wiwendy, której bie-

dne smarkacze nie miały gdzie i nie umiały konserwować, życie studencików w szkołach,ich dole i niedole, korowody z kolegami, typy profesorów, zimno w stancyi takie że woda w miednicach marzła, i ów postój w drodze do oddalonej szkoły, gdy fioletowy i znieczulony mrozem uczniak wpadał na moment do znajomego sklepiku aby nad blachą kuchenki rozmrozić, lub chyba właśnie odmrozić ręce, w które czasem sklepikarka, pani Mikułowa, wkładała gorący kartofel... Szczypiański, to było nazwisko jednego z istotnych kolegów Tatka, najpomysłowszego w klasie, którego coraz to nowe psoty poznawane na raty, w miarę przybywających "rozdziałów" eposu, tak mi się pomieszały z własnemi wspomnieniami, że zawsze muszę się chwilę zastanowić, nim sobie ustalę że mnie na plebańskiej szarej berze nie było gdy się ta gałąź złamała a Szczypiański ramię zwichnął, i że nie wiem jaki naprawdę miały smak owe śliwki z kminkiem na rożenkach, wyjedzone w spiżarni skąpej pani gospodyni, kraszącej hreczaną kaszę łojówkami...

Dziedzina "Alfa i Marynka", to było pogranicze między jawą a snem. Zaczęła się ta opowieść, gdym była jeszcze chora i jak palacz papierosa zgłodniała kręcidła.- Przecież to, że mi powlekają łóżko świeżą bielizną, dają lekarstwo, czasem Tatko pokaże jakie ilustrowane pismo, Józia naleje wiszącą lampę, a Mama wróci z miasta, pachnąca mrozem z czemś szeleszczącem w zarękawku, co ma być dla mnie, to jeszcze nie jest żadnem "dzianiem" ... Wtedy zaczęła się ta bajka. Naturalnie dużo było w niej wpływu naszego najmilszego Andersena, ale były i oryginalne motywy. Np. nie odwiedziny krainy Elfów, ale przeciwnie, Elfy w gościnie u zwykłych dzieci i wynikłe ztąd konflikty. Ciocia małego wisusa Marynka i trodzkę mazgaja Alfa, która nie oryentującsię w elfiku, ich przyjacielu, bawiącym się incognito z chłopcami i ich siostrą Różyczką, /Jakieś przeczucie Jasia na Zaświeciu!/, posądza go o to że uciekł z cyrku i psuje porządne dzieci uczeniem ich niebywałych psot, koziołków i tańców,- psoty tegoż elfika wyczyniane ciotce, a potem pełne wdzięku i humoru zadośćuczynienia,- gdzież zresztą podobień-

stwo przypomnieć sobie szczegółowo tę Fata Morganę na horyzoncie moich dziecinnych oczu, dość że była piękna i nieporównana z żadną ówczesną k książką, pośród których chyba jeden Andersen był hors concours!.

Dawniejsi ludzie umieli całkiem inaczej opowiadać niż dzisiejsi. To dla mnie pewne. Mniej myśleli cudzemi myślami, duże mniej czytali, a bystrzej obserwowali sami. Ktoby potrafił wyczarować dziś dziecku takiemi kilkoma przelotnemi słowami wizję zimy i karnawału, jak mnie to uczyniła Żana Drobczyńska, dyniska przyjaciółka Mamy, gdy świeża od mrozu przyszła raz wieczorem do nas i odpowiadająu na moje zapytanie: jak tam wygląda na ulicy? - sypnęła jak garścią pailletek: "A cóż?! Sanki jeżdżą, dzwoneczki dzwonią, panny w futrach jadą na bal, w nogi im zimno, bo mają atłasowe trzewiczki, a w berlaczach pogubione guziki... Jednej wypadł wachlarz na śnieg, żydówka z maronami go dostrzegła, podniosła, woła... ale sanki już pojechały... Stara żydówka została ze srebrnym wachlarzem... Dwóch panów w cylindrach spieszy się. Postawili futrzane kołnierze. Dziad pod murem ich zaczepia. Weszli do sklepu z pomarańczami... Znowu sanki i dzwoneczki. Przez szyby słychać muzykę... Zaczyna padać śnieg. Świat widać jak przez tarlatan..."

Panny Bronia i Anielka Skolimowskie darowały mi całe pudełko kotylionowych orderów, które im kuzynkowie znosili z balów, zaginione już dziś ze szczętem szkaradzieństwa, które mnie jednak bardzo zachwycały wówczas. Były to płaskie rozety z plisowanego, sztywnego tiulu, okrągłe i kwadratowe, rogate jak gwiazdy, marszczone jak róże, zarzucone złoconemi muszkami z papieru, w których środku widniał nieodmiennie jakiś "objekt" z kolorowego, wytłaczanego en bas relief papieru, bukiecik kwiatów, słońce z szeroko roześmianą gębą, jakaś scenka amoretkowa, owoce, serce przebite strzałą, ale z temi, jak słyszałam, trzeba było uważać i nie można było przypiąć takiego orderu lekkomyślnie. Orderom towarzyszyły bukieciki, owe kalafiorki z farbowanych nieśmiertelników w okrągłym białym manszecie z

kartonu obszytego brzegiem papierową koronką.- Godne akcesorya do ohydnej mody ówczesnej! Doprawdy, historya kostyumów, jak długa i szeroka nie zdobyła się na nic skończeniej szkaradnego jak suknie makartowskiej epoki! Mało jaka ewolucya odbędzie się równie szybkó jak się odbyła w dziedzinie sukni kobiecej i podniesienia smaku wogóle. Obok damulek Maneta, taki dzisiejszy Poiret i Doucet! Takie wreszcie stroje o liniach płomienia i orchidei, jakie przyniosła ostatnia Ilustracya francuzka, zdjęte podczas partyi Polo w paryskiej Bagateli! Porównać je z sukniami młodości Sary Bernhardt, Pauliny Lukki i mego dzieciństwa! Nie, naprawdę, nie wszystko z czasem jest gorsze!

-x-

Jak już raz ze wstydem wyznałam, uczyłam się w dzieciństwie bardzo niechętnie. Gniewały mnie oznaczone godziny i pewna solenność, z jaką Ciocia Terenia zwłaszcza odnosiła się do procederu nauki, czyli, jak mnie się to
przedstawial
przedstawiało: przekładania z miejsca na miejsce zapasu wiadomości. Uważałam że całkiem wystarczy jeżeli Ciocia będzie to i tamto wiedziała. Każdej przecie chwili mogłam ją, gdyby zaszła tego potrzeba, zapytać o wszystko. Wiadomem mi było bowiem że ciocia jest zupełną spiżarnią mądrości... Nie było zatem innej rady, tylko wprowadzać mi w mózg rzeczy niezbędne jakgdyby mimochodem, w formie opowieści czy wspomnień osobistych. Najsłodsza ta istota, ciocia Terenia, czyniła to z czasem wysoce chytrze i skutecznie.

Geografii uczyłam się zatem z relacyi o podróżach hrabiny Moszyńskiej i Reverterów, przemycało się przytem podejrzanie dokładne szczegóły o krajach, miastach, mieszkańcach, różne cyfry i daty, z których nieraz coś na rzadkiem sitku mojej uwagi zatrzymane, przetrwało do dziś... Ilustracyą do komentarzy bywał oszklony "Quedlibet" cioci, mapy i globus... Czechy, Pragę i Hradczyn poznałam dzięki osobistym wspomnieniom cioci z tych okolic, z czasów gdy tam bawiła u ciotki Charlotty Jordan. Wizye Katarzyny Emmerich,

której kult w naszym domu był dawny i głęboki, stanowiły podstawędde poznania Pisma Świętego. Dwie były formy w jakich odbywała się ta cudaczna nauka. Zwykle, gdym sobie rysowała w kajecie, zjawiała się czatująca na tę chwilę ciocia i z jakąś robotą w ręku sadowiła się opodal. I zaczynał się "dyskurs". Dziś dopiero zrozumieć mogę jaki to był wysiłek z jej strony, to chwytanie za "oczko" ciągle prującej się uwagi, ta baczność abym nie zmiarkowała zamiaru... Druga forma, to były gawędy po ciemku, na długiej, wązkiej kanapce...

Dziwaczny ten kompromis z samowolą smarkacza, nie był wynikiem braku pedagogii u moich Rodziców. Powód był ten, że latami po przebytej chorobie płuc, po każdej, najlżejszej irytacyi, dostawałam gorączki i kłucia w powiększonej śledzionie,- i bezradni rodzice woleli tę fuszerkę nauki, którą znosiłam, niż łamanie buntu, lub wreszcie danie całkiem za wygraną. Dziś jeszcze żal mi moich nauczycielek. Były to osoby, albo już wtedy x święte, albo dziś oddawna, dzięki wyszafowanej względem mnie cierpliwości, zbawione. Bardzo, bardzo nierychło miałam polubić naukę!

Ciocia tedy w powyżej opisany sposób uczyła mnie religii, historyi, geografii i języków. Do rachunków miałam nauczycielkę specyalną, pannę JuliębAbgarowiczównę. Odbywało się to już nieco później, byłam zdrowsza i musiałam cierpieć stałe godziny. Rachunki, to była zawsze moja najsłabsza strona i pozostała nią bez ratunku. Taki sam fizyczny odrzut jaki się miewa czasami do kota, węża, myszy,- ja miałam do matematyki. I, pożal się Boże, co to była za matematyka! Tabliczka mnożenia i krótkie, nadaremne mocowanie się z ułamkami. Niemogłam. I tępota wrodzona na tym punkcie i wstręt jakiś, uczyniły mnie w tej dziedzinie kaleką. Biedna panna Julia! Najczęściej bowiem, po godzinie anielskich wysiłków z jej strony i zawziętej bezmyślności z mojej, słyszała zuchwałe pytanie:

- Co pani właściwie na tem wszystkiem zależy? Bo mnie nic a nic! Czy nie lepiej żebym pani coś narysowała? -

Chemii - w sztubackim oczywiście zakresie - , fizyki z książki i takiej samej botaniki, uczyła mnie panna Helena Uścieńska. Łagodne, bladeżółte stworzenie, które jakoś lepiej znosiłam od biednej panny Julii. Botanikę demonstrowała mi z wiosną na żywych kwiatach i trawach, i to było zabawne. Natomiast dla opisywanych w książeczce stosów Volty, kociołków Pappina, tłoków i prądu Galvaniego, pozostałam najzupełniej oziębła i dopiero w schodnickim warsztacie dorosła, w obliczu rzeczywistych mądrych, ruchomych maszyn, zrozumiałam że i one mogą być czemś w rodzaju cudu...

Muzyki uczyłam się zrazu u Mamy, ale gdy jej autorytet okazał się za słaby, dostałam nauczycielkę obcą: p. Brulard. Pamiętam że ślicznie grała, dziwnie aksamitnie, ale była niezaradna, brzydka, stara i kwaśna. Nic się jej nie dziwię. Dość że i te lekcye były raczej parodyą nauki, niż czemś seryo. Za muzyką sama przepadałam, umiałam jej słuchać z pożytkiem bardzo wcześnie i nieobecność jej w mojem dzisiejszem życiu, to jedno z najbardziej bolących wyrzeczeń, ubóstwo, jedno z najmniej spodziewanych. Nie byłabym uwierzyła, że można bez muzyki żyć, bez tej wielkiej, prawdziwej... Bardzo szybko uczyłam się na pamięć wszystkich utworków, lekceważąc nuty i jeżąc się nawet na tę szczyptę mizernego rachowania, konieczną, aby zrozumieć podział taktu. Było we mnie jakieś nieuleczalne cygaństwo i całkiem nie pojmuję dlaczego, mimo jawnej beznadziejności wysiłków, uczono mnie jednak.

Po p. Brulard, wybrano mi nauczycielkę młodszą, przyjemniejszą. Była nią panna Paulina Lachner, uczennica ukończona szkoły L. Marka, która obok K. Mikulego, szopenisty, romantyka, reprezentował we Lwowie kierunek Lisztowski, kładąc raczej nacisk na temperament i siłę. Panna Paulina po kwaśnej i słusznie mną zwykle zgorszonej pani Brulard, wydała mi się miłą i ciekawą. Oczywiście nie kierunek, ani metoda jej gry

zaważyły w tem wrażeniu. działało tu całkiem co innego. Oto panna Lachner miała nieoceniony obyczaj poświęcania znacznej części godziny na wytrząsanie przedemną różnych sensacyjnych wieści z miasta. Była mi jakby arkuszem brukowej gazetki, którego czekałam chciwie. Fortepian był w tem wszystkiem jedynie nieznośną przeszkodą. Każdy "straszny wypadek", oparzenie służącej, upadek z piętra, przejechanie i inne nowiny, jaskrawe i popularne jak oleodruk, umiała opowiedzieć niemal szybciej niż się zdarzyły. Prosta rzecz, że pozatem wiedziałam niemal wszystko odrazu o uczennicach panny Pauliny, które były liczne i niechybnie pilniejsze odemnie. Ulubienicą była Helenka Feiglówna, wzór pono talentu i cnót. Ojciec zaś tejże Helenki, lekarz sądowy, miewał co moment obowiązek oględzin i orzeczeń po rozmaitych samobójstwach, czy morderstwach. Poprostu zawodowo parał się więcej z trupami niż z żywymi.

Panna Lachner bywając w owym domu bardzo często, miała zawsze z pierwszej ręki relacye o wypadkach i szczegółach podobnych. Co zaś działało najbardziej na moją wyobraźnię, to okoliczność, że Dr Feigl był jedynym we Lwowie specyalistą od balsamowania nieboszczyków. O tych to ponurych czynnościach Dra Feigla opowiadała mi panna Paulina z nieubłaganym, holenderskim realizmem. Zupełnie tak samo chciwa byłam tych szczegółów, jak się ich bałam straszliwie. Jedynie też ze strachu przed własnemi słowami, nie powtarzałam niczego z tych okropieństw rodzicom, ani cioci. Półświadomie zapewne lękałam się też aby mi mojej ciekawej "gazetki" nie zawieszono nagle.

Jeden zwłaszcza taki opis balsamowania zmarłego we Lwowie jenerała Jośiki, zatruwał latami spokój moich codziennych zasypiań. Tak się złożyło, że doktor Feigl musiał wykonać swój zabieg nocą, sam na sam w ogromnym salonie ze zmarłym, przy blasku licznych lamp i świec i już dniało, gdy zastrzykiwał mu w policzki jakiś czerwony preparat, aby się wydawał rumiany i nie tak martwy... Ach, i mnóstwo jeszcze innych dodatków w o-

pisie tej nocy... Okropne to było! Gdy austryacki ów dostojnik zachorował, pierwszy raz wówczas widziałam przed domem w którym leżał, wysoką warstwę słomy rozłożoną na ulicy, aby go turkot pod oknami nie drażnił. Pamiętam też wspaniały pogrzeb potem z oddziałem wojska i pułkową muzyką, rydwan pełen wińców i jadącego konno za karawanem rycerza, zakutego w czarną zbroję, z tarczą herbową nieboszczyka na ramieniu. Jen Jošika był bowiem ostatnim ze swego rodu, i tarcza ta miała być strzaskana nad jego grobem. Ten czarny rycerz o zapuszczonej przyłbicy, na karym, zirytowanym koniu, sam mający w sobie coś z żywego trupa i strasznej ballady, ponura wojskowa muzyka i te szczegóły o barwionych o zaranku policzkach umarłego, wszystko to pozostało mi na lata, jak jakaś przerażająca, płochliwie omijana myślą ciemna wyspa, w pamięci,- jak taki czasem jeden kąt w domu, straszniejszy czegoś od innych...

Bo ostatecznie, niech sobie starsi mówią co chcą,- pomimo że dziecko strachu unika i gwałtownie nieraz wskutek tego cierpi - przecie, cudownie jest bać się! Strach tak samo ciągnie, jak odpycha, ten ciemny, rodzący się w nas z niewiadomego... Ten, który jest stanowczo najsilniejszem co dziecko - a może i człowiek wogóle?- nerwami odczuć może... Całkiem słusznie czynią rodzice zakazując niańkom straszenia,- w każdej jednak biografii dziecinnej znajdzie się taki jakiś, balsamowany nocą, Bogu ducha winny jenerał Jošika i taka panna Paulina, która o pośmiertnych dziejach nieboszczyka, co wie - i nie wie, opowie...

Z tych relacyi panny Lachner, obok ponurych medycznych guseł Dra Feigla, przyzostał mi jeszcze we wspomnieniu - mózg małej dziewczynki stróża, rozpryśnięty na deskach paki ze śmieciem w jakiemś sąsiedniem podwórzu... Coś na nią spadło, skrzynia czy brama - nie wiem, w same Zielone Święta. Panna Lachner była w domu i gdy w mgnieniu oka całą ulicę Zimorowicza zalała wieść o nieszczęściu, ona naturalnie poszła coprędzej na poblizkie podwórko, obejrzała zabitą, i przy pierwszej lekcyi

opowiedziała mi o wszystkiem. Przedziwnie trwałe są takie pierwsze zdjęcia na świeżej kliszy dziecinnego umysłu! Nie widziałam sama tej dziewczynki, znam jej żałosny koniec tylko z opowieści, a jednak ów czerwonawy mózg dziecka rozpryśnięty na szarych deskach śmieciarki, nie "pamiętam", ale wprost widzę... Długo, długo kojarzyło mi się to widzenie ze słodkim świegotem szuwaru i zapachem, zwiędłej w słońcu zieleniny brzozowych liści na naszym domowym ganku...

Fascynujące nowiny panny Lachner miały podczas moich lekcyi znaczenie podobne do smaku malagi w rumbarbarum... Przynajmniej było mi lżej przełknąć zło konieczne. Postępy moje były w dalszym ciągu znikome i to pewne że nie one, ale raczej moja widoczna chciwość na nowiny i towarzyskość, jednały mi serce panny Pauliny. Była to niewiasta bardzo "słuszna" o ówczesnej pięknej figurze, w stanie wciętej jak osa, z bardzo pudrowaną, obszerną twarzą, zdumiewająco czarnemi brwiami, która podczas lekcyi - o ile nie opowiadała nowin i nie czyniła uwag fortepianowych - gryzła nieustannie cytrynowe pestki. Miała ich zawsze pełno w kieszeni. Do dziś nie wiem dlaczego to robiła.

Mieszkała z matką i dwiema staremi pannami, ciotkami, naprzeciw nas w jednopiątrowej kamieniczce, na której tynk pomidorowy patrzyłam przez lat dwadzieścia kilka. Dom ten miał zielony, wązki balkon, właśnie przed salonikiem panny Lachner i kryty gontami dach o strychowych okienkach z wygiętą powieką niby oczy wieloryba. Nad tym dachem obserwowało się zawsze w zimie chmary kawek, z których zachowania stawiał Tatko horoskopy atmosferyczne. Nad jego ośnieżonemi gontami stale, przez szereg najmilszych lat, wypatrywało się owej gwiazdy trzykrólskiej, której mroźne jaśnienie było corocznem hasłem do podania wilii...

Raz - pamiętam- stałam przy jednem z okien sypialnego pokoju Rodziców, patrząc z Tatkiem poprzez szyby, całe w dyamentowych bodiakach, na zimowe, granatowe niebo, gdy nagle Tatko pokazał mi nad tym gontowym dachem o wielorybich okienkach gwiazdę, dużo mniejszą od trzykrólskiej i po-

wiedział tonem zupełnie naturalnym, ale takim, który zapamiętałam do dziś:

-Popatrz no, tę gwiazdę ci darowuję! Jest twoja własna. Niech ci ją kto spróbuje odebrać!

Póki byłam w domu, zawsze wiedziałam która to. Potem dom rodziców się skończył, znikła pomidorowa kamieniczka naprzeciw, inna wysoko na jej miejscu wyrosła, ja zamieszkałam gdzieindziej. Gdzieś mi się ta gwiazda od Tatka zamyliła na niebie! Wiem jednak że jest i że mi jej nikt zaprzeczyć nie zdoła...

.... Istniał już i wówczas obyczaj odwiedzania na imieniny i obdarowywania nauczycielek przez uczennice. Odbywało się to zawsze - o ile sądzić mogę - o wiele serdeczniej, samorzutniej i skromniej. Chadzałam na kwartalne "popisy" i takie właśnie uroczystości naprzeciw /skąd dziwnie było popatrzeć na nasze cztery kochane okna!/ gdzie wywierały się na dwu ogoniastych fortepianach ~~kilka~~ razy do roku najzdolniejsze elewki panny Pauliny. Przy jednej z takich okazyi, odbębniwszy mężnie na pamięć pamiętną sonatinę Beethovena, poznałam się z ową niezwykłą Helenką. Nie lubiłam jej z góry, tak jak wszystkie dzieci nie znoszą takich, które im się daje na przykład,- pokazało się jednak że Helenka /szlachetna dzisiejsza artystka pani Helena Ottawowa/ jest dziewczynką bardzo przyjemną i grzeczną. Powiedziała mi coś nawet miłego o mojej sonatinie. Nosiła, tak jak ja, grzywkę czarną, przystrzyżoną nad brwiami, ale podczas gdy z mojego karku zwisał długi i gruby warkocz, ona nosiła włosy krótko obcięte, w kędzierkach. Na szyi miała sznurek różowych paciorek z matowego szkła, których jej czas dłuższy skrycie i mocno zazdrościłam. Już wtedy gra jej była bardzo niezwykła.

Mam wrażenie że panna Paulina, jej matka i obie ciotki, musiały mieć razem wziąwszy jakąś niesłychaną ilość lat. Niemniej oznajmiła mi pewnego razu panna Lachner, że wychodzi zamąż. Zdumiałam, a potem zaraz pojęłam dlaczego. uderzyły mnie od pewnego czasu znaczne melioracye w jej powie-

rzchowności... Duże jeszcze czarniejsze brwi, policzki jeszcze bielsze, loczki krucze nad czołem, zawsze podobne do kudełków perskiego baranka, jeszcze bardziej krucze i pokrętne... I suknie w kolorach bardziej młodocianych, jakieś perfumy o zapachu czekolady, czasem świeże kwiaty przypięte do zarękawka i - jeszcze więcej cytrynowych pestek w kieszeni...

Pokazało się że narzeczonego znałam już z widzenia. jeszcze w jesieni widywałam to maleństwo z czarnemi baczkami i w żółtych trzewiczkach, siedzące między dwoma oleandrami, na balkonie w żelazne, smukłe"iksy", podczas gdy z głębi salonika płynęło wspaniale smutne, przejmujące mnie zawsze "wezwanie do walca" Webera... Panna Paulina grała naprawdę bardzo pięknie. Potem jawiły się na balkonie wszystkie trzy grube Parki i ona sama, co, zważywszy konkurenta i dwa oleandry, było nielada ściskiem. Wprawdzie zasiady te trwały długo w mrok i powtarzały się przy pogodzie stale i zawsze spostrzegałam naprzeciw tego samego misternego gościa - na myśl mi nie przyszło żeby za niego można wyjść... A jednak...

Najwspanialsze na nim było nazwisko. Nazywał się Kościelecki. Piastował jakiś niewysoki, jak i on sam, urząd miejski i przyszłość oblubieńców układała się dość gładko. Pan młody miał się poprostu wprowadzić do poczciwego babińca naprzeciw, wnosząc do wspólnego menażu aport złożony z kilku starych konterfektów rodzinnych, pensyjki comiesięcznej, parawanu o sześciu skrzydłach, jak cherubin - no i samego siebie... Bardzo ciekawie sposobiłam się na ten ślub, na który mnie ciocia wziąć obiecała. Jakaż była jednak cudowna niespodzianka gdy mnie pani Lachner, razem z ciocią, zaprosiła na wesele! Nigdy jeszcze dotąd na żadnem weselu nie byłam i już naprzód pławiła się moja wyobraźnia w jakichś niebywale malowniczych widzeniach.

Niestety, jedno z moich częstych wówczas jeszcze zaziębień, nie pozwoliło mi na bytność w kościele i tylko, zawinięta jak cebula, w futrze i szalu, przeszłam z ciocią od bramy do bramy i znalazłam się pośród we-

selnej parady. Panna Lachner była już panią Kościelecką. Przemiana ta, pierwszy raz tak naocznie oglądana, wydała mi się rodzajem cudu, który mnie przejął do głębi. Choć bardzo łakoma, nierychło otrząsnąć się zdołałam z wrażenia i rzucić okiem na ponęty, pod któremi "uginał" się stół, ba, cały archipelag mniejszych biało okrytych stolików... Wszystkie malutkie pokoiki, znajome mi z poprzednich bytności, zapełniał szczelnie ścisk młodociany. W uciesznej gromadzie stawiły się wszystkie uczennice. My z Helenką liczyłyśmy się do młodszych, najmłodszą była, obecna także pięcioletnia Oktawcia Rojekówna. W tym kolorowym orszaku, błyszczącym grzywkami i warkoczami, motylami kokard i szarf krążyła jak biały wodotrysk, opłyniety przejrzystym welonem, czarnobrewa panna młoda. Postrojone bordeaux i brązowo, popielato i biało-koronkowo, przetaczały się z miejsca na miejsce trzy grube Parki, co było tem większym kunsztem, że wszystkiego było dość na tej fecie - prócz miejsca... Na kanapie i fotelikach pod ścianami, rozlokowano mamy i przynależne do dziewcząt ciocie. Cały szczupły teren wyglądał jak spoisty marcepan, w którym główną ingredjencyę stanowiły podlotki i t. zw. smarkule. Spodem, między tą masą szmyrgał i nurkował pan młody...

Po wręczeniu pannie młodej jakiegoś zbiorowego upominku od uczennic, rozpoczął się obrzęd herbaciany. Wązka klitka, taki akurat tylko futerał na fortepian, wchłonęła dziś, cudem jakimś i stół i długiego jak krokodyl Bösendorfera. Na stole, wśród talerzy malowanych w bukiety kwiatów, stały owe zaginionego dziś gatunku, podwójne konchy porcelanowych etażer, złączone wykrętną, pozłacaną gałęzią, spiętrzone stosami ciastek o kształtach też już zamierzchłych: wielkie banie kawowych pianek, makaronikowe łuki, osypane listkami krajanych migdałów, twarde jak minerał, płaskie kreacye z czekolady na opłatku, cwibaki, mazurki żółte w rzucik drobnych korynckich rodzynków,- zdaleka istne arkusze z muchami, połapanemi na lep! Środkiem, na obrusie okrągliły się strojne torty, o nazwach, które też

pustym stają się dźwiękiem. Torty skaliste, linckie, pomadkowe, daktylowe... Kosze pełne pomarańcz i ber, w białych zawojach serwet zdumiewające ilości gorących maronów... Z domowych osób nikt nie siadał, wszyscy starali się nieba i wszystkich tortów naraz przychylić gościom. Rodzina, jak wymiarkowałyśmy, miała się zjawić dopiero po nas, na kolacyę.

Po herbacie i tortach oznajmiono nam, że będzie przedstawienie. A zatem jeszcze jedna, rozkoszna niespodzianka. W głowę zachodziłyśmy kto i co będzie przedstawiał? Lawirując nie bez przeszkód między skupionemi w ciasnocie sprzętami, ciągnąc za sobą, każda swoje krzesło, zgęściłyśmy się w pokoju obok jadalni, gdzie nas skierowano. Za przepierzeniem improwizowanem z portretów rodzinnych pana młodego i jego wyprawnego parawana, znajdowały się łóżka, przed tą zaś dyskretną kulisą widniał rodzaj szopki, mała scenka, okryta draperyami z firanek, pusta i oświetlona niby kinkietami, szeregiem płonących stoczków. Zastanowił nas brak pana młodego na widowni, zaraz wszakże stał się zrozumiałym, gdy z podłogi scenki, umieszczonej nieco wyżej niż nasze nosy, wynikły małe, kolorowo odziane laleczki i ozwał się z pomiędzy draperyi głos p. Kościeleckiego, naśladujący do złudzenia dyalog szmacianych krasnoludków. On to, nadziawszy na palce te niby osóbki, ruszał niemi, mówił za nie, kłócił się, czynił to wszystko tak zręcznie i ucieszenie, żeśmy się zanosiły od śmiechu. Były to dwie sztuczki: "Berek zapieczętowany" i druga, w której rzecz szła o jakąś bardzo hałaśliwą i pomysłową Małgorzatę... Skakał koło niej dyabeł i organista w szafirowej kapocie, który ostatecznie w zawikłaniu zwyciężył... Każda z łalek piszczała innym głosem, a najlepszy był szwargot Berka i porywczy dyszkant Małgorzaty. Dziwne wrażenie robiły duże, ciemne, majaczące za teatrzykiem, surowe oblicza antenatów pana młodego.

Notując to wszystko, sama sobie nie dowierzam chwilami. Przecie nie tak to dawno jeszcze, a niech sobie kto spróbuje odtworzyć dzisiaj nastrój podobny! Wnętrze skromniutkie, nasycone dobrocią i prostotą serc jakgdyby

dziecinnych, mieszkanko ludzi żyjących wyłącznie ze swej pracy, którzy obchodząc wesele, pomyśleli przedewszystkiem o tem aby zrobić przyjemność gromadzie takich dzierlatek, z których niejedną stokroć lepiej zaopatrzyło życie od nich,- przyjemność, bądź co bądź, nawet w tamtych łatwych czasach kosztowną, poza którą nie było śladu wyrachowania! I te uciesznne maryonetki pana młodego w asyście starych, karmazynowych konterfektów!- Niedawno z największem rozczuleniem przypominałyśmy sobie z p. Ottawową owo wesele, niewiarogodną dziś wręcz atmosferę owej chwili, bladnącą w pamięci tak, jak smak i nazwy niemodnych już tortów, skalistych, linckich, pomadkowych..

Pogodnie zaczęta nowa era w mieszkanku naprzeciw, nie trwała długo. Czy antenaci namotali coś na wąsach, czy sam los tak chciał, dość, że zdawało się czas jakiś, że w miejscu gdzie pieczętowano Berka, stanie kołyska a nowożeniec o nazwisku większem od siebie, zostanie ojcem... Czego tam dożył sześcioskrzydłowy parawan, niewiem, zasłyszałam tylko rozmowę babciów przy komodzie pod oknem, z której wynikła jakoby jedna z dwu grubych ciotek pani Kościeleckiej wyznała cioci Tereni, że: "pocałowałaby się tam gdzie nie może z radości że zamąż nie wyszła..."

Lekcye z panią Pauliną na zawsze się przerwały. Jedynym zabytkiem moich z nią studyów jest owa słynna "polka nieśmiertelna" /która nadomiar była zawsze walcem/, grywana jeszcze przezemnie do niedawna, ostatni, szczątkowy ślad mojej fortepianowej niesławy.

-x-

Z rozkoszą wspominam sobie wakacye w Mikuliczynie w r. 1881. W drodze ze Lwowa Mama, Babcia, ja, czteroletni Adaś i służąca Marcelka, nocowaliśmy w Kołomyi. Wstawszy o świcie w cudny, czerwcowy poranek, zaprowadziła mnie Mama przed jakiś pomnik na rynku, cały w łunie wschodzącego słońca.

-Popatrz, to jest właśnie ten Karpiński, który napisał "Kiedy ranne wstają zorze"!

Znałam go już z kochanego "Przyjaciela Ludu", którego czytywała mi

nieraz ciocia. Pamiętałam że gdy miał przyjść na świat, napadł na dwór Karpińskich opryszek Dobosz. Usłyszawszy co się święci, nikomu niczego nie zrobił, zażądał tylko aby to dziecko mógł trzymać do chrztu. Miałam już Osiem lat, poprzednia podróż po Styryi i Bawaryi, nauczyła mnie patrzeć z pożytkiem i całkiem dorzecznie się oryentować w nowych wrażeniach. Wskutek tamtych przeżyć, miałam się za coś osobliwego, korespondowałam po niemiecku z Frycem Spahr - zrazu naturalnie z pomocą Mamy lub cioci,- góry i lasy szpilkowe przypominały mi Gleichenberg i Aussee, byłam uszczęśliwiona.

W Mikuliczynie mieszkaliśmy w domku niejakiego Greinera, wysoko nad zboczą okrytą łąkami, na razie same, gdyż Tatko na wakacye nadążał zwykle później, terminem roku szkolnego skrępowany. Poniżej tej rozległej zboczy rozciągała się w dolinie wieś, jeszcze wówczas typowa wieś huculska, niesłychanie rozrzucona, ani podobna zapewne do dzisiejszego Mikuliczyna. Żadnych will ani dworków, od każdej chaty do następnej przestrzeń ogromna. Rychło odkryłam koło naszej siedziby pewien karkołomny wysoki przełaz i łączkę poza nim. Takiej masy niezabudek, szczawiów wyższych odemnie, jaskierków, firletek, kaszek, nie widziała nigdy z tak blizka. Buchnęłam w nie twarzą jak długa, tarzając się jak pies w zaroszonej, wysokiej trawie. Pamiętam użycie szalone, szelest fioletowych dzwonków koło uszu, niebieskość niezabudek pchających mi się między rzęsy, zapach miętej, przygrzanej słońcem zieleniny... Mam wrażenie że tak od serca przywitałam się z tem wszystkiem pierwszy raz dopiero na tej łączce. Trawa była tak wysoka, a ja taka mała, że patrząc ku górom nie widziałam wcale drugiego planu, tylko odrazu nad samemi kaszkami i jaskrami, daleki, niebieski łańcuch gór nieznajomych... I to powietrze pierwszy raz zaznane - to powietrze! Takie samo, umiłowane do śmierci, z jakiem niestety w swoim czasie - podobnie jak z Lukiem - pożegnać się dość przytomnie nie zdążyłam...

Nigdy już potem nie spotkałam takich polnych kwiatów. Była zwłaszcza jedna łąka spadzista bardzo, którą się szło w dół po wodę, wąską, skośną ścieżką, między samemi kwiatami. Rumiany, mieczyki amarantowe, wielkie, białe, pachnące koniczyny, skabiozy liliowe i żółte,- kwiaty jakieś kosmate błękitno granatowe, podobne do grubych krępych gąsienic,- czy ja już wiem dziś co za cuda i jak się one mogły nazywać? Dość że się napatrzeć, nacieszyć nie mogłam. Wodę brało się ze źródła, pod prostopadłym obrywem leśnego jaru. Porastały go świerczyna, kalina, maliny. Dostęp do samej wody ślizki był i stromy, pokonanie tych przeszkód było zawsze satysfakcyą osobną i rozkoszną. Łąkę tę i dróżkę wspominać będę zawsze jako jeden z ośmiu cudów mojego dziecinnego świata.

Tam też widziałam najpiękniejszą i najszczęśliwszą ze znanych mi kaczek. Chowała się z kurami Greinerów i była dzika. Złapano ją przed rokiem, obcinano zawsze skrzydła aby nie mogła polecieć. Po roku dano jej pokój i chodziła sobie swobodnie między domowym drobiem. Śliczna była jak jaki klejnot, mieniąca w słońcu, tylko pono wielce nietykalna. Szłyśmy raz z Marcelką do źródła i mijały miejsce które zawsze bardzo mnie inspirowało - zbocze obcięte jak olbrzymi, skośny przekładaniec, warstwa ziemi i warstwa kamienia, różnobarwne pasy nachylone raz na zawsze w jedną stronę, po wierzchu porośnięte świerkowym lasem, dla moich ówczesnych oczu niebotycznie wysokie i ginące gdzieś w tajemniczym jarze, którego dna nie śmiałam być ciekawą. Bardzo się lubiłam bać tego widoku, wyobrażając sobie zawsze dziwy na jego tle. W chwili gdym się raz zagapiała na ową pasiatą ścianę, tonącą właśnie w cieniu, Marcelka wrzasnęła:

- Kaczka! nasza kaczka! - Istotnie zobaczyłam dziką kaczkę lecącą ciężko przez słoneczne powietrze wprost ku groźnemu przekładańcowi. Leciała tam właśnie jak w dym. Cudowne barwy świeciły na jej piórach,- im pasiate tło było ciemniejsze o tej porze, tem ona jaskrawiej błyszczała. - Że też ona się nie boi! pomyślałam z zachwytem i radością. Ale nie bała się, tylko

najwidoczniej, poczuwszy siłę w skrzydłach, skorzystała z pierwszej okazyi aby drapnąć. Jakaż ona musiała być szczęśliwa! - Są czasem jakieś bez zrozumiałej racyi ostrzejsze klisze w kasecie naszej pamięci. Ten kawałek bożego świata i lecącą przezeń dziką kaczkę mam w oczach wyraźnie, jak jaki rzeczywisty obraz, któremu brakuje tylko ramy i gwoździa.

Istotnie nie wróciła już nigdy między kury, w mojej tylko głowie została na zawsze.

Z domkiem Greinera sąsiadowało gospodarstwo zasobnego hucuła, który hodował mnóstwo owiec. Owce te pasły trzy dziewczyny podrostki. Codzień widziałam jak wieczorem wracały z całem stadem z pastwiska. Musiało być odległe, bo przed zachodem nigdy nie schodziły z połoniny. Bardzo mnie korciło zapoznać się z niemi. Podniecały mnie wielce jaskrawe stroje huculskie; po płótniankach dyniskich i żórawieńskich, wydawali mi się ci ludzie jakby jakimś teatrem, ogromnemi krasnoludkami, zaczarowanemi lalkami, które chodziły i gadały, a chaty ich całe z ciemnego drzewa pachniały mi bajką o chałupce z piernika. Długo nie mogłam się uspokoić po widoku niedzielnego nabożeństwa w cerkwi i tego ścisku, który wyglądał naprawdę jak scena jakiejś sztuki. Po latach czterdziestu pięciu - myślę, jakkolwiek jeszcze i dziś jaskrawy, tłum ten musiał poszarzeć. Niewiem czy noszą dziś jeszcze huculi w Mikuliczynie szafirowe lub czerwone sukienne hajdawery, jak wówczas, pasy nabijane mosiądzem, - czy jawią się na kobiecych głowach dwie czerwone włóczkowe przepaski, jakby greckie, plecione w warkocz i przetykane mosiężnemi guzami2 Czy od warkoczy dziewczęcych wiszą w niedzielę grube, długie chwasty z pąsowej włóczki? Usłużna, tania żydowska tandeta w kramach gasi przecie wszędzie koloryt wsi; błogie, zdrowe, roślinne barwy dawnej chłopskiej odzieży przedrzeźnia obrzydle trutka anilinowych grynszpanów, różów, gumigut...

Poznajomiłam się wreszcie z małemi hucułkami. Najstarsza z nich nazywała się Kataryna, miała chudą przyjemną twarz z bystremi, siwemi oczyma,

włosy tak jasne że aż białawe, schowane zawsze pod czerwoną chuściną, związaną w węzeł pod brodą. Dwa wełniane, pąsowe fartuszki, jeden przedni, drugi tylny, czyniły ją podobną do wpółotwartego, smukłego strąka. Na ramionach nosiła zwykle szarą jak i koszula, płócienną płachetkę. Bardzo była śmiała i zabawna. Nie umiałam jednak zrazu po rusku i trudno nam się było porozumieć. Bawiło mnie że zna wszystkie owce zosobna, jak ja znałam swoje lalki i książki, że o każdej coś potrafi opowiedzieć. Wszystkie trzy dziewczynki były najętemi pastuszkami, których płacę pobierały matki, mieszkające daleko w górach. Straszną miałam ochotę pójść z niemi kiedy na to wysokie, odległe pastwisko.

Pragnienie to było o tyle zrozumiałe, że nie było żadnych innych dzieci w pobliżu. Mama dla cierpienia serca nigdy po górach chodzić nie mogła, Tatko miał jakieś zamówienia artystyczne, które go zajmowały, Babcię absorbował Adaś,- ja zaś zdana jedynie na moje kręcidło i własny przemysł, żądba byłam przygód. Rozstrzygnął wreszcie wątpliwości rodziców sąd panny Filipki, dojrzałej wielce córki ruskiego proboszcza, która bywała u Greinerów, mówiła czysto po polsku, miała pomimo brzydoty dotkliwej, humor bajeczny i bardzo mi sprzyjała. Zaręczyła że mogę iść z temi dziewczętami nie na dzień, ale na tydzień choćby i ani krzywdy, ani zgorszenia nie zaznam. Istotnie, choć potem na całe dnie przepadałam w tej krasej kompanii, nigdy ani oczy moje, ani uszy nie zaznały nijakiego uszczerbku... Co do uszu, to nawet wręcz przeciwnie.

Zaczęły się wspaniałe czasy. Raniuteńko przylatywała po mnie Kataryna - i ta wczesna pora była jedyną, niełatwą stroną nowego stosunku! - Szłyśmy między płotami z dranic, kamienistą dróżką, pełną drepczących owiec, ku lasowi, przez który trzeba się było piąć dość długo. Świerki w nim rosły ogromne, owieszone brodami bladozielonych mchów, rosły paprocie piórzaste, sięgające moich uszu, grzyby i -pod koniec lata- wisiory szafirowej gencyany... My z Kataryną szłyśmy zwykle z tyłu, potem owce, a przodem tamte

dwie, świecące pąsowemi łupinami swoich zapasek. Każda z pastuszek miała wełnianą torbinę w kratki czarno-białe, zawieszoną na postronku przez plecy, w niej zapasy ubogie na cały dzień, siarniczki i kozik. Ja miałam także tórbkę podobną, tyle że pąsową. Dostałam też z czasem kierpce, które tam nazywają się postoły.

Pastwisko do którego się szło, była to bardzo spadzista połonina, porosła jałowcami, na którą wychodziło się z lasu. Pobrzeże tego lasu to był jakby jeden wał kwiatów przerosłych maliniakiem. Z najwyższego punktu polany rozciągał się na góry widok przecudny. Zmiarkowałam rychło że pasienie owiec nie jest taką znowuż najprostszą robotą. Rzadkie były chwile, kiedyśmy się wszystkie cztery mogły zgromadzić na miejscu. Ale zdarzało się że dziewczęta bawiły się ze mną nawet w gry jakieś, których nazw nie pamiętam, a zasad niezupełnie dobrze rozumiałam i wówczas. Zupełnie odrębne, dość nawet skomlikowane mi się wydały. Dużo było przytem biegania i śmiechu, szybkiej gadaniny i śpiewanek. W południe rozpalało się ostrożny ogieniek gdzieś w cieniu i nie na wietrze, piekło kukurudzę, ziemniaki i grzyby czasami, opiekało placki z mamałygi, pogryzało bundzem, owczym serem,- poczem występowała na deser czekolada z mej tórbki, lub blaszane pudełko z lepkiemi rocks-dropsami...

Nauczyły mnie wycinać kozikiem z młodych świerków kawały kory na króbki, które potem gładko ostruganemi patyczkami spinało się po bokach,- ze szczytu świerczka sporządzić zgrabną kołotuszkę, mątewkę do kwaśnego mleka,- dowiedziałam się że biała jodłowa żywica, gdy na niej węgielek położyć, pachnie najpiękniej,- że nie wolno, broń Boże, pluć na ogień,- że grzyb znaleziony zaraz w lesie trzeba oczyścić kozikiem żeby się nowe nasiały,- nauczyły mnie wreszcie grać na drewnianej fujarce tak jak same umiały. Tylko do owiec nie nabrałam przekonania. Odrażały mnie ich czarcie jakieś twarze, bek niepokojąco ludzki, brudna, skołtuniona wełna, masa pcheł i zapach. One też były winne że nie można się było ciągle ba-

wić z pastuszkami.

Najcudniejsze wszelako, czego zaznałam na tych moich pasterskich włóczęgach, był głos Kataryny. Pierwszy raz usłyszałam go znienacka, zdaleka i pewna byłam że to ktoś obcy, całkiem dorosły zaśpiewał. Zapędziłyśmy się trochę w jar z tamtemi, Kataryna przyzostała pod lasem i nagle ztamtąd gdzie była, nadniósł się, nie śpiew żaden, nie wołanie, ale to coś, co tylko górale umieją, melodyjny jakby okrzyk, z kilku wysokich nut złożony, dobyty nie z głowy, ale z piersi, silny, tak cudnie przeczysty, taki jakiś masywnie złoty,- że dziś, po latach, poznałabym go chyba natychmiast. Doprawdy pojąć było trudno skąd w tym trzynasto-czternastoletnim, chudym strąku bierze się taka rakieta dźwięków, świetlista, wysoka, lekka a mocna, która potem w drugiem i trzeciem echu, wracała słabsza, ale taksamo nieskażenie czysta, nieprawdopodobnie wysoka. Nie umiałabym była jeszcze wówczas tak tego powiedzieć, alem stanęła jak wryta. Kataryna zdziwiona była mojem zdziwieniem. Cud, na moje prośby, powtórzył się zaraz, kilkakrotnie, zawsze jednako zdumiewający. Choć mała, słyszałam śpiew często, oswojona byłam z głosem Mamy i pani Ledererowej,- pamiętam skrzypce Fryca, nie było dla mnie wątpliwości że to co robi Kataryna jest niesłychane. Ona zaś wytłómaczyła mi że to się nazywa "wiukać" i trzeba to w lesie koniecznie umieć. Inaczej ktoś co się zgubił, czy przyzostał, nie usłyszy.

Gdy Mama usłyszała to wiukanie, osłupiała jeszcze bardziej odemnie. Nie zaznała już od tej chwili spokoju i -choć to było szaleństwem w naszych skromniutkich warunkach - wymogła zgodę Tatka, abyśmy Katarynę zabrali ze sobą do Lwowa i żeby się śpiewu uczyła. W kole naszych znajomych dość było przecie i artystów i pedagogów muzyki, coby się na takim cudzie poznali i coby go poprowadzili bezinteresownie. Kataryna miała kopalnię złota w krtani, Mama zaś energii i entuzyazmu całkiem dosyć, aby zdobyć dla niej wykształcenie i przyszłość świetną. Muzykalność słuchu niezawo-

dną u rusinów posiadała też Kataryna w najwyższym stopniu.

Rozpoczęły się rokowania, najpierws z chlebodawcami Kataryny, potem z jej matką, po którą do trzeciej wsi trzeba było posyłać. Ona sama gotowa była odrazu. Korowody bez końca, jak przy kupnie gruntu, chytra chłopska pozorna tępota dla zyskania czasu do namysłu. W każdym razie wypadek niebywały. I znowu z ruskiej plebanii przyszedł sukurs. Tym razem sam kanonik, ojciec panny Filipki zaczął tłómaczyć właścicielom Kataryny że dziewczyna los zrobi i że to łaska, nie interes ze strony "państwa". Wreszcie doszło do zgody. Mama napisała do pani Ledererowej, do panny Złobickiej, do panny Róży Ziętkiewicz - prostując ścieżki złotemu głosowi Kataryny. Było to już niemal na samem odjezdnem. Wtem, najniespodziewaniej rozwiedła i matka i chlebodawcy, lamenty gwałtowne, pierwsza za "doczką", której i tak cały boży rok nie widywała, widując tylko jej biedny zarobek, drudzy za tanią sługą, łatwą wszakże do zastąpienia przy baranach przez byle kogo. Oświadczono bez ogródek że "państwo" musi coś płacić rocznie za Katarynę matce. Ręce Mamie opadły. Nie była tak naiwną aby uwierzyć że baba na tem żądaniu poprzestanie. Zaczęłaby się licytacya bez końca, a tu i na początek ledwieby było starczyło środków. Kataryna została nadal przy swoich owcach. Ani się domyśliła kiedy że ominęła ją dola świetna, kto wie jak świetna, może taka jak sława innej pasterki owiec, szwedzkieĝ śpiewaczki Jenny Lind, tej samej, którą Andersen uwiecznił w swej bajce "Pod wierzbą", i w której do końca życia pono się miłował.

Z wakacyi w Mikuliczynie zachowałam wspomnienie jakiejś mało wyraźnej gromadki osób z którą się rodzice w ciągu lata zaznajomili, jacyś państwo Eminowicze, Święciccy,- panna Wanda Święcicka pływała ślicznie w czarnozielonej wodzie Prutu pod skalistem urwiskiem lasu, bodaj że w Jamnie,- profesor Bąkowski, który badał górskie kałuże i bagna, znawca wymoczków, w dziwnem okryciu głowy z jakiejś osobliwej plecionki,- młody pan Menda, panny Łempickie... W gronie tem odbywały się spacery i duża wycieczka na

Czarnohorę, na którą i ja zostałam wzięta. Jechaliśmy wszyscy konno na drewnianych terlicach, przez las, stromo jak na piec, potem przez kamienistą zbocz,- ale wyprawa skończyła się ucieczką z powrotem w dół, na łeb na szyję, gdyż straszliwa ulewa spłukała nas poprostu z pochyłości. Ja odbyłam tę powrotną drogę w worku z ziemniaków, przytroczonym do pleców hucuła, który ze mną biegł pędem już nie drogą, ale korytem górskiego s strumienia, w który się zmieniła w momencie. Potem mokry, niezneśny nocleg w pobliżu szluzy na Prucie, huczącej jak piekło...

-x-

Po kolei, czy nie po kolei, dość że przymykam oczy i przypominam...

Nasz salon przy ulicy Zimorowicza. Chwila już po dniu, a jeszcze przed zapaleniem światła. Wielki pokój tonie w mroku. Gdzieniegdzie błyskają wązkie prążki ram na znajomych obrazach, błękitnieje bladawe odbicie okien na politurze fortepianu. Widzę coraz mniej, czuję wszakże wszystkie domowe sprzęty, jak obecność osób do których mamy zaufanie bez granic i kochamy je, ani o tem myśląc, tak jak się bez myśli oddycha. Czułam że cokolwiek stanie się ze mną i tym pokojem, dla mnie b ę d z i e on zawsze. Nie zapomnę jego przestrzeni, jego zapachu, rozmieszczenia obrazów i mebli. Dziwnie mocno wiem że na pamięć moją mogę tu liczyć i uświadamiam to sobie jak rodzaj zasobu i udręki równocześnie.

Obok pieca trymotka z białą lampą, nad nią grottgerowski portret Marcela i wkoło niego na ścianie fotografie Lituanii. W trymotce "gościnna" porcelana, wyjmowana zawsze we czwartki, gdy wieczorem, co tygodnia przychodzili goście... Za piecem rulon transparentów, wysokich niemal jak on sam, nadpalony brzegami. Jeden: Jagiełło i Zygmunt August w koronach i paradzie, drugi: Polska, Ruś i Litwa. Stały te osoby w zwiniętym rulonie, namalowane w swoim czasie przez Tatka do jakiejś narodowej okazyi i gdy podczas jednego z czwartków rzucił ktoś z palaczy nie-

dogasłą zapałkę za piec, oliwą napuszczone płótno buchnęło wysokim płomieniem. Podczas gdy, nerwowy do śmieszności Chochlik Zagórski uciekł na widok ognia i zemdlał gruntownie w przedpokoju, otoczony ratującemi go paniami, Tatko z panią Aszperger wydobyli gorejącą trąbę na środek salonu i ugasili dość prędko. Niemniej Tatko oparzył sobie mocno palce, a p. Aszpergerowa osmaliła "filuty", jak nazywała swe siwe loczki nad czołem...

Na głównej ścianie nad kanapą "Wojna", z lewej serwantka prababki, z prawej biurko Mamy. Po śmierci pana Tadeusza Żulińskiego kupili je rodzice na pamiątkę. Na niem kałamarz z centaurem, obok długi liść chrzanu z francuzkiej majoliki z pełznącym przez jego rozdziałek ślimakiem. Na liściu pióra i ołówki, mała muszelka z pieczątką herbową i wązkie żłobkowane pudełko na pocztowe znaczki. Nad biurkiem smutny chłopczyk Grottgera, Grabińskiego "Brzoza", okrągły widoczek olejny na miedzi, jakoby Claude Lorrain, jedyny pono, poza jego miniaturą, przedmiot w domu pochodzący od M. Jacques'a Monné i tej rodziny wogóle,- medalion Matki Dory, śpiący piesek Grottgera i tamte wszystkie kochane obrazki...

W szafie orzechowej, tej koło drzwi od pracowni Tatka, leży na półce maminej szafy grottgerowskie Album. Rzadko kiedy ogląda je ktokolwiek, ale wówczas zawsze jestem przy tatkowym łokciu, gdy sam obraca kartki ostrożnemi, rozumnemi swemi rękami - i patrzę. Jest to zawsze jakby jakieś nabożeństwo rzadkie i solenne. Mało kto umie tak patrzeć jak trzeba. Mnie, z oglądających najnabożniejszemi wydały się oczy nieładnej niemłodej litwinki Malwiny Ogonowskiej, córki profesora literatury w uniwersytecie bolońskim, która dni parę była u nas gościem w domu, potem Anny Potockiej z Rymanowa, z domu Działyńskiej, a wreszcie mojej najmilszej, niezapomnianie uroczej i dobrej Stasi Tarnawieckiej, Szwarcównej z domu, córki dyrektora Tow. Muzycznego, jednej z ostatnich tego typu i polotu entuzyastek na świecie....

W tamtej szafie koło pieca, na zwój ze strojami Matejki nawinięty, scho-

wany jest ów czwarty, ocalały smok chiński, faworyt wielki Tatka i wisi Tatkowe futro z szopów. Tak cudownie wpadać ciepłą twarzą w jego podniesiony, ośnieżony kołnierz, gdy Tatko do domu wraca i wiedzieć że już dziś nigdzie, całkiem nigdzie nie wyjdzie!! Że niedługo wyjmę szachy z pudełka i przy jasnej lampie z trzema sfinksami na postumencie grać zaczniemy oboje, a gdy zbliżać się będzie pora mego dobrze zasłużonego mata, Tatko uroczyście i nieco ponuro zanuci marsza weselnego z Lohengrina, - znak umówiony między nami, gdy klęska już blizka. A po partyi wywiady bez końca i kochane, niewyczerpane wspominki o Tatkowej młodości...

Strasznie kochałam tę ojcową młodość. Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których szczęśliwy był i wesoły, znałam z rysunków mnogość ludzi, którzy go otaczali, którzy mu byli blizcy i drodzy. Więc najpierw dziadków: Babkę, Karolinę z Komarnickich, męża jej, dziadka Ignacego, siostry tatkowe Emilię i Anielę, brata Edmunda,- dzieciństwo Tatka w Daszawie, gdy to już wówcza prawy aż do sztywności, sprawiedliwy dla samego siebie, po zbiciu jakiejś z cennych porcelan w serwantce, sam, nie czekając na karę, stanął sobie w kąciku salonu na pokucie. W Daszawie umarła najmłodsza siostrzyczka Tatka, Sabinka, zażywszy dane jej przez pomyłkę z rąk niańki, palące jakieś lekarstwo zapisane dla konia i do stajni jeszcze niezzabrane... Pamiętam jak się Tatko dzieckiem bał organów w Żydaczowie, gdy go zabierano na sumę,- jak raz po wilii na sianie pod stołem zasnął pod namiotem zwisającego do ziemi obrusa, wśród bakalii i podarków, a potem, gdy brak dziecka spostrzeżono, sądny dzień się zrobił i szukanie od strychu do piwnic,- dopiero pies, mądry kondel domowy odszukał "Loluńcia".

Jednego zwłaszcza epizodu lubiłam słuchać po niezliczone razy. Był to obraz nocy miesięcznych w Lubieńcach, w które, gdy była pogoda, Ojciec ze stryjem Edmundem, uciekali wbrew zakazowi, niskiem oknem w sad, a potem na pola "do księżyca". Stryj ze skrzypcami - Tatko z gitarą. Małe chłopcy,

podrostki zaledwie, lecieli w koszulach daleko miedzami, między zboża i konopie i tam dopiero urządzali sobie koncert, jak polne koniki, jak jakie chochły łąkowe...

Strasznie ich lubiłam i czasem wręcz trudno mi pojąć dlaczego nie byłam tam razem. Znam tak dobrze krajobraz, równię wesołą, przez którą płynie spokojny, szafirowy Stryj, pola żółtych owiesków i konopi, olbrzymie zawieruchy ślazu o bladoróżowych kwiatach, podobnych do róż pełnych, jarzębiny strojne koralami przy gościńcu...

A i te, duże późniejsze wakacye tatkowe w Skolem, gdy ciotki moje były ślicznemi pannami, gdy się Lucyan Tatomir starał o ciotkę Anielę, a babka, rozmiłowana w literaturze i poezyi, obdarzona konspiracyjną pamięcią ówczesnych ludzi, całemi pieśniami deklamowała "Pana Tadeusza", umiejąc go całego na pamięć. % Książkom Mickiewicza nie wolno było bowiem krążyć swobodnie, i zwykle tylko jakiś jeden śmielszy egzemplarz kursował ukradkiem po okolicy -. Stryj akompaniował na skrzypcach, a Tatko na gitarze do chóralnych śpiewów, także niezbyt cenzuralnych... Śpiewało się ciszej "Za Niemen", "Warszawiankę" już głośniej, a także i Ständchen Schuberta... Babka w towarzystwie Hanusi, sługi dawnego typu, która jeszcze i mnie, już jako staruszka, wodziła po latach z okładem czterdziestu, zbierała z pasyą grzyby... Wieczorami czytało się głośno dobierane umiejętnie przez pana Lucyana dzieła naukowe i historyczne... Raz na tydzień przynosiła urzędowa i jedyna w Galicyi gazeta "Lembergerka" dodatek "literacki" do tejże "Lwowskiej Gazety", biedne, skrępowane cenzurą jak powrozem, ale niedwuznacznie na ruch polskiej myśli ciekawe "Rozmaitości".

Pamiętam też niemal, pewien zimowy przyjazd Tatka ze Stryja do Skolego, kiedy to, naprzeciw żółtego dyliżansu -było to na zjeździe z ośnieżonej Kłódki - wyszedł dziadek Ignacy i zamiast powitania, wymówił tylko dwa słowa:

-Mickiewicz umarł! -

Czułam zawsze razem z Ojcem to nagłe ściśnienie młodzieńczego serca i niemożność wyrzeczenia słowa przez resztę powrotnej drogi...

~~Potem Monachium, Drezno, Paryż, o czem zaraz opowiem...~~

A potem Bereźnica, macierzyński dom pani Sabiny z Pawlikowskich Korzelińskiej 1° voto Dobrzańskiej. Jej zacny mąż, poszukiwacz złota w Australii, który wszakże tylko z cnotą z za mórz powrócił, a którego pani Sabina dlatego jedynie poślubiła, że mieszkając po owdowieniu sama w pobliżu Karpat, bała się straszliwie słynnego opryszka Neczeperowicza, który w wówczas na podgórzu grasował. Roił się zawsze jej dom od gości kochanych. Więc: pani Julia z Cukrowiczów Śliwińska z mężem Alojzym, t. zw. "poczciwym Lolkiem", magnaci nie znający wręcz wartości swego majątku, który utracili później ze szczętem w słynnem bankructwie Heferna,- pan Feliks Kremarski, rejent, pan Tytus Jachimowski, skrzypek doskonały z ułomną siostrą muzyczką, panną Olimpią, panny Mila i Aniela Młodnickie, przyjaciółka ich Stasia Berska i cały bukiet ślicznych dziewcząt, których gładko wyczesane, ołówkowe portreciki znałam z tek ojcowych jak osobiste znajome. Widzę ich wszystkich tam, gdzie i mnie, przeszło w pół wieku później, olśniła oczy pierwsza, wielka, nagła radość życia... Oni również musieli zbierać na żórawkowskich polach posępne tulipany "tureckiego ziela", ciemno purpurową Fritillaria meleagris,- jak mówi legenda, z obrokiem najezdców nad Dniestr zawleczonego,- musieli widzieć je nisko nad wilgotną ziemią, w pierwszych dniach maja płonące o zachodzie, zapalone jak cudowne lampiony na powrotnem święcie wiosny...

I ten humor wspominam co minął, co się prześmiał bezpowrotnie, usty w proch dziś rozsypanemi...

-x-

Powołanie Tatka artystyczne wcześnie poczęło się zaznaczać. Rysował w szkole karykatury profesorów, w Bolechowie malował miniaturowe martwe naturki do panieńskich sztambuchów, w Skolem narysował z natury ciekawą

bramę wjazdową zaginionego już typu,- na modnym wówczas papierze pelé, podłożonym warstewką białej kredy, do której po skończeniu rysunku dobierał się ostry scyzoryk dla wyskrobania tak zwanych "bliczków", czyli światełek na końcu nosa, w tęczówce oka - robił portreciki sióstr, wideczki księżycowe gór nad Oporem, okopiska pod lasem. Bardzo protegowały talent Ojca panie Sabina Korzelińska i Felicya z Sozańskich Dobrzańska, poznał się nam nim światły i przemiły Emil Strzelecki, guwerner młodych Pietruskich z Błoni, on zainteresował dla chłopca ich ojca Teofila, oraz przedstawił go tam panu Mieczysławowi Darowskiemu, przyszłemu opiekunowi ojcowej młodości, przyjacielowi najukochańszemu naszego domu, który nim pozostał do śmierci, dobremu duchowi mojego dzieciństwa i wszystkich lat dziewczęcych. M. Darowski z własnej, zasobnej jeszcze wtedy szkatuły mając - jak to u narodowego obywatelstwa było wówczas w zwyczaju - paru młodzieńczyków na oku i pieczy, wykształceniem ich i wychowaniem duchowem kierował. Jego to najusilniejszem, najczulszem staraniem, wyjechał Ojciec w r. 1857 w kwietniu, razem z Marcelem Maszkowskim do Monachium.

Stypendyów krajowych nie było, rodzice albo niezbyt ufali artystycznej karyerze, albo - jak to było u moich dziadków - nie bardzo na podobne ryryzyko mieli. Dla żadnego z uczących się nie stanowiło ujmy, gdy w zastępstwie własnego rządu który nie istniał, troskę o kształcenie ich brali na siebie ochotnicze światli a bogaci ludzie prywatni, jak np. Włodzimierz Dzieduszycki, Gwalbert i później syn jego Mieczysław Pawlikowscy z Medyki, Lewicki z Barszczowic, Pietruski z Błoni, łożąc na ten cel sami, bądź tak jak M.Darowski częściowo, zbierając brakującą resztę pośród blizkich sobie rodaków i "dam"...

Malarzyki miały obowiązek przysyłać od czasu di czasu mecenasom dowody swoich postępów, za co wzamian otrzymywały albo pochwałę i sumkę jakąś nadliczbową, albo - bo i to się zdarzało - list z krytyką i morałami.

Stary Maszkowski Jan, portrecista dobry a pedagog znakomity, z pod którego szczęśliwej ręki wyszli Kossak i Grottger, Tepa i innych szereg, wyróżniał Ojca wielce i dużą przywiązywał wagę do wpływu jego na swego najmilszego, najmłodszego syna, lekkoducha Marcela...

Marcel... Właściwie Marceli Zyndram z Maszkowic, herbu Słońce... Praszczurem jego był bowiem istotnie ów luty rycerz z pod Grunwaldu. "Marcel" wszelako - tak zwany i w domu i przez kolegów - mało miał zmysłu na tę świetną parentelę. Sam jaśnie-dziedzic talentu i szampańskiej fantazyi, dzierżący swoją przyszłość we własnej, mistrzowskiej garści, mógł nie dbać o przeszłość i przodków, chociażby z pod Grunwaldu. Nigdy też nie fatygował swojego słonecznego herbu na codzień, posługując się tylko skromną pieczątką z małem gotyckiem "m", która okopcona nad świecą i przyłożona na rożku kartki, dawała rysunkom Marcela znajomą sygnaturę.

Nigdy się nie pogodzę z tę posępną prawdą żem go nie znała. Skoro kawaler umarł w r. 1862, nie podobna mu było przedstawić się pannie, która przyszła na świat o jedenaście lat później... To proste. A i wówczas jeszcze Ojciec mój, nosząc mnie, małą, rozkrzyczaną kukłę po pokoju, na którego ścianie wisiał olejny, grottgerowski portret Marcela, uważał za wskazane powtarzać z naciskiem:

- "Wszystko dobrze, ale Maszkowskich sobie wyperswaduj! Bawić się -dobrze! Tańczyć - dobrze! Ale resztę sobie wyperswaduj!"

Było to tem zabawniejsze, że sam mało kogo tak bardzo kochał jak Maszkowskich, a Marcela przedewszystkiem,- i że Ojciec sam później zapoznał mnie z nim tak blizko i serdecznie, jak z rówieśnym kolegą. Marcel niestety nie słynął wcale statkiem i temi cnotami, które "zdobić" zwykły młodzieńców. I zastrzeżenie owo wygłaszane żartem nad kukłą w powiciu, miało zapewne na celu uchylenie wczas możliwych niebezpieczeństw, grożących jej w przyszłości ze strony nowej, podrastającej już generacyi Maszkowskich, której stateczność Ojciec, jako doświadczony rzeczoznawca, miał prawo kwe-

styonować.

Ale tak samo przestroga, jak i obawa okazały się zbyteczne. Pokochałam Maszkowskich i żywych i umarłych, bez żadnego dla wzajemnej doli uszczerbku, tak jak ich kochał mój Ojciec.

I niema na to rady: Mimo wszystkie, dzielące mnie odeń lata, Marcel był moim znajomym,- więcej: był naszym domownikiem, kimś stale między nami przytomnym, o kim mówiło się jak o żywym człowieku, bardziej swojskim i rzeczywistszym od wielu, którzy u nas naprawdę bywali, jakkolwiek nad trymotką w salonie wisiał tylko jego portret. Namalował go Grottger w Barszczowicach w r. 1860. Zagapiony po malarsku profil w żółtawej konfederatce, z białym rękawem koszuli widnym z pod kamizelki. Nosili się tak Maszkowscy podczas malowania. W czerwonej rogatywce przedstawił się też na autoportrecie ojciec, tak zwany "stary Maszkowski", Jan. Taka była pracowniana ich moda. Skorzystał z niej Grottger, malując wedle głowy kolegi studyum do swej "Modlitwy Konfederatów", podczas gdy Marcel, aby czasu nie tracić, rysował kogo innego. Ma on też na grottgerowskim wizerunku wyraz doskonale znajomy każdemu, kto kiedykolwiek malarzowi pozował. Takie malarskie oczy patrzą całkiem inaczej niż zwyczajne. Jest w nich wytężenie zmysłu, podobne do nasłuchiwania. Tak i na tym portrecie. Ruch zadartej głowy, wyciągnięta szyja, wszystko pomaga wzrokowi, aby lepiej dopatrzył, dośledził, przychwycił. Usta nieco otwarte, brew lekko podniesiona, oko skupione na jednym jakimś punkcie. Zwyczajnie jak kiedy malarz zagapi się w modela i o bożym świecie zapomni.

Nietylko wzrok, ale i dusza Marcela zagapiać się tak musiała i zaciekać we wszystkiem, widzianem czy żytem, do bezpamięci. Nic dziwnego że świat boży zapominał co moment o nim i że o niejedną twardą latarnię po drodze uderzać musiał głową. Dziwniejsze że się sam temu nigdy nie dziwił, że na obczyźnie, w najczarniejszych nawet godzinach, gdy tyle tylko świeciło nad nim słońca, ile go miał w swym herbie, nie złorzeczy światu, ale tak dzie-

cinnie szczerze i rozdzierająco bezradnie oskarżyć się potrafi przed kolegą przyjacielem:

- Nie umię ja żyć, nie umię!

Istotnie, żyć nie umiał. Umiał natomiast, bodaj że już w powijakach, tak rysować, że oczom wierzyć trudno.-

Przedziwnyż bo wogóle był dom tych Maszkowskich. Zapewne. Ojciec sam tęgi malarz, pedagog wytrawny, człowiek zagospodarowany w sztuce, jak w domu. Matka wykształcona, muzykalna, entuzyastka, umiejąca i patrzeć i czuć i mówić, /n.b. niemka z rodu/. Ale ani wysoka kultura obojga, ani stopień zdolności ojca nie tłómaczą jeszcze bengalskich światłotrysków tej fantazyi
i tych talentów
i tych talentów, jakie im się po kołyskach zalęgły. Było z tego - oczywista- wiele pociechy, ale i zmartwienia niemało. Zupełnie jak bajka: Był raz jeden malarz, miał trzech synów i trzy córki...

Karol, w męskim szeregu najstarszy, umysł leonardowej jakiejś rasy na słowiańskim wydmuchu zabłąkany. Więcej ziarna niż zbioru. Inżynier, muzyk, rzeźbiarz, malarz, poeta, żołnierz w 1863cim, społecznik nadto i organizator, który z pod lawiny darów bożych do końca życia wydobyć się nie mógł. Umarł jako profesor politechniki we Lwowie.

Młodszy, Rafał, wysokiej miary skrzypek, artysta pełnej krwi, później wytrawny teoretyk muzyki, przez całe wybredne Niemcy podziwiany dyrygent, koncertmistrz i znawca. Na domiar o rysach takiej urody, że idealista Grottger wyznaje z zachwytem, że piękniejszego nadeń człowieka nie widział.

Wreszcie Marcel, mistrz ołówka, wirtuoz rysunku, o technice wręcz jedynej w Polsce, nad którego "główkami" - gdy on sam w usta nie miał co włożyć,- nieraz gęby otwierały Bawary i inne takie "Szwaby", jak mawiał.

Talent trzech córek pana Jana ograniczał się,- czego bynajmniej lekceważyć nie należy!- do czułego i ofiarnego kochania swoich genialnych braci. Naturalnie że wszystkie były muzykalne i, jakkolwiek Bóg je ostrzegł same od talentów, miały w mniejszym lub większym stopniu słoneczny humor

Maszkowskich, ich dobroć i jedyną w swoim rodzaju życiową fantazyę.

Najwcześniejszy znany mi wizerunek Marcela własny, bo z r. 1855., wykonany gdy miał lat 18, zachował się na rzadkiej dziś wielce, a i wówczas w podobno ośmiu zaledwie egzemplarzach odbitej litografii. Jestto grupa ówczesnych przyjaciół, której ośrodek świetlany stanowiła dusza Mieczysława Pawlikowskiego, aczkolwiek na rysunku, choć sam niewątpliwy inicyator i fundator tej wspólnej pamiątki, ustąpił pierwszego miejsca poecie Romanowskiemu. Są tam: Mieczysław Romanowski, Pawlikowski, Ludwik Wolski, Ignacy Kamiński, Kałmucki, Sztyrmer, Bruno Bielawski, August Bielowski, Karol Maszkowski i Marcel. Pośród dziesiątka postaci Marcel jest najmłodszy. Zupełnie jeszcze pacholęca, ładna twarz, z długiemi, zaczesanemi na uszy włosami.- Wierzyć się nie chce że to on narysował te żywe, tak rozmaite głowy, te oczy, patrzące, każde po swojemu, twarze z których kilka stanowi do dziś dokument doskonały rodzinnych podobieństw. Naturalnie że zaważył tu wpływ Kriehubera i gładkie akwarele starego Rejchana, przedewszystkiem jednak zaważyło to że stary Maszkowski umiał ustawić wzrok ucznia, jak Garcia stawiała głos,- że codzienna tresura młodych oczu, patrzących na "porządne" rysowanie w pracowni Ojca, dopomogła do absolutnie pewnego widzenia i przytrzymania na gorąco natury i prawdy.

Dom Maszkowskich żył sztuką w dosłownem znaczeniu tych wyrazów. Obraz nowy, książka, utwór muzyczny, odegrany porywająco, to były najważniejsze wypadki jakie się mogły zdarzyć. Dobra muzyka zwłaszcza była potrzebna tym ludziom jak innym posiłek. Postacie Schillerowskich tragedyi i liryka Heinego były źródłem, z którego czerpali nigdy nie słabnący zachwyt i moc codziennych cytatów. Maszkowscy, zaprzyjaźnieni z Teofilostwem Januszewskimi, mieli, jedni z pierwszych dostęp do niewydanych jeszcze wówczas pism pośmiertnych Słowackiego. Marcel wyrzeźbił pierwszy i najlepszy dotąd biust Juliusza, obaj z moim Ojcem byli jednymi z pierwszych zaprzysięgłych we Lwowie jego wielbicieli. Pozatem, wskutek niemieckości szkół i podświadomego może

nawet wpływu matki, Niemki, pomimo konfederatek nazbyt po polsku w domu nie było... Karol tłómaczył Heinego, komponował do jego wierszy muzykę. Jedną pieśń: "Der Fichtenbaum steht einsam" śpiewała nieraz Mama z jego akompaniamentem. Podobała mi się, ale nie musiała być prosta, bo jej nie zapamiętałam... Rafał grywał na skrzypcach,- akompaniowały siostry: Frynia, Minia albo Joasia, a przy każdej nadarzonej okazyi, gdy się tylko parę osób zeszło, wieczorem czy popołudniu, tańcowano na zabój. Maszkowscy, Grottger,- z którym przyjaźń zawiązała się była na długo przed wyjazdem na studya tamtych -, Ojciec mój, mieli sławę świetnych tancerzy, a już niedoścignionych wprost mazurzystów.

Materyalnie stale bywało kuso, co jednak nigdy nie krępowało gościnności i rzadki bywał w tym domu zasiad bez jakichś gości nadarzonych czy przygarniętych. Warsztat sztuki nie spoczywal nigdy. Zawsze się coś ciekawego zaczynało, działo, czy kończyło. Ktoś komuś pozował. Ktoś coś czytał głośno, czy deklamował. Muzyka rozmaita, do tańca i do różańca rozlegała się niemal zawsze w zimnawych często, niedopalonych pokojach. Dopiero z małżeństwem Fryni, która wyszła za Ignacego Jakubowicza, zamożnego ormianina, człowieka nieporównanego serca, który pokochawszy całą rodzinę żony, otworzył jej i to serce poczciwe i kieszeń, zrobiło się nieco swobodniej wszystkim. Potrzeba wrażeń i zachwytu była u tych ludzi tak wielka, że starzy już miewali jeszcze fantazye szesnastoletnie... Przypomniano sobie naprzykład pewnego dnia że "stary Maszkowski" nie był w życiu we Włoszech. Pod wpływem tego faktu, pod działaniem nagłej, zbiorowej tęsknoty do słońca i piękna, zabrał Jakubowicz oboje starych Maszkowskich, żonę i dwie małe córeczki coprędzej i pojechali wszyscy do Neapolu.

Chłopcy kończyły szkoły we Lwowie. Karol świetnie, tamci dwaj ociągliwie, zwłaszcza Marcel. Gdyby tego chłopca wziął był kto wtedy za łokieć, jakiś impressaryo opatrznościowy i wywiózłszy zagranicę, karmił, pilnował, odziewał, uczył - byłby się Marcel napewno gorzej bawił, ale byłby żył

dłużej, byłoby po nim zostało więcej i jeszcze świetniejszego niż te brylantowe opiłki talentu, który szlifował się samorzutnie, dopadkami, a którego całego zapasu Marcel nawet rozpakować nie zdążył. Był, jak cudowne dziecko puszczone samopas w świat, rozbawione i beztroskie, które każda przeszkoda wprawiała w osłupienie.

Wartości pieniędzy nie pojmował zupełnie. Dużo, mało, niema,- to były pojęcia. Pamiętał conajwyżej cyfry sum potrzebnych do wykupienia zastawionych rzeczy. A bywały pośród nich takie skarby jak paltot zimowy, jak - o zgrozo! - ukochane skrzypce Rafała. Pieniądze, to było powietrze do oddychania, takie jakieś złośliwe powietrze, którego raptem umiało zabraknąć , i gdy on się dusił wtedy - inni jakimś cudem oddychali swobodnie. Coś się robi podobno, żeby nie mieć niespodzianek, ale jak i co, tego nie dociekł nigdy. I do rozsprzedaży rysunków byłby potrzebny impressaryo. Opowiadał mi Tatko jak nieraz w monachijskiej piwiarni, do której chadzali, robił się ścisk koło ich stolika. Marcel rysował błyskawiczne szkice głów obecnych, a potem królewskim gestem rozdawał każdemu kto sięgnął. Gdy brakło papieru w tece, rysował na marmurze stolika, z którym potem zachwycony gospodarz nie wiedział co począć. Rozumiał pewien związek między obrazem, a kupującym, ale go ten proceder niecierpliwił i mierził.

Jak dalece oryginalne były jego poglądy na sprawy tego świata, dowiódł pewnego razu, gdy jeszcze w szkołach, nie mając własnego grosza przy duszy, wybrał z pięknej rodzicielskiej biblioteki naręcz książek, - dla niepoznaki każdego dzieła po jednym tomie!- aby sprzedawszy je za bezcen na tandecie, kupić Mamie na imieniny nowe rękawiczki... Fakt. Ostatnią parą butów byłby się podzielił z kolegą, gdyby wogóle buty jego przedstawiały częściej jakąś uchwytną wartość. Wydawać - pożyczać - niemieć... Tak szło zawsze w kółko. Naturalnie, że póki się było w domu, niedaleko mamy i sióstr, każda sytuacya przedstawiała się lżej. Zagranicą dopiero stanął oko w oko lekceważonym mocom.

Monachium było wprawdzie tanie, ale obyczaj płacenia istniał. Co gorsza, istniały pokusy, we Lwowie bądź nieznane, bądź niedostępne. Monachijski karnawał w zimie, gromadne wycieczki z wiosną, modelki, "piękne mnichowianki" jak je określa przemiły trzpiot cypryan Dylczyński w swych listach do Ojca, jakáśx Emilie, i Pepi - ta Pepi, której żałosne wspomnienie spać nie daje Marcelowi w Lipsku - i w pustym żołądku potomka Zyndrama z Maszkowic budzi głód okrutny. Marcel bowiem zakochany był stale, zmieniał się tylko przedmiot jego afektu, i to w tempie dość szybkiem.

Raz, zagorzał dla jakiegoś vis-a-vis... Dla istoty, którą widywał szyjącą w oknie. Szyła, lub czytała... widział jedynie jej profil, ale zato przecudny. Na en face nie był już nawet ciekaw. Rysował - kochał!- Koledzy zadali sobie trudu by wytropić objekt z blizka, przyczem wyszło na jaw że "cudna" miała tylko jedno oko. Druga połowa twarzy bez oka była jakimś wypadkiem uszkodzona.

- Marcel! Ależ ona ma tylko jedno oko! - szydzili bez litości.

- Ale jakie! - odpowiadał niezłomny wielbiciel.

Cała młoda malarya, oraz znajomi serdeczni z innych zawodów trzymali się wiernie razem, tak jak ich widać na dwu małych dagueretypach, które posiadam i jakich replika znajduje się w Ossolineum. Izydor Jabłoński, Ostrowski, Penther, Antoni Rejchenberg, nieoszacowany, najpoczciwszy "świątek", pogotowie ratunkowe kolonii,- Grottger, Marcel, mój Ojciec, później przybyli Matejko, Wołłowicz, Filippi, Dylczyński, Rafał i kochany przez wszystkich Oleś Gryglewski.

Działo się bractwu rozmaicie, bo wydatki były różnolite, a posyłki pieniężne z kraju spaźniały się nieraz dotkliwie. Mecenasi jak Dzieduszycki, Pawlikowski, Pietruski, Lewicki,- każdy miał swojego ptaka niebieskiego, albo i kilku na wikcie, któremu od czasu do czasu przygarść siemienia sypnął. Utuczyć się tem było trudno, ale żyć się dało i błogie było poczucie że jakieś tam "pańskie oko" śledzi chudzinę aż z kraju i do ostatniej za-

głady nie dopuści. Maszkowscy dostawali zasiłki głównie od rodziny, co miało swoje dobre, ale i złe czasem strony. Lżej było sumieniu jeżeli się na lekkoducha obruszył mecenas, niż gdy się zgryźli rodzice.

Gdy Marcel i Ojciec z wielkiemi, haftowanemi włóczką przez siostry torbami w ręku, w płaskich czapkach z lakierowanym daszkiem, szkatułkami farb, w rozwianych surducikach i spodeńkach w duże kraty, przybyli do Monachium, gdy -jak to uwiecznił Marcel w karykaturze- stanęli z zadartemi głowami przed maryackim tumem "Mnichowa", dwiema charakterystycznemi dla sylwety miasta wieżycami, podobnemi do smukłych kufli piwa, gdy się rozlokowali w nowej kwaterze i Ojciec mój przybił na gołej ścianie pracowni swój, z dwu kawałków składany, czarny krzyż "podróżny", który go nigdy nie opuszczał, pierwszą pielgrzymką obydwu była oczywiście stara Pinakoteka...

Szwagier Maszkowskich z niewiadomych mi dziś powodów podążył też na studya aż do Monachium i słuchał tam wykładów chemii słynnego Liebiga. Znając wszelako temperaturę rodzinnych uczuć Maszkowskich, skłonna jestem przypuścić że zaważyła tu nietyle firma Liebiga, ile kochająca intryga Fryni, która tęskniącym w Mnichowie braciom, chciała tam stworzyć od niechcenia przytulną własną ambasadę. A było to oparcie nielada. Bo i dom ciepły, swojski, rodzony- ludzie dobrzy i wykształceni, towarzyscy i zamożni, słowem: przystań, do której zawijały nieraz lwowskie okręty w różnym, przeróżnym stanie.- I Jakubowicze właśnie zapoznali zczasem obydwu z bawiącą w bawarskiej stolicy Polonią. Rozpoczęła się nauka a równocześnie, z wiosną zwłaszcza, wycieczki w prześliczne okolice miasta,-Wycieczki do Nymphenburga i Grosshesslohe. Muzykowano, zwiedzano gromadnie piękne zbiory,- tańczyło się często i namiętnie...

Strasznie kochałam tę ojcową młodość. Znałam jak żywe z opowiadań, miejsca w których był wesoły i szczęśliwy, znałam z rysunków i dagerotypów wszystkich ludzi, którzy go otaczali wówczas, którzy mu byli blizcy i drodzy, którzy kochali go nawzajem. Czasy gdy mu się jawiła wielka pani Sztuka,

jak owa przecudna a kusząca "Królowa Śniegu" Andersena, za którą biedny chłopak w zadymkę i noc na ubożuchnych swoich saneczkach podąża. I jemu marzyło się jakieś wielkie dzieło życia, o jakiem później pisał z Lipska Marcel... "dzieło wielkie, ukończone, przemyślane - imponujące!" Niestety życie, mecenas bogaty lecz dyablo kapryśny, i jednemu i drugiemu nie pozwoliło wyśnić marzenia.

W jednej z najgłębszych, najmniej dostępnych szuflad Ojca, spoczęło po latach wszystko: teki ojcowe, szkicowniki, świetne studya i karykatury ówczesne, a w nich ta ich wspólna szczęśliwa młodość- "monachijskie czasy", o których opowiadał doskonale, acz rzadko. Człowiek wielkiego dowcipu i pogodnego na pozór humoru, taił w sobie głęboką i dośmiertną melancholię, której toń ciemna dzieliła go od tamtych czasów bezpowrotnie. Marcel umarł młodzieńcem, spalił się jak świetny ogniotrysk, umarł na własne swoje - życie. Ojcu wypadło wybrać między dalszem, żmudnem dążeniem ku ideałom i Sztuce, a stworzeniem sobie rodziny i domu, które, w jego warunkach zwłaszcza ciasnych i mozolnych, tamtą swobodę wykluczało na zawsze. Wybrał dom, wybrał - nas. Zamiast zdobywczego pędu, utalentowany i w kunszt niepośledni zasobny, zaprzągł swe siły i umiejętność do pracy niekochanej, do szkolnej nauki rysunku, gdzie wśród ornamentów i gipsów, on, entuzyasta, przyjaciel i towarzysz największych, służebnik wolnego piękna, miłośnik ideału i poezyi, niepocieszony choć milczący zachodził w cień, starzał się i nieraz gdy jaka zręczna a wygadana miernota zdobywała sobie w jego oczach, pod jego ręką niemal, uznanie, rozgłos, ba nawet i sławę, cierpiał pewno głęboko, ale zawsze bez słów... Żył domem, wspomnieniami, dobrą lekturą, muzyką,- kochający i przemiły, przeważnie pogodny, a Marcel żył razem z nami...

Do tek ojcowych zachodziło się rzadko. Zwłaszcza do tej jednej, wyszarzanej, Między twardszy papier jej czystych stronnic powkładane starannie jak wąskie opłatki, leżały pożółkłe brzegami karteluszki z Marcelowemi

szkicami. Nazywało się to "szkice", a było nieraz wykończone jak banknot.

Pamiętam sposób z jakim Tatko nabożnie i umiejętnie ujmował w palce te arkusiki cienkiego papieru, z ciemnem gotyckiem "m" w prawym rożku. A na nich szarzały arcydzieła humoru, sentymentu i tej wirtuozowskiej Marcelowej techniki, polegającej na zatrzęsieniu kresek ostrych jak igła, lekkich jak włos, świadomych, każda z osobna, zbiorowego sensu i wyrazu głowy. Wyraz... Otóż to właśnie. Jak się to działo że ten lekkomyślny chłopiec, naiwny dzieciak w życiu, rozbawiony wiecznie, o ile nie głodny, tak mógł rozumieć duszę ludzką, tak ją podpatrzeć do korzenia? Jakim cudem, rysując z natury młodzieńczą głowę mego Ojca w Monachium, dał jej -już wówczas- wyraz hardego, zatajonego smutku, który miał jego duszą zawładnąć dopiero po latach? Rysunek ten przepyszny darowałam do Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie przepadł bez śladu. Gdyby nie pokwitowanie dyr. Kopery, mogłabym przypuszczać że mi się tylko śniło.- Albo taka głowa Schillera! Profil bujnowłosy, młody, o wyrazie skupionej ekstazy, rysunek-wizya, oparty w równej mierze na materyałach do Schillerowskiej ikonografii, jak na własnem, medyalnem odczuciu rysów ukochanego poety. Najbardziej może mistrzowski okaz kreskowej Marcelowej maniery, modelujący ostrym ołówkiem w niewiarogodnie subtelny sposób rysy "wywoływane".

Nie był Marcel zapoznany w Monachium. Niczem osobliwem nie zastanawiał wówczas profesorów Matejko, nie bardzo się poznawali na Grottgerze, zwłaszcza że obaj nazwani, do zbyt pilnych bywalców akademii nie należeli. Marcel jeden zdumiewał i radował pedagogów takich jak Moritz Schwind i stary Kaulbach, budził niepokój i ciekawość kolegów jak np. Liezen Mayer, Węgier o niemieckiem nazwisku, tęgi malarz z czasem i szlachetny rysownik ilustrator.

Gdybyż tylko nie te "piękne mnichowianki", nie ta nieuchwytność pieniądza, nie ta nieodporność na pokusy tak w skutkach swoich żałosna! I to zupełnie, ale to zupełnie opaczne poglądy na "ma" i "winien"! Po tem os-

tatniem następowało nieodmienne słowo "pożycz"!, proste i krótkie, którego chybiony często efekt, raczej rozżalał niż obrażał. Gdy między najbliższymi kredyt wysychał, apelowało się przez Olesia Gryglewskiego do Fryni, a przez nią do Jakubowicza. Niewyczerpanie poczciwy szwagier bywał jednak czasem zacięty,pewno dla pedagogii raczej niż skąpstwa , czasem i Fryni już bywało za dużo i wtedy rozlegał się lament w listach do domu i nieobecnych kolegów. W tych terminach jednakże, podobnych żywcem do niektórych scen "Cyganeryi" /bo i Marcel i pracownia i pożegnanie z odzieżą idącą do lombardu i różne Mimi i Musetty, nazywające się tu Pepi i Emilie/ kruszyło się i marnowało, niezbyt zresztą stalowe od urodzenia, zdrowie i życie Marcela...

Powoli kolonia malarska urosła do sporej gromadki "rodaków". Epokę tę opisał sumiennie acz niezbyt wprawnie Izydor Jabłoński we wspomnieniach swoich, ogłoszonych w "Lamusie". Różne były stopnie talentów, różnolite charaktery pośród tej grupy, bardzo nierówne drogi, jakiemi się rozproszyło po świecie później, ale ciepło przyjaźni, jaka złączyła tych ludzi już wtedy, nie ostygło z latami i wrękach moich znalazły się całe stosy jej śladów, do pożółkłych papierów i starych fotografii przywarłych, w których dusza tamtych czasów, dziecinna trochę, ale lotna, wesoła jak ptak, choć przygłodna czasami, dusza Tatkowyvh "monachijskich czasów" i tamtych wszystkich lekko i piękno-duchów żyje i albo się śmieje wgłos, albo się skarży rozdzierająco...

Tatko mieszkał zrazu z Marcelem. Lokal był jakiś sympatyczny, że zaś obaj lubieni przez wszystkich, mieli w sobie magnes humoru i towarzyskości, który pociągał, u nich gromadziła się wieczorami "Malarya". Każdy przynosił, jakie tam miał zapasięta jadalne i szło to uczciwie do podziału. Tatko miał gitarę, Rafał Maszkowski, przybyły w czas jakiś z kraju,swoje wytworne skrzypce, więc była i muzyka na tych sympozyonach. Daniel Penther deklamował niemieckich klasyków, którymi się chłopcy entuzyazmowały srodze."Des Sängers Fluch" Uhlanda, "Schilflieder" Lenaua... Schiller zwłaszcza był u-

kochaniem wszystkich lwowian. Zjawiał się i Matejko, któremu, gdy jechał zagranicę, dał był M. Darowski list do mego Ojca, kierujący doń pana "Maciejkę"- przyswojony serdecznie, ale cichy i jakiś "osobny", przepadnięty całymi dniami po bibliotekach i zakrystyach, muzeach i zaułkach, zbierający motywy i materyały do wydanych później "Strojów Polskich". Na zebraniach koleżeńskich mało był wydatny, czasem tylko, gdy się kto najmniej spodziewał, zaciął dowcipem jak szpicrutą. Występował z reguły jako tępiciel zagranicy, drwił z entuzyastów niemieckiej literatury, po niemiecku, jakby z umysłu, gadał byle jak, ścigał szkolne makaronizmy, którymi grzeszyli lwowianie w niemieckich gimnazyach "uszkodzeni"... Przeciwległe pendent do Matejki stanowił Penther. Ten, rzecz prosta, jako Niemiec z rodu, choć mówił dość dobrze po polsku, poza kulturą niemiecką świata nie widział i widzieć nie chciał. Na tem tle bywały lekkie przegryzki.

Raz, na jednem z takich zebrań u Tatka i Marcela, wydobył Tatko swój zabrany tom Wypisów Cegielskiego, w którym wydrukowany był cały "Jan Bielecki". Tatko, jak i Maszkowscy znał już Słowackiego i uwielbiał go fanatycznie, że zaś doskonale czytał głośno, zaproponował że ten utwór, reszcie obecnych nieznany, przeczyta. Matejko, który ze Słowackim wogóle nie był się jeszcze zeszedł,- olśnął poprostu. Dobrze znający go Tatko twierdził że tak uniesionym nigdy go nie widział. Blada zazwyczaj jak pergamin twarz zabarwiła się, wielkie, ciemne oczy błyszczały.

-"Otóż jest poezya! Co wobec tego Schiller! Te kolory, ten charakter rodzimy! Musisz mi pożyczyć do domu tę książkę"!

Na krótko przed śmiercią opowiedział mi Tatko raz jeszcze wspomnienie tego wieczora. Ostatnią książką, jaką czytał w życiu były Listy Słowackiego do Matki. Bieleckiego wiele ustępów umiał na pamięć i wówczas też zacytował mi jeszcze końcowe wiersze tego poematu. -"Zawsze mi Bielecki Matejkę przypomni"- mówił- "To jest naprawdę jakby wizya jego własnej sztuki! Ta sama technika i patos!".

Oprócz Jakubowiczów, gdzie się polska młodzież zbierała i tańczono w karnawale na umór choć bez dam, jak relacyonuje Jabłoński,- przy zimnej zakąsce i piwku, ale zato przy skrzypcach Rafała i takim taperze jak - Matejko, który nie tańczył wcale, grał zato świetnie do tańca,- bywała swojska gromadka u pułkownikostwa Tchorznickich. Pani domu, hr Buttler z domu i jej bardzo dobrze ułożona córka, czyniły atmosferę trochę mniej domową niż u Jakubowiczów. Trzeba było dbać bardziej o strój, mozolny -wiadomo- czasami, gdy się jest na studyach i ma wiele przeszkód do elegancyi. Pan pułkownik natomiast bywając już bez swoich pań, na różnych wycieczkach i wieczerynkach malarskich, był zgoła nie uroczysty... Jawiła się tu u jego boku niejaka Alma von Westphalen, jedna z tych comecich istot, których nie lubią żony, a za którymi przepadają starsi panowie... Rzeczona Alma stała się osełką na której języki młodzianków ostrzyły się do woli. Stary pułkownik, srodze o jej względy zazdrosny, ona poza jego szerokiemi plecami kopcąca oczkiem do Marcela... ten miał swoją Pepi, ale dlaczegóż nie odpowiedzieć zaczepce?... Oczywiście, nikt dziś nie dojdzie jak to tam ono było naprawdę, dość, że dbały o spokój w domu pułkownik, choć jątrzyły go wielce niepokojące symptomy spostrzegane bądź u Almy, bądź u Marcela - i podkreślane z umyślną a szatańską nonszalancyą przez resztę wtajemniczonych trzpiotów,- bolał z godnością i opanowując się dla pozorów, dostarczał swem zachowaniem rozkosznych emocyi śmiejącemu się w kułak audytoryum. W pewnej burej, wąskiej teczce z Monachium znajduje się szereg ilustracyi do tej na spisku opartej komedyi, z których można powziąć wyobrażenie o jej aktorach... Jest tam i Alma, jakaś "westfalska" Idalia z "Niepoprawnych", obstarnia zalotnica z jastrzębim, szwabskim profilem, twardemi, jasnemi oczyma w sentymentalnej berżerce i pelerynce w kraty,- jest Tatko w swoim berecie przy sztaludze, w furyi tworzenia, Marcel śpiący, któremu przez sen jawi się Alma uduchowiona, jakieś niemiecki dopiski i wiersze niedocieczonego dziś sensu... jest ołówkowy profil pułkownika...

Niema wątpliwości że niewszystkiemu co się działo w Mnichowie mogli byli przyklasnąć "Mecenasi" w Galicyi. Toteż gdy Marcel po jakiejś seryi psot przygrubszych uznał za właściwe przenieść się z talentem i pudełkiem farb do Lipska, gdzie mieszkał Rafał, podczas gdy mój Ojciec został jeszcze w Monachium, nadszedł -bez daty, bo i pocóż?- list od Marcela takiej treści:

"Kochany Karolu!

Posłuchaj pierwej, a potem sądź; bo musisz już pewno myśleć o nas niewiedzieć co, że tak długo nie piszemy, pomimo żeś nas prosił w ostatnim liście o prędką odpowiedź.- Otóż słuchaj:

Najpierw dlatego tak długo nie pisaliśmy, bo nie mieliśmy czym zamarkować listu; nie dlatego abyśmy nie chcieli wydać tych 9, bo obiad za nie dostać można, tylko dlatego, beśmy wcale nie mieli tych 9. I jeszcze się gniewasz na mnie że nie odpowiedziałem? - Oj Karolu! My tu kiepskie czasy przeżyli, bardzo kiepskie! Może to kara za to wszystko co nabroiłem do tej pory, a dałby Bóg aby koniec na tém był, ale mnie się zdaje że to dopiero początek. Cóż ja się mam rozpisywać nad tą biedą, na cóż Cię mam detajlami smutnym robić, bo wątpię abyś szedł za przykładem Ostrowskiego, i z tej strony na rzecz patrzał jak on,- ja znam twoje serce i wiem że u Ciebie głowa z sercem razem pracuje! - Muszę Cię jednak jako tako obeznać z dotychczasowém naszém życiem tutaj, a niech Ci tych kilka faktów służą za miarę: Nasze rzeczy wszystkie w zastawie, prócz tych które na sobie mamy, a drugie: żeśmy przez 4 -sage: vier Tage, nic nie jedli, prócz herbaty, które Rafał dostawał rano od gospodyni, będąc przymuszonym udawać słabego, bo botów nie miał i przez 14 dni w domu biedaczysko siedział. Więc wygłodziwszy się przez kilka dni, a co przez tydzień najmniej! na suchym chlebie /!/ pościliśmy nareszcie tych 4 dni o pół porcii herbaty rano. Może się spytasz czego do gospodyni nie poszedłem? Zaraz Ci odpowiem na to.

Jak wiesz Rafał niema skrzypców i okropnie przytem cierpiał, bo przy

kiepskiem wegetowaniu, musiał siedzieć z załamanemi rękami i słuchać jak mu w żołądku gra - to mnie spowodowało na wszystkie strony miny popodkładać,- ale żadna nie poszła w górę. Najpierw zrobiłem parę aquarelle i dałem za einen Spottpreis na Kunstverein tutaj,- potem zrobiłem naszej gospodyni córkom portrety, aby kto widział i może głupi dał się zrobić... chciałem koniecznie tych 30 f skąd dostać, aby skrzypce Rafałowi sprokurować. Tymczasem mi się nie udało, z Kunstvereinu do tej pory niema odpowiedzi, a za portrety, które już wiszą w ramach ładnych, nie wiedzą jak dziękować /chociaż wyprosiłem sobie jede Erkenntlichkeit/, ale nikt się nie pytał o cenę.

Więc jak ta bieda na nas nastała, nie mogłem się w żaden sposób do gospodyni udać - wolelibyśmy byli pochorować się z głodu jak do niej się udawać.- Ale der Mensch denkt, Gott lenkt... Ja czwartego ~~już~~ dnia leżę już osłabiony na sofie, a Rafał mi z łóżka powiada że jemu się słabo robi - ja kląłem na los za.... i poszedłem do gospodyni - ona nas wyratowała z głodu. Ale, jak wczoraj przekonaliśmy się, to tylko początek był, ein komisches Vorspiel zum Drama: Dostajemy wczoraj list z domu z pieniędzmi, pierwszy list z domu w Lipsku. Nie mogłem się doczekać i na ulicy czytałem,- ale włosy mi na głowie stają... co tu gadać, co tu powtarzać! tylko tyle wiedz że Tato do nas obydwuch razem, bez przemowy "moi kochani" etc. w krótkich słowach powiada że ostatni raz do nas pisze!- Niech Pan Bóg Fryni to zapomni!

Moje szczęście że nie posłałem roboty te które tutaj zrobiłem, bo to są zwyczajne lekkie aquarelle, lepsze jak do tej pory robiłem, bo więcej rysowałem jak malowałem, ale, aby posłać do Lwowa na pokaz - to nie można. To, bez przesady, musi być dzieło wielkie, ukończone, przemyślane,- imponujące! To jedynie może mnie wyratować! Jeżeli Bóg mnie dopomoże do takiego dzieła, jeżeli On nie jest zagniewany na mnie i ja będę mógł takie dzieło posłać - to jestem wyratowanym i mogę z czystym sumieniem i czołem na łono

moich kochanych, biednych rodziców wrócić - jeżeli zaś to przekleństwo, które na mnie ciąży - i ja nie znajdę w sobie tych sił, aby wykonać to dzieło, wtedy sobie w łeb wypalę, albo o mnie nikt nie będzie wiedzieć.-

Ale do tego czasu potrzeba, a moi Mecenassy już są na granicy cierpliwości. Dzieduszycki coś komuś mówił że tylko ten rok mnie wspierać będzie, a Lewicki zaczyna zwantpiać o moim talencie.- I tak wszystko przeciwko mnie teraz się skupia, właśnie gdy powinienem mieć głowę najspokojniejszą! Ale to jest chwila decydująca,- tu się pokaże czy ja wart żyć na świecie i czy ja mam charakter siłę wolę?!

. . . .

Karolu! Ja Ciebie nie przeprosił za wszystko co musisz dla mnie wycierpieć, ale cóż to Tobie pomoże, jeżeli przytem pieniędzy nie będzie abyś mógł pozaspakajać dłużników - a ja niemam teraz pieniędzy, ale niezadługo sam im pozapłacam.- Powiedz mnie mój kochany Karolu czy nie mam napisać do Hakla i do drugich? Możeby to ich zaspokoiło? Powiedz mi co ja mam robić, a ja zupełnie Ciebie się będę trzymał.-

Co tam z Pepi? Nie śmiem nawet myśleć o tem wszystkiem - to mi po nocach nie daje spać, nawet w nocy czułem żem głodny. Nie umię ja żyć, nie umię... Z tylomа ludźmi stykałem się w życiu razem, a żaden o mnie z szacunkiem nie wspomina - a o kochaniu ani mowy. Olesia przeproś że do tej pory nie dotrzymałem słowa i nie pisałem, ale moje usposobienie nie po temu, pocałuj wszystkich jaknajserdeczniej od nas a jeżeli pieniądze przyjdą, to na miłość boską zaraz mi przyszlij, abyśmy mogli rzeczy wykupić, bo chodzimy jak draby. Napisz mi także czy przyjedziesz i kto więcej i kiedy, wiele masz zrobionego w robotach. A odpisz prędko bracie i dosyć a sehnend pisz, bo dość kiepskich listów otrzymałem. Mój nowy adres:Dresdnerstrasse nro 63 III bei Frau Knauer.

Do Państwa Wilkoszewskich będę teraz niezadługo pisał, bo trudno było mi do tej pory to zrobić."

A teraz drugi list z Lipska, bez daty, jak zwykle:

"Wtorek zaraz po obiedzie.

Kochany Karolu!

Wystaw sobie, ja do Ciebie znowu muszę pisać i to o pieniądze. My mamy teraz w kieszeni 2 talary!! A w policii nie byliśmy jeszcze, co nie wiemy ile kosztować może. Kawę kiepską w domu pijemy, stancię na miesiąc naprzód musieliśmy dać - ale obiad i podwieczorek musiemy zaraz płacić. Nam włosy na głowie stają gdy sobie pomyślémy co to będzie jak pieniędzy nie będzie - o jutrze ani myśleć. Musiałem wydać na niektóre rzeczy do rysowania, które tutaj są drogie, jeżeli tak w Dreźnie - to padam do nóg. Jemy obiady za 15 f. /5 Silbergresz/ taki o jakim w Monachium nie śniłem - kawa droższa ale dobra, mieszkamy w dwuch ciupach na 4 p. i oglądamy się za inną stancią, bo jak Rafał grać będzie miał na czem, to tutaj nie można zostać... Żeby on tylko miał na czem, to bieda! Bardzo cierpi bez skrzypców, a to trzeba 30 f. na wykupienie - ale co tam o skrzypcach myśleć, kiedy się niema co jeść. Wiesz, ta myśl mnie sprawia zawrót głowy że my może za dwa dni nie mamy ani dutka w obcem mieście. Dlatego też Olesiu drogi, lass alle Minen sprengen i przyślij nam, staraj się, bo tu nas nikt nie poratuje; od naszej gospodyni nic możemy żądać gdybyśmy mieli z głodu umierać, bo wymówiliśmy stancię, czego widać gniewała się,- sprzedać -słowo honoru - nie ma co. Uważże sam Kochanku czy nie byłoby nasze położenie okropne?-

Tak nam tu Was brakuje, takiego Ostrosia mit seinem praktischen Sinn, ale co! każden, moja największa antypatja byłaby mi tutaj wilkommen, tylko aby można do kogoś powiedzieć: "jak się masz, co tam robią".- Dlatego, kto ma przyjechać, niech przyjeżdża prędko, bo pieniędzy nie wyda więcej jak w Monachium, a jest miasto miłe i ciekawe. Muzeum co 2 dni otworzone, a Delaroche, Calame i Vernet zasługują aby parę tygodnie tu zabawić.

Karolu drogi, co tam moje interessa, czy nie oblęgają Cię jeszcze? Jak to miło być w mieście, gdzie się jest w tym względzie spokojnym. Niema to jak być porządnym! Od teraz daleko mniej długów robię jak do tej pory.- Bądźże zdrów mój Ty, i oznajm zaraz Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, może któren będzie miał choć cokolwiek, a posełaj tak jak Cię prosiłem: poste restante pieniądze, a list z oznajmieniem nas pod adress Wintergartenstrasse No 5 4te Etage.

Napisz nam kiedy przyjedziesz, a my możemy Ci tanią stancią nająć, na tydzień dwa.- Bywaj zdrów Lubciu

Marcell"

I jeszcze jeden list z Lipska:

"Czwartek 18

Mało brakowało a byłbyś już przedwczoraj od nas list dostał, ale nie chciałem Cię nudzić tak często, i wolałem sprzedać burnus za bezcen i pod najprzykrzejszemi dla nas formalnościami, i odczekać jakiś czas na pieniądze Olesia. Dziś to pieniądze ku schyłkowi, trudno mi zatem dłużej milczeć, a nie mamy nic, coby my mogli sprzedać, albo zastawić. Jeżeli zaś Oleś nie wystara się do 23, to jest w najkrótszym czasie pieniędzy, to słowo honoru daję, nie wiem co to będzie. 20 mamy się ztąd wyprowadzić, a tu ani śniadania i inne małe rzeczy nie są zapłacone. Na przeprowadzenie także potrzeba będzie coś - a na życie?!! Karolu dalibóg znajdujemy się w najdjabelniejszym sosie i spuszczam się na Ciebie że z pewnością Olesiewi ten list przeczytasz, a koniecznie spodziewamy się pieniędzy, innego nie możemy się spodziewać, dlatego też na pewno rachujemy, że zaraz po odebraniu tego listu odeszlecie pieniądze, bo próżny list, to byłby głód.

List twój odebrałem i cieszyłem się nim, choć był za krótki trochę. Co Wy tam porabiacie, czy nie myśli nikt z Was tutaj przyjechać, bo my bardzo na tem cierpiemy że jesteśmy sami. Może Ostrosio, albo Rajchenberg?

A Ty kochany kiedy do nas zagościsz? Czy zacząłeś olejno malować swój obraz?- Wystaw sobie do czego ja się odważył - z biedy - zrobiłem akwarelle i oddałem na wystawę na sprzedaż, ale będę mógł czekać długo nim dostanę pieniądze, choć cena bardzo mała w porównaniu do tamtych: 20 talarów. Teraz robię drugi i trzeci obrazek - tylko do Judyty potrzeba mi koniecznie modelki - bo Rafał za chudy. On biedak cierpi bardzo że niema skrzypców, albo fortepianu bodaj, nima nic robić, nudzi się okropnie,- wczoraj, jak się dorwał fortepianu sąsiada, to grał do ciemnej nocy, a ja śpiewał... ale co ja tu gadam, a tu niema co jeść i butów niema. Wystaw sobie, ja chodzę w butach podartych, czy nie możnaby jakim sposobem dostać się do moich grubych, które zostawiłem?

A jeszcze jedno: jeżeli Olesio da pieniądze, to u fotografa są moje fotografie, które zostawiłem u niego, weź je, a jeżeli nie zechce dać, to poszlę Ci kartkę dla niego.

Bywaj zdrów, kochany i nie gniewaj się na twego Marcella.

Jak Matejko?

Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie

Olesiu! Olesiu! oj Olesiu! "

Takie się to dostawało listy za "monachijskich czasów". Marcelowe chowane były zawsze osobno w małej,płaskiej, mahoniowej skrzyneczce i głód jego, jego dziecinny krzyk o ratunek, rozdzierał Ojcu serce nawet po latach. Naturalna rzecz, że takie życie nie konserwowało, że nieubłagany los upomniał się w końcu o ostatni przyodziewke Marcela, ten w którym się tłukła jego znękana, niedokarmiona, niedośpiewana dusza artysty-ptaka, głodna radości i kochania, cudownie prosta i szczera, kajająca się w gorzkiej pokucie za swoje naiwne winy.

Cztery lata żył jeszcze Marcel od tamtaj, monachijskiej doby. Ratowano go pewno w suchotach, jak to wtedy był zwyczaj, żętycą,- ba nawet do Wenecyi wysłali rodzice biedaka, aby miał i "południe" lecznicze i piękno.

Ale już go ten pobyt nie cieszył. Sił nie miał na zwiedzanie. W 26tym roku życia dogasał. Gdy w 1862 w Marcu umarł we Lwowie, Ojciec mój bawił na studyach w Paryżu i tylko w liście od Jakubowiczowej i jego odpowiedzi pani Fryni utrwalił się głęboki ślad tego ciosu. W liście pod datą 23/3 pisanym tego roku przez siostrę Tatka młodszą, Anielę do przyjaciółek Cyryli i Julii Płoszczakównych w Mikołajowie mam też świadectwo wystawione tej chwili. Silnie odczuwająca ucisk moralny, gniotący kraj w przededniu powstania, wrażliwa i bardzo lotna umysłowo panna Młodnicka, tak się odzywa do blizkich sobie dziewcząt:

".... pisząc do Was chciałam żeby list był w treść bogaty - i w dobrym humorze i spokojnie napisany. W przeciwnem usposobieniu nie chciałam pisać - bo wiem że i Wy macie swego moła - na co ja mam dodawać; bo w smutku myśli się że smutny każden - tak jak w szczęściu nie wierzy się w nieszczęście - otóż i ja byłam przekonana że i Wy macie pewnie dość swego i nie chciałam pisać o mojem. Na objaśnienie tego co powiedziałam, dość gdy dodam czem Lwów mnie przywitał: pogrzebem Marcela Maszkowskiego - więcej Wam pisać nie potrzebuję."

Na grób Marcela z prostym, drewnianym krzyżykiem i blaszaną paletką z nazwiskiem i datami, kładło się rokrocznie wianek zielony i paliło światło zaduszne. A gdy z latami krzyż spróchniał, Tatko postarał się o nowy, blaszana paletka została odmalowaną i świeżym opatrzoną napisem. Pojechaliśmy z tym krzyżykiem na łyczakowski cmentarz aby w Tatka obecności został ustawiony. Paletę sam przybił na nowo. Podczas wojny dopiero straciwszy z oczu mogiłę, już jej teraz odszukać nie mogę. Przekopana niechybnie.

Ale po domu jeszcze pełno Marcela. Jego portret w żółtej konfederatce, cudny profil Schillera, ołówkowy portrecik profilu Ojca, karteluszki wątłe z karykaturami, ręce Grottgera, podobizna mistrzowska Jakubowicza, Liszt wedle litografii Kriehubera, ojcowe żartobliwe rysunki, daguerroty-

py, listy... I jeden jeszcze przedmiot od niego pochodzący: żelazne wieszadełko na zapałki z niezgrabnym motywem nietoperza, które gdzieś zawsze w pobliżu Tatka wisiało i miało nazwę "peczwary". Mogło to służyć równie dobrze na schowek dla zapałek, jak za jakąś czarnoksięską kropielnicę. "Poczwara" ocalała i wisi ze czcią należną na jednej z moich ścian. Przepadł natomiast kałamarz o wieczku z czterema rybkami, kałamarz po Marcelu, który mi służył całą młodość i był powiernikiem pierwszych moich wierszy, chowanych po schowkach przemyślnych, z których wszelako zawsze wydobyć je umiał Adaś i opatrzywszy wykrzyknikami czerwonemi, pękatemi jak balony, podrzucał na widniejszych miejscach mieszkania...

Z kałamarzem tym kochanym rozeszłam się po zamężciu i już go na Zaświeciu nie pamiętam.

. . . .

Niecierpliwi mnie samą chaotyczność tego mego gadania. Jak koronczarka, mam przed sobą rój klocków, każdy owinięty inną nicią. W miarę jak się wzór snuje, biorę to ten klocek, to drugi, z każdego ciągnie się nić odrębna, wszystkie zosobna są potrzebne i co chwila znów się po ten sam sięga...

Po Marcelu najbliższym przyjacielem Ojca był Grottger. W życiu, równolegle do wysoczyzny i głębi swego ducha, był Arthur tej samej rasy co Marcel. O ile umysłowo górował nad nim o całe niebo i skalą talentu przewyższał go bez porównania, w stosunku do samego siebie, do sił i zapasów na życie od Boga wziętych, był takim samym rozrzutnikiem i "putał" sobą nieopatrznie jak tamten. W przeciwieństwie do nich obu, Ojciec mój, choć pełen humoru, świetny kompan do zabaw, młody i urodziwy, miał w sobie dziwnie wcześnie tę równowagę charakteru, ten spokój sądu i rozum, które tak cenili jego koledzy, o które nieraz w późniejszych latach Ojca, opierali się niejedni z środowiska w którem żył. Podobnie jak Marcel poddający się ślepo jego zdaniu w opresyi, tak i Grottger szukał nieraz towarzystwa

Ojca, aby się czy wyskarżyć, czy poradzić, czy choćby tylko wydyszeć w jego pobliżu po jakich szalonych tygodniach... Umysł Ojca jasny i precyzyjnie sprawiedliwy, rozwadzał często poważnionych, rozsądzał różne przewlekłe zwady. I, o dziwo! szaławiły serdeczne rozumiały się na tych cnotach - i po latach, kilka takich słów uznania, z jakiem Grottger wymienił przed panną Wandą Monné nazwisko Karola Młodnickiego, jako jednego z najlepszych ludzi, jakich znał, człowieka jeszcze jej wówczas nieznajomego zupełnie, sprawiło że gdy jej go już po śmierci Grottgera przedstawił w swej pracowni Parys Filippi, odczuła uścisk jego dłoni jakby jakieś przekazanie z zaświata.

Kult Ojca dla pamięci Grottgera był też czemś głęboko wzruszającem. Pamiętam,gdy kartony z albumu Mamy szły na wystawę którąkolwiek - Ojciec sam wkładał je pod szkło i nigdy żaden introligator nie tknął ram z niemi. Sam na gumowanych paseczkach kitajki przytwierdzał je do paspartusów, sam zaklejał tekturę na plecach obrazu. Gdy ciężkie położenie materyalne i niedomaganie Ojca skłoniło Mamę do rozstania się z całym szeregiem tych rysunków w r. 1894 - odczuł to Ojciec jako moralną katastrofę, której nie przebolał nigdy. Zwłaszcza gdy w r 1893 Karol Lanckoroński z Rozdołu przybył wybrać któryś z Grottgerowskich rysunków. Pamiętam wrażenie tej chwili w domu. Nad kanapą w salonie wisiała wstępna karta "Wojny"- ów widomy hufiecklęsk otaczający jadącą konno jej niewieścią postać o zasuniętej na profil przyłbicy... Na pierwszym planie postacie Artysty i Muzy. Na tym jedynym rysunku pozostawił Grottger własne swoje rysy Artyście... Pamiętam ten obraz od chwili gdym zaczęła patrzeć i spostrzegać, w jego szybie odbijały się wszystkie świeczki naszych choinek. Nie był nigdy przeznaczony na sprzedaż. Nic wogóle z tego co wisiało na naszych ścianach.

Przyszedł Lanckoroński. Oczywiście nie była Mama obecną, tylko sam Ojciec go przyjmował. Wyjęte już naprzód kartony Albumu zostały mu poka-

zane, jako te jedynie, które były do nabycia. Pamiętam wysoki, zabawnie krzykliwy głos mecenasa i w niezbyt pewnej polszczyźnie wygłaszane zachwyty. Byłyśmy obie z Mamą w przyległym do salonu pokoju i serca ściskała nam żałość okrutna. Czas jakiś trwało oglądanie, poczem wynikła rozmowa, w której nie odrazu wyznałyśmy się. Wreszcie nie było wątpliwości. Pamiętam oczy Mamy gdy na mnie popatrzyła, rozszerzone strachem. Lanckoroński, obejrzawszy wszystko co było do nabycia, oświadczył Ojcu że nabyć gotów tylko ów pierwszy karton do "Wojny", ten ze ściany, który do kupienia nie był. Tatko tłómaczył, przedstawiał. Bez żony oczywiście decydować nie mógł. Kupiec kaprysem magnata i zbieracza, uparł się. Wyszedł Tatko z salonu. Miał na twarzy wypieki i oczy strwożone, bezradne... Niedomagał już wtedy często na serce. Prawie bez słów wydała Mama wyrok na obraz kochany.

Gdy znikł ze ściany, było w domu jak po pogrzebie...

. . . .

/Nb: Tu w rękopisie skreślono długie opowiadanie o Grottgerze, jako żeczostało już zużytkowane po ściślejszem opracowaniu w "scenaryuszach" i przypisach do dzieła "Arthur i Wanda"/

-x-

Chodzili jeszcze tacy ludzie po Lwowie jak taka np. pani Brühlowa... Właścicielka wybrednego korzennego sklepu naprzeciw ulicy Halickiej, matka pani Andrzejowej Grabowskiej, żony malarzy"Grabca",- sama doskonała muzyczka, której dom zasobny gromadził u siebie przez lata cały muzykalny Lwów. Grywali tu: pani Leonia Wildowa, Antym Nikorowicz, Rudolf Schwarz, śpiewała pani Marcela Ledererowa, Ujejski czytał najnowsze swoje utwóry... Otóż ta pani Brühlowa, gdy za mojej już pamięci szła przez miasto malutka, stara a gruba jak dzwon, w swej czarnej jedwabnej, bramowanej sobolami, opiętej salopie, miała zawsze pod pachą torbę papierową pełną hiszpańskich winogron, daktyli i fig czy rodzynków malaga, lub bodaj migdałów w łupce, któremi częstowała znajomych. Ileż razy korzystałam z takich słodkich spo-

t

tkań! Tu wspomnę, bo już się z nią, ani z jej winogronami nie zejdę chyba w tych zapiskach,- jak raz,idącą drobnym kroczkiem, odzianą w tę samą salopę z sobolami, zaczepiła ją jakaś żebraczka z trojgiem małych dzieci, domagając się jałmużny.

-Jeszcze mam czworo w domu, proszę pani dobrodziejki... Co roku mam przybytek...

- Pocóż miewasz?! - zauważyła spokojnie pani Brühlowa, dając babie centy, a dzieciom daktyle. To "pocóż miewasz?" pani Brühlowej zostało między nami jako bon mot, nieraz przy okazyi stosowane....

Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych sprowadzili się na pierwsze piętro pod nami państwo Bełzowie. Pan Władysław Bełza był mi znajomy jeszcze pierwej. Tatko, w czasach gdy rysował ilustracye do "Strzechy", a potem do "Różowego Domina", czasopism wydawanych przez F.H.Richtera, bywał już w kontakcie z Bełzą, tkwiącym od młodości pośród książek, nakładców, wydawnictw. On to zresztą redagował przez lat szereg, swego doskonałego "Towarzysza Młodzieży", którego komplet dostałam od niego w podarku, czytałam z upodobaniem - i wiele ważnych pierwszych wiadomości tyczących polskich spraw, zawdzięczam tym rocznikom. I do "Towarzysza" też narysował Tatko niejedno. Znaczna także część dziecinnych książek, które się stały zawiązkiem mej osobistej biblioteczki w białej wązkiej szafce, której wierzch zdobiła latami zielona klatka z kanarkami Fucem i Mucą, pochodziła z poczciwych darów pana Bełzy. Nieraz, gdyśmy go spotykali na ulicy, wyjmował z kieszeni jakąś wydawniczą, dziecinną "nowość" i zaraz mi ją ofiarowywał z czułością. Sam bezdzietny, osobliwie kochał dzieci, które podziwiał i rozpieszczał, darząc tem na co go stać było najczęściej, książkami.

Wielka była tedy uciecha z nowego sąsiedztwa na pierwszem piętrze. Znajomość z latami zmieniła się na przyjaźń szxzerą, serdeczną, i przetrwała do końca. Bełza byłto jeden z tych ludzi, o jakich Tatko mawiał: "Wiecie, on nie jest nadzwyczajny, ale takich już niema!" Istotnie, do nadzwyczaj-

ności sam nie miał pretensyi, ale dziś wspominam go ze ściśnieniem serca żałosnem, jako typ przemiły, nieodżałowany, zaginiony już całkowicie. Czy można wyobrazić dziś sobie człowieka, któryby był zasadniczo, do gruntu, przychylny, życzliwy, drugiemu? Człowieka, który lubił, naprawdę lubił, zrobić - czy powiedzieć bodaj - tamtemu przyjemność? Bełza był taki. A to że miał powierzchowność ujmującą, godną, i ogładę na codzień, nie odświętną, ale tę niebędącą jedynie fornirem, masywną, dziedziczną,- to już był tylko naddatek miły. Kilkanaście lat, aż do mego zamęźcia, przeżyłam z tymi dwojgiem, kochanymi dobrymi ludźmi pod jednym dachem, i doprawdy, z wyjątkiem tylko wakacyi, nie było dnia aby ktoś z nas u nich, albo od nich u nas się nie pokazał. Bodaj jakaś książka odesłana z góry z paroma słowami na świstku, bodaj talerz świeżych ptysiów, które z dołu ruda Lola przyniosła dla mnie od pani Bełzowej. Otrzymywał i Bełza czasem jakieś takie jadalne pozdrowienia, na które odpowiadał wierszem. Początek jednego ocalał mi w pamięci:

"Przez słodycze i przez bluszcze
Rym mój słodki do Was pluszcze..."

Bełza wszelako miał daleko większy talent bycia i słowa, niż tak zwanego "pióra". Był jak najciekawszy żywy raptularz, który można było czytać z pożytkiem zawsze, na którejbądź stronnicy by się otworzył. Był słuszny, trzymał się niezmiernie prosto, miał śliczny dźwięk głosu, dykcyę i polszczyznę znakomitą /w młodości próbował sił przez czas pewien na scenie poznańskiego teatru/, co wszystko podnosiło jeszcze użycie słuchacza. Znał Warszawę i Paryż, znał moc najciekawszych ludzi, o każdym pamiętał mnóstwo, każdego sposób mówienia, gesty, głos umiał naśladować. Do takich arcydzieł odtwórczych Bełzy liczył się czcigodny jąkała Platon Kostecki, hr.Karol Lanckoroński, a wreszcie koledzy z Osselineum, np. stary Pawłowicz, Kętrzyński i inni, których "pokazywał" tak bajecznie, że się nieraz sami ze siebie naśmiewali.

Żona pana Bełzy była z domu Ostrowska, siostra nieżyjącego oddawna rze-

źbiarza, po którym zaadoptowali oboje synka sierotę, nazywającego się po Ojcu Kazimierz. Udało im się to nad podziw. Wyrósł z tego Kazia naprawdę syn, jakby najrodzeńszy, kochający najwdzięczniej, człowiek rozumny, zacny i dzielny. Wtedy gdyśmy się poznali, był jeszcze chłoptasiem z grzywką i kłapouszkami czarnemi, naszał marynarskie kołnierze i krótkie spodeńki. Dziś jest dyrektorem tytoniowego monopolu w Warszawie. Szukam słów na wizerunek pani Bełzowej, ale wszystko na nic. Trzeba było ją znać. Najmilsza i najszczersza mieszanina rozsądku z naiwnością, dobroci z dowcipem. Bystrość niespodziana, a zarazem łagodność w sądach o ludziach, która to kombinacya sprawiała, że potrafiła mówić o bliźnich w sposób taki jak nikt, robić ze słodyczą istotną spostrzeżenia tak nieocenione, zdumiewające humorem i trafnością, a zarazem takie prostoduszne i dobrotliwe, że nie była to nigdy obmowa.

Dzięki tym niezwykłym przymiotom, możliwemi były stosunki ścisłe z bezprzykładnie liczną rodziną, których cnoty i zalety znała pani Bełzowa na wylot i radziła sobie z niemi wybornie. Codzień po herbacie po, piątej, liczne grono krewnych zasiadało z nią do "labeta". Z całego tego zastępu najbardziej mnie zaciekawiał brat pani Bełzowej, pan Jan, radca kolei de facto, a wedle przeznaczenia jeden z najbardziej utalentowanych komików, najdowcipniejszych ludzi jakich znałam. Chudy, czarny jak cygan, z ponurą twarzą - coś niby Słowacki - gdyby się był postarzał - i mówiący z miną niezłomnie grobową głupstwa najrozkoszniejsze. Inna w tym zespole osoba, która mnie zaciekawiała, to była żona Antoniego, drugiego z licznych braci pani Bełzowej, pani Rafaela z Żółkowskich, najmłodsza wnuczka słynnego Alojzego, aktora i twórcy "Momusa", zwana w rodzinie "Rafcią". Miała także dzieci bez liku i umiała to jakoś tak, że była długo najładniejsza ze swoich córek.

Podczas gdy w jadalnym, przy udziale wszelakich Ostrowskich i Hofmeklów, pani Studzińskuej, siostry Bełzy i pani Gottliebowej Julii, jed-

nej z sióstr pani, /jak się później pokazało, chrzestnej matki Wacka/ szła codzienna partya labeta, Bełza miał także swą godzinę przyjęć u siebie. Cały dzień, od świtu niemal, zajęty w umiłowanym "Zakładzie" czyli Ossolineum, zaraz popołudniu o piątej kładł się do łóżka, tak bez żadnej choroby, po prostu z obyczaju,- i wtedy szło się do niego na pogawędkę. Leżał w bardzo zawsze starannej bieli pod błękitną kołdrą, miał na czole zieloną umbrelkę, obok na stoliku paliła się świeca, gdyż lampy do czytania nie znosił, i piętrzyły się stosy wydawniczych nowości. Ileż takich godzin pamiętam, przegwarzonych przez Mamę i Bełzę, z moim, coraz większym z latami, udziałem! Czułam zawsze że wracam bogatsza, czy o jakąś znamienną wieść polityczną ze świata - do jakiej niteczkę nadziei czy otuchy doczepiało się wtedy tak ochotnie - czy o żywe jakie wspomnienie o kimś z ludzi wybitnych, czy świeżo dobyty jaki szczegół historyczny, czy o treść jakiej najnowszej książki - a choćby tylko o Bełzy własne, aktualne przeżycie w Zakładzie!

Ossolineum ówczesne, była to kopalnia typów tak dostojnych jak stary Małecki, lub tak charakterystycznych, jak jego niemniej a może i bardziej wiekowa żona, czy też smutnawo śmiesznych, jak stary Antoni Pawłowicz, kustosz muzeum, istny "biały okularnik" z historyi o "Ankusie królewskim" Kiplinga... Galerya tych postaci była mi w relacyi Bełzy tak plastyczna, że słuchając o nich siedziałam jakby na coraz to nowej odsłonie sztuki. Oboje Małeccy, sędziwi wielce a mający życie do ostatka błogie i dostatnie, chorowali ciągle, raz ona, raz on, niekoniecznie na choroby rzeczywiste, ale lęk, że to już może % a właśnie choroba... Była między staruszkami, jakby konkurencya cicha, podobna do owej w bajce o Dziadu i Babie Kraszewskiego: Które pierwej?- Najpierw /streszczam wedle Bełzy/ wmawiali w siebie wzajemnie dolegliwości, aby wywołać zaprzeczenie, co ich nawzajem uspokajało, potem zaczynali się podejrzewać o ukrywanie bądź zdrowia, bądź choroby... Czasem istotnie któreś zaniemogło. Wtedy

sądny dzień nastawał w Zakładzie. To- zdrowe chwilowo, z dwojga, posyłało natychmiast po księdza, który najczęściej odchodził daremnie, bo poprawa następowała na jego widok prawie natychmiast... Zdarzało się że gdy pani Małecka zasłabła i już od księcia kuratora aż do woźnego Michała wiedziało się o nowinie, gdy ktoś poleciał wysłany przez pana Małeckiego po doktora i księdza, staruszka dotknięta do żywego posądzeniem że to miałoby być już- wstawała czemprędzej, a nadchodzący ksiądz i doktor, zastawali ją siedzącą prosto przy fortepianie i wygrywającą najsiarczystsze mazury... Hulała bowiem za młodu szalenie, a za danserów miewała, dość powiedzieć, wszystkich trzech Maszkowskich,Grottgera i mego Ojca. Nieraz o nią Marcel zapytuje w swoich listach z Monachium. Mam wrażenie że żyli oboje tak długo jak chcieli, pomarli tylko dlatego, że już mieli ochotę. Ona pierwej, on po niej.

Starego Pawłowicza znałam także, jak i staruszków Małeckich, nietylko z opowiadań Bełzy. Gorzki jak proszek chininy, zasuszony w starokawalerstwie, warował na straży swego muzeum, nie mogący ukryć passyi wobec zwiedzających. Ze śmiercią był na stopie podobnej co pp Małeccy, tyle że samotnikowi brakło emulacyi. Najbliżej żył z rodziną dyrektora Kętrzyńskiego, którego syn Staś był jego chrześniakiem. W braku innych dziedziców postanowił Pawłowicz przekazać wszystko co posiadał temuż Stasiowi. "Wszystko", był to jakiś chromy stolik, krzesła nielepsze, trochę papierów, pamiątek, gratów... Napisał testament i prosił Bełzę, aby się podpisał jako świadek. Aliści mieszkanie Kętrzyńskich znajdowało się akurat nad głową starego litwina, Staś zaś był małym chłopcem, który się ruszał i biegał właśnie wtedy gdy to wadziło Pawłowiczowi. Po pewnym czasie otrzymał Bełza od Pawłowicza wezwanie aby do niego zaszedł. Okazało się że testator postanowił zmienić zapis. Przeliczył się, chłopcu, który takie breweryę wyprawia nad głową skołatanego starca, niepodobna powierzyć pamiątek. Bełza opanował wesołość i począł orędować za Stasiem, przedkładać okoliczności łagodzące. Biały

okularnik był jednak nieubłagany i głosem, który niegdyś zachęcał swe uczennice rysunku przy lekcyi, mówiąc: "Stawiaj pałki panna!", kazał też i Bełzie "postawić" swe nazwisko pod dokumentem. Staś najformalniej został wydziedziczony. -"Sam sobie winien!" - objaśnił z irytacyą. Minął znów czas pewien i Bełza znowu dostaje wezwanie od Pawłowicza. Czy następny spadkobierca okazał się jeszcze mniej godny od Stasia, czy tenże poskromił swe obyczaje, dość że poprzedni zapis uległ ponownej zmianie. Bełza miał tym razem podpisać po raz wtóry testament mocą którego "wszystko" dziedziczy Staś Kętrzyński... I nie byłoby w tych falowaniach woli białego okularnika nic tak znów dziwnego, gdyby nie okoliczność, że proceder ten odbył się wiele, wiele razy, tak że Staś do ostatniej chwili swego chrzestnego ojca pozostawać musiał w napięciu. A i mnie niewiadomo kto ostatecznie stał się dziedzicem "wszystkiego" po Pawłowiczu...

To były rzeczy zabawne, ale ileż innych, charakterystycznych szczegółów nasypać umiał Bełza na poczekaniu! Został po nim pamiętnik bardzo ~~ciekawy~~ dokładny z całego życia, który prowadził, o ile wiem, do śmiwrc
z całego życia, który prowadził, o ile wiem, do śmierci. Tam pewno znajdą się zczasem te ważniejsze relacye o Kraszewskim, Goszczyńskim, o Kaczkowskim, Lenartowiczu, Polu, rodzinie Mickiewicza... Trudno dać mi pojęcie o tem, jak innym, treściwszym, ciekawszym, świeższym umysłowo był sam, w porównaniu z tem co napisał. Myślę tu przedewszystkiem o jego prozie i o tem co wydał o Mickiewiczu. Są ludzie, którzy muszą pisać aby się ich zobaczyło. Są, na odwrót, tacy którzy, aby się stali sobą, muszą "pióro" odłożyć... Właśnie takim był Bełza. Mam przekonanie że jedynie jego "Katechizm polskiego dziecka" - do pewnej mety oczywiście!- próbę czasu wytrzyma. Podobnie jak po Konopnickiej - z czasem zostanie tylko "Rota", wzięta przypadkowo na skrzydła muzyki, tak i pamięć o Bełzie zatrzyma się najdłużej na powadze owego patrzącego dzieciom w oczy pytania:% "Kto ty jesteś?"

Zastrzegam się tu oczywiście przed posądzeniem jakobym te dwie firmy literackie stawiała obok siebie na równi. Konopnicka była "większą"- ale

po obojgu zostanie to tylko, co w zwięzłych słowach potrafili powiedzieć o rzeczy "największej".

Co wiosny na wielkanocne ferye wyruszał Bełza do Wenecyi. Rzadko gdzieś dalej. To był adres, pod który dowoził zazwyczaj bez szwanku swoje, coraz mniej pewne serce. Wyrzucam sobie żeśmy sobie dworowali z niego, posądzając o urojenie, gdy czasem wracał już z Wiednia, przepłoszony lękiem, aby gdzieś po drodze nie zamrzeć, gdyśmy patrzyli jak na dziwactwo, na jego przesadnie powolny chód... A to była choroba, podchodząca coraz śmielej. Z Wenecyi wracał zawsze odświeżony, odmłodniały, rad że się nawłóczył po antykwarzach i miał dla każdego za powrotem jakiś ładnie obmyślany gościniec. Dostałam raz przy takiej okazyi autentyczny, starorzymski "stylos", nie kupiony, ale otrzymany wprost od ~~jakiegoś~~ znajomego archeologa. Taki kościany rylec do pisania na woskowanych tabliczkach. W r. 1897 zjechaliśmy się raz, ja i Wacek, z Bełzami i Gawalewiczem w Wenecyi. Akurat biedna pani Bełzowa zasłabła była na żołądek i Bełza wezwał doktora, Niemca. Ani ona, ani on, królewiak, nie mówili dobrze po niemiecku. Miał konsyliarz zabawę, gdy mu pani Bełzowa oznajmiła na wstępie, że ma "kranke Würste". Doktor, pojąwszy o co chodzi, a słysząc że pacyentka nie wyrzuca sobie żadnego spożywczego grzechu, zagadnął czy to nie zaziębienie? - Wcale nie - uspokoiła go- tak było zimno w hotelu, że "ich habe mit einem Jäger geschlafen". Tu, gdy już doktor nie zdołał pohamować radości, zmiarkował i Bełza że coś się święci i nauczywszy się na pamięć tej weneckiej niemczyzny, ufetował następnie i nas i Gawalewicza.

Gawalewicz! Także taki typ, który dopiero wtedy zaczynał być oryginalny i ciekawy, mieć swój kontur i talent, gdy mówił, gdy się zapomniało i gdy on zapomniał sam o powieściach Gawalewicza! Swietna, cięta, bystra pleciuga, znająca swoją Warszawkę jak własną biografię, kronika nieoszacowana o żywych ludziach i rzeczach, człowiek, który tracił wszystek czas na wymyślanie rzeczy i ludzi - nieżywych. Czegóż on nam wszystkim nie naopowiadał

wtedy u Sandwirtha, lub w czarnym kaloszu gondoli! Choćby tę anegdotkę o Deotymie i Henryku Sienkiewiczu, jej nb. kuzynku!

Pytał ktoś Sienkiewicza jak wygląda Deotyma? Zaczął ją tedy Sienkiewicz opisywać, ostrożnie, gdyż była już wtedy bardzo niemłoda, zatrzymując się głównie nad szatą w jakiej się jawiła na swoich słynnych wieczorach literackich, powłóczystą, z greckiemi rękawami i złotą przepaską. "We włosach - mówił - ma dyadem, i różę tu..." -dotknął swej piersi. W tejże chwili poprawił się i pokazał palcem locum róży o piędź dalej od kamizelki.- "Nie- poprawił się ponownie - tu!" i wyciągnął rękę jeszcze dalej. Poetessa była bowiem gruba i sięgała daleko w przestrzeń nie tylko samą wyobraźnią... Koncept był za dobry, więc poszedł na Warszawę i znalazł się rychło u stóp wieszczki, która bardzo długo robiła potem chłód Sienkiewiczowi. Potoczyła się rozmowa o Sienkiewiczu, o niemiłych małościach wielkiego pisarza.

-"To jest taki człowiek - powiedział pan Maryś - że gdyby ktoś z jego wielbicieli, zrobił sobie w jego oczach harakiri i ginął u jego stóp ze słowami "Mistrzu! dla ciebie!" - Sienkiewicz bez słowa zasłoniłby sobie nos chusteczką i przeszedł mimo, nie obejrzawszy się."- W wiele lat później, opowiedziała mi pani Gawalewiczowa, jak to, gdy była cudną, młodziutką panną , kochał się w niej Sienkiewicz, jak jej widoku szukał, towarzyszył jej wszędzie jak cień, on, skromny literacik na dorobku, ona zamożna, świetna piękność poprostu. Wyszła za Gawalewicza, i drogi ich rozeszły się daleko. Lata minęły, Gawalewicz był dyrektorem teatru w Łodzi, żona jego zaś, rozczarowana, złamana, piękna tylko zawsze cudownie, znosiła z męstwem artystyczną biedę byleby tylko on, Maryan, miał dom wygodny i życie gładkie... Jednego ranka, Gawalewicz miał jechać rano do Warszawy a szło o zaoszczędzenie paru kopiejek na dorożkę. Wyszła tedy pani Maryanowa jeszcze wcześniej aby własnoręcznie odnieść mężowską walizkę na dworzec... Gdy szła, wlekąc się z ciężkim bagażem, wprost siebie ujrzała nadchodzącego Sienkiewicza. Był już wtedy u szczytu sławy, a ona jeszcze może bardziej dojrzała

urodą. Nie można jej było nie poznać. Ulica była jeszcze pustawa, więc tembardziej wpaść mu w oczy musiała śliczna, młoda kobieta z ciężką walizką w ręku. Ta sama, o której marzył studentem. Sienkiewicz z mgnieniem ambarasu w twarzy minął ją bez słowa ni gestu...

Zgadało się także o Paderewskim. Posypały się szczegóły jak z rękawa. Przypominam tylko niektóre, bo i zapomniałam wiele i wolę niejednego nie pamiętać, nietyle ze względu na panią Helenę, ile na niego, którego można pod światło potrzymać, jak kryształ. Latami nie brałam na serio tych warszawskich jej i egipskich tradycyi, wierząc że on był w jej życiu jeden, że tylko zawiść ludzka skubie jej suknie,- dopiero opłakana rola pani prezydentowej polskich ministrów, uczyniła mnie podejrzliwszą i wstecz. Niestety, choć i zamilczę niejedno, pewną jestem że się znajdą tacy, którzy w swoim czasie, gdy wzgląd na niego ustanie, a przynajmniej osłabnie, wrócą się i pozbierają wszystko. Za ciężkie ma historya polska porachunki z panią Heleną!

Paderewskiego znał już Gawalewicz w czasie, gdy był wdowcem po swej pierwszej żonie, Korsakównej, i ubogi jak mysz kościelna, sławny był na razie tem jednem, że go Noskowski za talent zbyt wybitny i tupet, wyrzucił z konserwatoryum. Nie uczniem już był wtedy, ale jednym z młodszych profesorów. Ożenił się był, wbrew woli, czy pono nawet bez wiedzy rodziców żony, z panną Korsakówną, która żyła z nim bardzo krótko i umarła na płuca. Syn ich jedyny, Alfred, umarł mając lat dwadzieścia. Gawalewicz był na pogrzebie tej pierwszej pani Paderewskiej i pamięta jego jak szedł za trumną w wyszarzanym paltocinie, butach z cholewami i cylindrze. Przytaczam te szczegóły na wyłączną odpowiedzialność pana Marysia.

Już na horyzoncie Warszawy widać było i panią Paderewską przyszłą. Nazywała się wtedy pani Górska, a mąż jej Władysław był cenionym skrzypkiem. Pamiętano ją jako baronównę Rosen, bywającą pod opieką starej cioci, przez długi szereg bezowocnych karnawałów, piękną, ale nielubianą. Tym-

czasem kędyś w zaułku mieścił się sklepik, którego właścicielem był przyszły teść pani Heleny, Górski. Sprzedawał ptaszki i białe myszy, morskie świnki, wiewiórki... Wielkie też było zdumienie, gdy się jego syn zaręczył z baronówną Rosen. Zapewne, dosyć już dojrzała panna, której ciotka wolała iść spać niż na bal, obliczyła minione karnawały i wyszła za skrzypka, który i jako sybirak zacny, i zacny człowiek i wirtuoz ceniony, ogólną miał sympatję. Że zaś żył z tej racyi ostatniej w świecie sztuki i artystów, otwierało się dla pięknej, muzykalnej panny pole wcale nęcące.- I zaczęła się dola pani Heleny, którą już znamy wszyscy...

Ale wracam na ul. Zimorowicza, do Bełzy.- W miarę mijających lat, podnosił się poziom mojej kultury i na zawsze zachowuję wdzięczność dla kochanego Bełzy za tę masę najlepszych książek, do jakich, dzięki jego dobroci miałam dostęp bezprzestanny. Wszelkie nowości polskie, wszystkie najlepsze przekłady, czasopisma, były do mojej dyspozycyi. A także i pierwsze kity bzu otrzymywałam zwykle "z dołu", gdy się rozkwitły przed Ossolineum, a woźny Michał Saturski, taki sam jak dziś różowy i przychylny, tyle że młodszy o lat z okładem trzydzieści, przynosił ich bukiet dla pani Bełzowej... Kazikowi z pierwszego piętra zawdzięczam także jedną radość dozgonną! On to zaznajomił mnie w czasach, gdym była raczej dziewczyną jeszcze niż już panną, z najmilszym "Bajarzem Polskim" Glińskiego. Cóż to było za odkrycie cudowne!

Nasz ganek na drugiem piętrze, na który wychodziło się od klatki schodowej, i naszej kuchni, był słoneczniejszy od dolnego, miał widok na caluteńki Lwów i lewy jego kąt obok kuchni zwieszony nad dachem szopy pod którą nocowały fiakry gospodyni, kąt gdzie stała moja drewniana kanapka dziecinna i dwie konewki, zawsze pełne wody, w której pływała pałka chrzanu, był ulubionem miejscem zasiadów. Popołudnie całe prażyło tu słońce, zato ranki i pozachodnie godziny bywały rozkoszne. Tu był też prawomocny teren Katuli, mojej ukochanej suczki przyjaciółki, matki Nelki,

~~a babki Kadurci, tu w zielone~~

a babki Kadurci,- tu w Zielone Święta pachła liściasta altana z grabiny i brzóz i skrzypiał pod piętami, podsypany białym piaskiem,szuwar. Pewnego lata wymyśliliśmy sobie z Kazikiem i Adasiem, choć obaj chłopcy młodsi byli znacznie odemnie, wspólną zabawę czarnoksięsko-medyczną. Polegała na tem żeśmy flaszki napełnione czystą wodą stawiali na górnym, bardziej na spiekę eksponowanym ganku, i w świetle naszej wiary, tudzież słonecznych promieni, zabieg ten czynił, jakoby z wody zwykłej, wodę leczniczą o uniwersalnych skutkach. Choć nie znajdowała poparcia u starszych, fabrykacya naszego wynalazku trwała aż do wakacyi i, jak dziś widzę, była dość genialnem przeczuciem praktykowanych obecnie szeroko kuracyjnych konfidencyi ze słońcem...

Otóż raz, gdy się baterya naszych flaszek "nasłoneczniała" na ganku, a my wedle zwyczaju, poszliśmy na ostatnie najstromsze cztery schodki pod samym strychem, gdzie było chłodno, zatulnie i, co najważniejsze, niezwykle - i gdzie się dla zabicia czasu czytało zazwyczaj coś wspólnie, pokazał nam Kazio Bajarza. Dwa tomy oprawne razem, jak cegła, pierwsze wileńskie wydanie. Jakżeśmy dali nura w ten cud! jakże mi się fantazya w tem chlapać zaczęła, jak kaczka! Kochany Bajarz! Przyjaciel wypróbowany, któregom dostała potem na wyprawę, ten sam "wyprawny" Bajarz Leli!

Niema już słonecznego naszego ganku! Przeróbka kamienicy skasowała oba, a i patrzeć, co prawda, niema tak dalece już na co. Kamienice wypiętrzyły się bezczelnie i brudne parawany ich pleców zasłoniły widok prześliczny.

W miarę lat i postępu sercowej choroby, która go miała zabrać - jak i mojego Tatka - przedwcześnie, kochany pan Bełza dziwaczał. Wstawał w nocy i z jakiejś niedocieczonej przyczyny nie zapalając świecy, dążył do salonu, gdzie na ogonie fortepianu stały zawsze, przygotowane umyślnie w tem a nie innem miejscu, konfitury. Spożywszy je, szedł, również po ciemku, do jadalni, aby wypić tam szklankę mleka, którą co wieczór stawiało się dla

niego na bufecie. Po tych czynnościach kładł się znowu, zasypiał i budził się o czwartej. Poczem zasiadał do biurka, abyjak codzień dopisać w swym pamiętniku dzieje wczorajsze. Przy tych nocnych wędrówkach nieraz coś poszło w czerepy, nieraz zaszła jakaś fatalna spożywcza omyłka...

Tymczasem lata mijały, ja wyszłam zamąż, wyjechałam do Schodnicy, znaleźli się na świecie Luk, Kazio, Dziedzia... Rodzice mieszkali już na Zaświeciu. Niebawem i myśmy tam nadążyli i znowu, choć dalsze o dwie ulice, c odżyło dawno kochane sąsiedztwo. Znowu się chodziło o piątej na pogwarek do Bełzy... Jak mnie ongiś, tak samo Luka teraz, swego pochrześnika, Bełza począł obdarzać książkami. Gdy już Kazio dużą głową stoła dosięgał, zaczęło się i jemu także obrywać. Nie kto inny, tylko Bełza uczcił pierwszym madrygałem Beatę.

"Takam piękna, takam gładka,
A nazywam się Beatka!

Żywy portret mojej mamy,
Tylko go oprawić w ramy.

Co tam warta marna sława
Pana Bełzy Władysława,

Wszystkie dzieła w piecby włożył,
Gdyby takie dzieło stworzył!"

Gdy Bełza napisał swój słynny "Katechizm", który dedykował Lukowi rozejść się miał z czasem po świecie polskim w tysiącach i tysiącach odbitek, Luk był pierwszem dzieckiem w Polsce, które go umiało na pamięć. Pamiętam ten popis. Poszłyśmy z Mamą i obydwoma chłopcami około piątej do Bełzy. Leżał już oczywiście pod swoją błękitną kołdrą, założoną książkami, czyściutki, w zielonej umbrelce nad oczyma i złotem pince-nez. Ona, biedactwo, ślepa już wówczas zupełnie, ale niezmiennie pogodna i miła, "oglądała" życzliwemi rękoma pyszczki malców, wyszukując podobieństwa rodzinne, dziwując się różnicy między miękkiemi kudłami Luka, a wątłym meszkiem na łebku ~~ażżawym~~.

Luk śmiało wyrecytował wstępny wiersz "Katechizmu". Bełza wzruszył się mocno, wciągnął go na kołdrę, wyściskał i wycałował, a potem półżartem

półseryo zapytał:

- No cóż? Jakby tak kiedyś naprawdę przyszli Moskale, czybyś oddał życie?

-Oddałbym - napuszył się z przekonaniem Luk.

- A ty? - zwrócił się Bełza do Ziuby.

- A pan? - odpalił głowacz spokojnie, godząc w Bełzę tłustem, niebieskiem okiem.

- Poszedłbym razem z wami! A jakże? - śmiał się Bełza. A na to Kazio prędko:

- Jak my pójdziemy, to pan już... Uciął, czując że się zapędził niezładnie.

- Masz racyę obywatelu! - rad nierad, śmiejąc się, wykrzyknął Bełza - Mnie już wtedy nie będzie!

Bardzośmy były oburzone za śmiałą trzeźwość na naszego "twardego" kocura, ale jakże się było nie śmiać?

A po latach, spełniło się i to, za co poręczył Luk - i to co Bełzie przepowiedział Ziuba. Umarł Bełza ~~wśród~~ w sam czas, jeden z tych szczęśliwych, którzy czekali wierząc, zniewagi spełnienia nie dożywszy!

. . . .

Przerywam te zapiski, ten brulion wspomnień, w najczarniejszej, najstraszniejszej dobie polskiej historyi... W przeddzień Zgromadzenia Narodowego w Warszawie d. 30/5 1926. Jestem w Medyce, w domu z którego wywozi się na zachód cenniejsze dzieła sztuki - pamiątki - archiwum. Z niemi idą i te zapiski. Czy się zejdę kiedy jeszcze z temi kartkami? Czy dopiszę co jeszcze? Bogu jedynie wiadomo! Czy warto będzie jeszcze żyć na tej ziemi najdroższej, splugawionej, okrwawionej, - nowym, najhaniebniejszym z zaborów, spętanej, opętanej, wydanej wrogom na łup - wrogom mówiącym po polsku!

Im straszniejsza, nikczemniejsza teraźniejszość - tem niżej kłaniam się w podzięce szczęśliwemu, bogatemu, pięknemu życiu, jakie mi Bóg przeżyć pozwolił, tem wdzięczniej błogosławię pamięć Ich wszystkich, którzy je tak

szczęśliwem, bogatem, pięknem uczynili! Niechże mi Oni jeszcze i śmierć niezapóźną, miłosierną uproszą!

Amen.

Medyka. 30/5 926.

192

SKOROWIDZ TRESCI " QUODLIBETU" paginy oryginału
Maryli Wolskiej

133

184

Numer str. 2
drugiej str.